POCHWAŁA ABORCJI I BEZDZIETNOŚCI

Nowa akcja „Gazety Wyborczej" przeciwko rodzicielstwu

Czy Polska ugnie się także w sprawie zmian w sądach? – docieka Ziemkiewicz

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 31/436 2–8 SIERPNIA 2021

ZA CO LEWACY TAK BARDZO NIENAWIDZĄ ZOFII KLEPACKIEJ

Warzecha ostro o segregacji sanitarnej

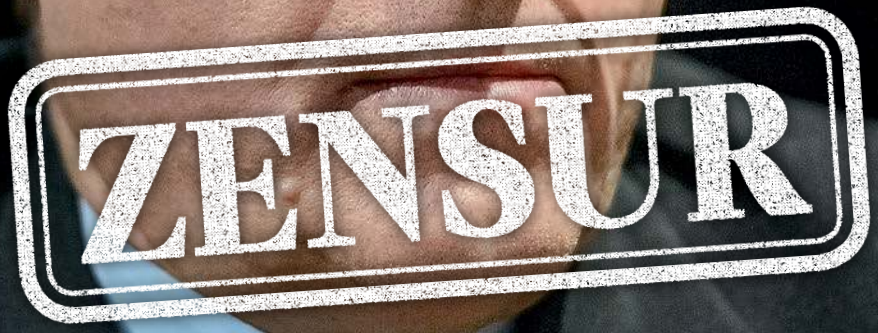

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 57,1 tys. egzemplarzy

Ks. prof. Dariusz Oko skazany za słowa prawdy o homoseksualnej mafii w Kościele

TAK DZIAŁA NIEMIECKI KNEBEL

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PIEKŁO NA BARYKADZIE. PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM POWSTANIA '44

Piotr Zychowicz – **Hitler na haju**
Norman Ohler – **Wunderwaffe w pigułce**
Jacek Bartosiak – **Polska musi liczyć na siebie**
Tomasz Stańczyk – **Spór o lekarza z Auschwitz**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Batorego**
Mikołaj Iwanow – **Wanda Wasilewska i Stalin**
Radosław Golec – **Inwazja III Rzeszy na Anglię**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Kłamanie prawdą**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 6a7b48717c

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Unijni szantażyści w akcji

Najpierw kilka, nazwijmy to tak, doniesień medialnych. Tytuł: „Homofobia nie popłaca". I początek tekstu: „Nawet 6 mld euro mogą stracić regiony, które przyjęły uchwały anty-LGBT – alarmują aktywiści, powołując się na wypowiedź przedstawicielki Komisji Europejskiej w Polsce". Dalej dowiaduję się, że według niejakiej Marii Galewskiej, przedstawionej jako reprezentant Komisji Europejskiej w Polsce, „regiony z uchwałami anty-LGBT – w kolejnym okresie programowania budżetowego – mogą mieć problem z otrzymaniem pieniędzy z Unii Europejskiej". Cytat z wypowiedzi samej pani Galewskiej: „Zarówno państwa członkowskie, jak i Komisja Europejska mają obowiązek podejmować odpowiednie kroki w celu zapobiegania wszelkim formom dyskryminacji podczas przygotowywania i wdrażania programów europejskich funduszy strukturalnych i inwestycyjnych". Okazuje się, że „jeśli nic się nie zmieni, to nie będzie zgody na pieniądze unijne na promocję gospodarczą czy turystykę na lata 2021–2027". Bo „KE nie widzi uzasadnienia dla dalszych inwestycji w 2021–2027 w promocję materialnego i niematerialnego dziedzictwa kulturowego regionu [...], skoro samorządy same przyczyniają się do kreowania swojego mało przyjaznego wizerunku".

Wszystko to są doniesienia z portalu tokfm.pl oraz gazeta.pl, które to strony powołują się na zapis z protokołu majowego posiedzenia Komitetu Monitorującego Regionalny Program Operacyjny dla Małopolski. Jak przeczytałem, jest „to ciało, które zajmuje się obserwacją, jak dany region wydaje unijne pieniądze". To samo potwierdza inny portal, okopress.pl. Czytam: „Maria Galewska przekazała wątpliwości, szczególnie co do pięciu regionalnych jednostek zarządzających funduszami. Chodzi o sejmiki województwa małopolskiego, świętokrzyskiego, łódzkiego, podkarpackiego i lubelskiego, które w 2019 r. przyjęły stanowiska »przeciwko ideologii LGBT«".

Łatwo zauważyć, po przeczytaniu tych informacji, co najmniej kilka rzeczy. Po pierwsze, zakładam, że te doniesienia są prawdziwe, urzędnicy Komisji Europejskiej stosują wobec polskich samorządów brutalny szantaż. Jeśli te nie zmienią swoich uchwał, to stracą pieniądze.

Po drugie, opisujący to zdarzenie dziennikarze (nie wiem, czy to właściwe określenie, raczej użyłbym słowa „działacze" lub, bardziej pejoratywnie, „propagandziści") występują w roli rekieterów. Przekazują ofertę szantażystów i starają się wymusić na samorządowcach podporządkowanie. Nawet się z tym nie kryją, utożsamiając się z „aktywistami »Atlasu Nienawiści«", jednej z wielu tęczowych jaczejek, które przeniknęły do Polski, szerząc ideologię genderową.

Po trzecie, szantażyści działają w Polsce i nie wstydzą się publicznie stawiać swoich żądań. Mają poczucie bezkarności i pewność, że siła jest po ich stronie. Jak inaczej mogę zrozumieć to, że groźby padają otwarcie podczas spotkania instytucji publicznej i kierowane są do przedstawicieli samorządów?

Po czwarte, uderza mnie nieprawdopodobne wręcz hucpiarstwo i bezczelność. Uchwały samorządów nie są wymierzone w homoseksualistów i lesbijki, a jedynie w genderową ideologię. Mają chronić prawa naturalnych rodzin. Jednak zdaniem przedstawicieli Komisji ochrona prawna związków naturalnych, między mężczyzną a kobietą, to „kreowanie mało przyjaznego wizerunku" regionu. Taka ocena mogła się pojawić tylko w głowie kogoś, kto nie potrafi rozróżnić normy od degeneracji. Okazuje się, że wysłannicy Brukseli wiedzą lepiej niż demokratycznie wybrani przedstawiciele regionów, na czym polega ich dobry wizerunek.

Mechanizm zawsze jest zatem taki sam: przedstawiciele Unii grożą, działający na terenie Polski dziennikarze wymuszają, presja na samorządy rośnie. Nie jest to tylko sprawa lokalna: poza utratą pieniędzy regionalnych przedstawiciele KE zaczynają coraz częściej grozić Polsce w ogóle zablokowaniem wszelkich funduszy. Ofiarą unijnego szantażu staje się ostatecznie polski rząd.

Pytanie: Dlaczego szantażyści się nie boją? Dlaczego pani Galewska nie została do tej pory z hukiem wyrzucona z Polski? Czy Polska może tolerować sytuację, w której na jej terenie unijni urzędnicy dokonują wymuszeń?

Nie tak dawno w bardzo ważnym tekście opublikowanym w „Rzeczpospolitej" Mariusz Muszyński, sędzia TK, dowodził, że tolerancja dla zuchwalstwa Unii tylko zachęca do dalszych roszczeń. Jego zdaniem w takiej sytuacji, kiedy to druga strona grozi, że pozbawi Polskę środków w sposób „nielegalny i nieprzyjazny", polskie państwo może zdecydować się na jednostronne zawieszenie lub odrzucenie traktatu z Unią. Wreszcie ktoś miał odwagę to napisać. Tak, trzeba na poważnie myśleć o zawieszeniu członkostwa w Unii. Chyba że godzimy się z szantażystami i negocjujemy jedynie wielkość haraczu. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
HOMOMAFIA KONTRATAKUJE
Wyrok na wolność słowa

18 PAWEŁ LISICKI
KORZENIE KRYZYSU

KRAJ

22 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
„TRAKTATY, GŁUPCZE!"
Obserwujemy potężną napaść na Polskę

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
REFORMA SĄDÓW: EUROPEJSKI PAT

28 KAMILA BARANOWSKA
TYLKO NIE BĄDŹ MAMĄ!

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
SMARTFONOWE WYCHOWANIE

32 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

34 MACIEJ PIECZYŃSKI
KOMU PRZESZKADZA ZOFIA KLEPACKA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZBIERZ TO SAM

KULTURA

38 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PIÓRO PRZYSŁONIĘTE EKRANEM
Pisarstwo reżysera

40 PIOTR GOCIEK
ZDRAJCA W NOWYM TYPIE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ŁUKASZ WARZECHA
SANITARYZM 2021
Segregacyjny problem rządu

50 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ JANKOWSKĄ
WYMUSZANIE SZCZEPIEŃ PROWADZI DO TOTALITARYZMU

52 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
APOLOGIA BISKUPA BARRONA

HISTORIA

54 ROZMOWA Z TIMEM MARSHALLEM
POŁUDNIE WCIĄŻ NIESPOKOJNE
Nie można spuszczać z oczu Bałkanów

ŚWIAT

58 OLIVIER BAULT, AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
PROGRAMOWA PEDOFILIA FRANCUSKIEJ LEWICY
Brudne narzędzie lewicowej rewolucji

61 TERESA STYLIŃSKA
Z WYSPY NA WYSPĘ

EKONOMIA

64 ROZMOWA Z ROBERTEM GWIAZDOWSKIM
NAJWYŻSZA W HISTORII PODWYŻKA PODATKÓW DLA MIKROFIRM
„PiS mówi: »Będziemy rozkułaczać kułaków«"

STYL

70 JOANNA BOJAŃCZYK
JASTARNIA '61
Przyczółek inteligencji

O ZDROWIU

72 KATARZYNA PINKOSZ
ROWER ZAMIAST WÓZKA
Efekty programu leczenia SMA w Polsce

„DO RZECZY" NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
BURZLIWE DZIEJE CZORSZTYNA
10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (57), GABRYEL, WARZECHA (68), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 6a7b48717c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Pacewicz/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 57,1 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do dyskusji. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„O świetlanej przyszłości", Piotr Kowalczuk, „DRz" 30/2021

Do napisania tego listu skłonił mnie felieton korespondenta z Rzymu, Piotra Kowalczuka, aczkolwiek od razu zaznaczam, że kwestia, którą podnoszę, dotyczy nie tylko jego osoby. Chodzi mi o ostatnie zdanie w artykule o panoszącym się i zatruwającym życie Bogu ducha winnym osobom i instytucjom niejakim Jonathanie Simpsonie vel Jessice Yaniv, niedoszłym transseksualiście. Zdanie owo brzmi: „To wszystko prędzej czy później nieuchronnie nas czeka, czy nad Tybrem, czy nad Wisłą".

Dlaczego niby „to wszytko" ma nas czekać? I to jeszcze „nieuchronnie"? Nie zgadzam się z taką teorią. To nie nas czeka szaleństwo zgniłego Zachodu (fakt, że tego określenia używali komuniści, nie odbiera mu dzisiejszej adekwatności), ale to ich czeka w końcu odwrót od obecnego zbiorowego zidiocenia. Odwrót albo śmierć, fizyczna anihilacja przez ludy i kultury, które ich błazenady mają w głębokiej pogardzie, w czym trudno im się zresztą dziwić. Krótko mówiąc: więcej wiary, Panie Redaktorze! Marksiści zawsze przekonywali wszystkich, że ich wizja świata po prostu musi się sprawdzić. A tymczasem czerwone imperium zła jakoś, niewiele sobie robiąc z tych zaklęć, rozpadło się na kawałki. Bez ataku zewnętrznego, bez jakichś nawet ogromnych protestów społecznych. Po prostu zbiorowe szaleństwo nie może trwać wiecznie, zawsze ostatecznie bankrutuje. Także następnym razem niech Pan napisze: „Dopóki normalność, inspirowana znad Wisły i Dunaju, nie powróci do Kanady, dopóty możemy tylko współczuć jej obywatelom i przypominać naszym rodakom, do czego doprowadza uleganie lewicowym fanatykom".

Z najlepszymi życzeniami
Tomasz Gracz

Od autora

Bardzo Panu dziękuję za list. Mam nadzieję, że Pańskie prognozy się sprawdzą, a optymizmu szczerze zazdroszczę.

Z szacunkiem
Piotr Kowalczuk, Rzym

O co tyle szumu?

Zdumiewa mnie to, co dzieje się wokół tzw. powrotu p. Tuska. Media poświęciły już temu tematowi chyba setki godzin i tony papieru. Tymczasem na hasło „Tusk" powinna być jedna odpowiedź: „Trybunał Stanu". I przechodzimy do spraw ważnych dla kraju.

Adam Zubek, Warszawa

„Komuniści a polskie wojsko", Piotr Semka, „DRz" 29/2021

Wymieniony w artykule Józef Kuropieska nie był generałem w chwili powrotu z oflagu – zweryfikowany w stopniu majora WP. Analogicznie ppłk Herman. (Notabene jego syn na obozie wojskowym w Morągu w latach 60. zamknął oficera pol.-wych. w szafie pancernej) [...].

Pozdrawiam
Piotr Bartnik

Od redakcji

W imieniu Autora – Piotra Semki (i za jego zgodą) – serdecznie dziękujemy Panu za cenne uzupełnienie. Jednocześnie pragniemy przeprosić za nieprawidłową pisownię nazwiska gen. Juliusza Rómmla, do którego to błędu doszło z winy redakcji.

eprasa.pl 6a7b48717c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

KUL a komuniści

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

W sensie politycznym pierwszym duchownym, który stanął wobec wyzwania określenia stosunku do nowej komunistycznej władzy, był przedwojenny rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Antoni Słomkowski.

Gdy 22 lipca 1944 r. Lublin został zajęty przez Sowietów, pojawiła się kwestia, czy uczelnia powinna wznowić działalność. Z okupacyjnej hekatomby ocalała część profesorów i studentów, którzy zebrali się 2 sierpnia 1944 r. w tajemnicy w Krężnicy Jarej, w której w czasie wojny działał podziemny wydział KUL. Zebrani profesorowie przegłosowali ponowne rektorowanie ks. Słomkowskiego i udzielili mu pełnomocnictw do podejmowania decyzji w sprawie uczelni. Dziś wokół tej kwestii panuje wiele mitów.

W 2014 r. wyszła książka Dariusza Rosiaka, która cytuje opinie, na których podstawie można odnieść wrażenie, że katolicką uczelnię wskrzeszono z inicjatywy sowieckiego ambasadora przy PKWN Nikołaja Bułganina. Tymczasem ks. Słomkowski skonsultował się z delegatem rządu na Lubelskie Stanisławem Cholewą i jest faktem, że szef struktury podziemnej wyrażał obawę, czy wznowienie pracy uczelni nie będzie formą uznania okupacyjnej władzy. Ale ks. Słomkowski miał poważne argumenty na rzecz wyjścia na powierzchnię. […]

Budynek KUL był zajmowany przez sowiecki szpital wojskowy. Ksiądz Słomkowski udał się do sowieckiej komendantury z pytaniem, kiedy budynek zostanie zwolniony, gdyż chce wskrzesić działanie uczelni. Prośba duchownego została zauważona przez Bułganina, który uznał, że nowa władza skorzysta propagandowo na takiej demonstracji życzliwości wobec Kościoła.

Gdy 11 listopada 1945 r. zainaugurowano pierwszy powojenny rok akademicki, Bułganin był uroczystym gościem. Tak zaczęła się bardzo delikatna koegzystencja z władzą – uczelni zwanej potem „jedynym katolickim uniwersytetem od Łaby do Władywostoku".

Kościół znalazł się w niełatwej sytuacji między oficjalnym życiem a Polskim Państwem Podziemnym, które większość księży uważała za legalną władzę. PKWN i Sowieci doskonale o tym wiedzieli i unikali czegokolwiek, co mogłoby zepsuć relacje z Kościołem. Przykładowo dobra kościelne zostały wyłączone z reformy rolnej. Pierwszym powojennym uroczystościom Bożego Ciała w 1945 r. towarzyszyły we wszystkich kościołach honorowe kompanie Ludowego Wojska Polskiego. Mając przed sobą otwarty bój z leśną partyzantką i opozycją polityczną, komuniści unikali otwierania dodatkowego frontu. Kościół korzystał z tego dla uzyskania wielu ważnych później koncesji od władz. Najsłynniejsza to zgoda na wydawanie „Tygodnika Powszechnego" w Krakowie, potem „Tygodnika Warszawskiego" w stolicy i wreszcie względna tolerancja dla odbudowywania struktur Sodalicji Mariańskiej. Po wahaniach nie zgodzono się, wbrew prośbom kard. Sapiehy, na wskrzeszenie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. ©℗

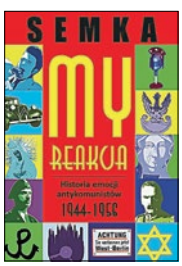

FOT. ADOBE STOCK

SZCZEPIONKOWA ŻYŁA ZŁOTA

Przychody za drugi kwartał obecnego roku amerykańskiego koncernu Pfizer niemal dwukrotnie przebiły prognozy giełdowych analityków. Dziennik „Wall Street Journal" podał, że najwięcej koncern farmaceutyczny zarobił na sprzedaży szczepionek przeciw COVID-19 – tylko ona przyniosła Pfizerowi aż 7,84 mld dol. (już po podzieleniu się zyskami z partnerem, czyli niemiecką firmą BioNTech). Według prognozy spółki w całym 2021 r. przychody ze sprzedaży szczepionki mogą sięgnąć nawet 33,5 mld dol. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

ENERGETYCY
w Powstaniu Warszawskim

ENERGY WORKERS IN THE WARSAW UPRISING

PAMIĘTAMY

77 lat temu pracownicy Elektrowni Powiśle pod dowództwem
kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”,
po heroicznej walce, przejęli kontrolę nad elektrownią.
W pierwszym dniu walk był to jeden z najważniejszych sukcesów
militarnych Powstańców. Jeszcze większym sukcesem była
obrona i utrzymanie dostaw energii elektrycznej dla walczącej Warszawy,
co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu.
Dzisiaj, jako przedstawiciele branży energetycznej,
oddajemy hołd bohaterskim Energetykom.

PGE
Fundacja

eprasa.pl 6a7b48717c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Współczesna Polska jako dawne Indie

Niedawno wznowiona książka K. Dziewanowskiego „Brzemię białego człowieka" (dłuższy wywód na jej temat zamieściłem na swoim kanale na YouTube) stawia m.in. takie pytanie: Jak to było możliwe, że Anglicy, których nigdy nie było w Indiach więcej niż 30 tys., narzucili swą władzę 200 mln Hindusów?

I udziela na nie odpowiedzi.

Myli się, kto by tej odpowiedzi upatrywał w cywilizacyjnej wyższości Anglików nad autochtonami. Bynajmniej. Nie była to sytuacja z Afryki, gdzie biali, znający żeglugę, broń palną etc., przybyli do pierwotnych wspólnot plemiennych. Państwo Wielkich Mogołów i jego kontynuacje niewiele ustępowały w wieku XVII i XVIII Europie, kto nie wierzy, ten niech wrzuci w wyszukiwarkę hasło „Tadż Mahal". Anglicy przejęli całkowitą kontrolę nad wielkim, bogatym krajem, ponieważ umiejętnie wykorzystali ogarniający go kryzys polityczny: chaos, skłócenie, zajadłe wojny domowe. Kilka razy posłużyli się bronią – zawsze pomagając jednym lokalnym przywódcom przeciwko innym – ale na co dzień używali sposobu skuteczniejszego: kredytów i donacji.

Skutkami zaślepienia hinduskich plemion i elit, które wolały szukać sprzymierzeńców w Europejczykach, niż uświadomić sobie swój wspólny interes, były kilkuwiekowa cywilizacyjna degradacja, złupienie i wywóz narodowych bogactw, technologiczne zapóźnienie i problemy społeczne, których obce wzorce cywilizacyjne bynajmniej nie rozwiązały, tylko jeszcze je nasiliły. Dopiero w XX w. zaczęły się Indie z tego wszystkiego wygrzebywać i jeszcze długa droga przed nimi.

Jeśli uparcie stawiam tezę, że celem działań, które prowadzą wobec Polski Unia Europejska i służący jej „Europejczycy polskiego pochodzenia", nie jest na dziś odebranie władzy PiS, tylko podgrzanie wojny polsko-polskiej i polityczne sparaliżowanie państwa polskiego – to m.in. dlatego, że pamiętam tamtą historię. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Mury nie runą

Ciekawe rzeczy dzieją się w naszym regionie. Litwa wznosi mur na granicy z Białorusią, by chronić swoje terytorium przed inspirowaną przez Łukaszenkę inwazją imigracyjną. W tej wymuszonej budowie (oddalającej, niestety, białoruskie społeczeństwo od Europy Środkowej) budujące jest jednak to, że do tej pory nie potępiły jej władze Unii Europejskiej. Na razie przynajmniej nie słychać, że Litwa naśladuje „skandaliczną politykę" populistycznej administracji Trumpa. Jak się okazuje – życie potrafi nakłonić do milczenia nawet najbardziej zideologizowane umysły.

Austria zakazała działalności Bractwa Muzułmańskiego, do tej pory lansowanego w Unii Europejskiej jako trzon egipskiej „opozycji demokratycznej". Osiem lat temu marszałek as-Sisi siłą odsunął Bractwo od władzy, gdy kierowany przez nie rząd prowadził coraz bardziej ekstremistyczną politykę wewnętrzną i zagraniczną. Po zmianie władzy odetchnęli koptyjscy chrześcijanie, stanowiący od dawna główny cel islamistów. Natomiast sam marszałek as-Sisi, bodaj najwybitniejszy współczesny arabski mąż stanu, stał się celem systematycznych ataków Parlamentu Europejskiego. Zobaczymy, czy teraz Parlament swe wsparcie dla Bractwa Muzułmańskiego rozszerzy na zwalczającą je Austrię.

Mury z kamienia bywają potrzebne, ale najpewniejszą ochroną jest mur przyjaźni. Zachód powinien mieć sojuszników, powinien ich szanować i wspierać. W świecie arabskim naturalną alternatywą dla islamistów są rządy nacjonalistyczne, cechujące się przynajmniej względną tolerancją dla chrześcijan. Jednak nacjonalizm – z zasady narodowy – różny bywa w różnych krajach. Nacjonalizm egipski od dziesięcioleci wyróżniał się prozachodnią orientacją i pokojową polityką. Dobra decyzja władz Austrii, zakazującej aktywności Bractwa Muzułmańskiego, to więcej niż werbalne uznanie dla polityki Egiptu. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Futbol, brexit i teorie rasowe

W Italii nie milkną echa Euro 2020. Włoscy eksperci i sportowe media piękny sukces swojej drużyny już omówili i obecnie zajmują się igrzyskami w Tokio. Teraz nad turniejem pochylają się najtęższe postępowe umysły kraju.

Beppe Severgnini, anglofil, który często w BBC objaśnia Brytyjczykom Italię, autor 30 książek, w stałym komentarzu w „Corriere della Sera" załamał ręce nad haniebnym zachowaniem Anglików w Londynie przed przegranym finałem i po nim. I wytłumaczył, że to wina brexitu, poprzedzonego wysoką falą szowinistycznej retoryki.

Teoria jest oczywiście bzdurą, bo angielscy futbolowi kibice zachowują się tak niemal od pół wieku. Po prostu takie mają obyczaje. Piszę to jako były mieszkaniec Londynu, kibic i bywalec tamtejszych stadionów, kilkakrotnie świadek wygwizdania polskiego hymnu na Wembley. Idąc tropem rozumowania Severgniniego, należałoby przyjąć, że na trybunach Wimbledonu, gdzie równocześnie odbywał się słynny turniej, zasiedli wyłącznie przeciwnicy brexitu, bo zachowywali się wzorowo. Te brednie doskonale rymują się z komentarzami włoskich postępowych polityków, którzy sukces Włochów fetowali jako zwycięstwo Unii Europejskiej nad wrednym Albionem.

Euro 2020 było również klęską teorii futbolowo-rasowych Severgniniego i jego współwyznawców. Przed ćwierćfinałem ubolewali nad monoetnicznym składem włoskiej drużyny, rozpływając się nad multietniczną drużyną Belgii. Zachwycali się, że w belgijskiej szatni mówi się po angielsku. Stąd wysnuli teorię o futbolowo-kulturowej wyższości belgijskiej drużyny narodowej nad włoską. Niezrażony porażką Belgów Severgnini wyliczył przed finałem, że w pierwszym składzie Anglii gra tylko trzech piłkarzy o angielskich korzeniach, i sugerował, że to da im bliżej niesprecyzowaną przewagę nad Italią.

A jeszcze niedawno postępowcy głosili, że idealne społeczeństwo powinno być ślepe na kolor skóry. Zapamiętajcie te słowa: niebawem pojawią się żądania parytetu rasowego w sporcie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Do łóżka z nakłutymi

Walka klasowa zaostrza się, czy tam walka szczepionkowa. Wojna trwa na wielu frontach, na froncie twitterowym padają bomby i niewybuchy. Redaktor Michał Wilgocki z działu opinii „Gazety Wyborczej" dźgnął antyszczepionkowców tytułem: „Dopóki się nie zaszczepicie, rząd powinien wam odebrać cały smak życia", przy czym słowo „wam" napisał małą literą, co dodatkowo kłuje brakiem szacunku. Odpowiedzi twitterowiczan były w dużej części radykalnie na „nie", a reszta niecenzuralna była. Raczej z nakłutym już czy tam zaszczepionym redaktorem Michałem nie zgadzano się gremialnie i – jak to na TT – merytoryka argumentów była drugoplanowa.

Albo przegapiłem, albo nie ma jeszcze nawoływań, żeby nieszczepionych golić na łyso, obtaczać w smole i obrzucać pierzem, co nie tak dawno robiła na przykład IRA z elementem niemoralnym w Belfaście. W zasadzie jestem pewien, że podobne pomysły się pojawią, gdyż walka klasowa, czy tam szczepionkowa, zaostrza się, a w takiej walce potrzebny jest namacalny wróg i winny. Wirusa dalej trudno macać.

Są też pewne zachęty do szczepienia się ze strony nie rządu, a młodej lewicy. Otóż Justyna Klimasara, znana szerzej jako właścicielka ciała, zdecydowała się na TT zachęcić do kłucia się. Napisała tweeta następującego: „Nie zaszczepiłeś się? Nie idę z Tobą do łóżka. Ignorancja nie jest seksy. Uważajcie na siebie". Tu rodzą się jednak pytania w szeregu. Najprostsze brzmi: Czy jak się jakiś młodzian zaszczepi, to czy Justyna pójdzie z nim do łóżka? A staruch? Czy też niezbędne jest jednak zakochanie się standardowe, a dopiero potem padnie pytanie przed szałem uniesień: „A kod QR masz, chłopaku?". Ja to tak rozumiem, gdyż cenię panią Justynę za intelekt, widząc w niej człowieka w fazie bujnego, tu pozwolę sobie powtórzyć, bujnego rozkwitu.

Ponieważ trwają igrzyska olimpijskie w Tokio, spodziewano się wielu wpisów na ten temat, ale postawa naszych sportowców sprawiła, że najczęściej komentowano, iż pewna nasza sportwioślarka pozdrowiła swoją dziewczynę po tym, jak zdobyła srebrny medal. Osobiście uważam, że to bardzo miłe, i pozdrawiam niniejszym wszystkie dziewczyny, wszystkie panie, a chłopaków i facetów nie pozdrawiam. Mimo reżimu jest to jeszcze wolny kraj i z tego korzystam. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 6a7b48717c

MAGNETYCZNA DYSKUSJA

Ach, co to było za starcie tytanów! Mowa o głośnej sprzeczce dwojga aktorów na Instagramie w temacie szczepień. Bartek Kasprzykowski postanowił zakpić sobie z antyszczepionkowców, publikując zdjęcie z przylepionymi do czoła sztućcami jako komentarzem do teorii spiskowych o tym, jakoby wraz ze szczepionką na COVID wstrzykiwano ludziom jakieś podejrzane substancje. – Nie wierzyłem w to, co się dzieje po drugiej dawce. Nadal nie wierzę. Jestem gotów do roli Magneto. Czekam na oferty. Nieaktorskie również. Przyciągam metale! Zgubiłeś monetę, obrączkę? Giną Ci łyżeczki w domu? – kpi aktor w podpisie pod zdjęciem. Na pierwsze oburzenie nie trzeba było długo czekać. Odezwała się aktorka Izabela Miko, podkreślając, że żart Kasprzykowskiego jest „bardzo niesmaczny, ponieważ wiele osób już umarło albo zostało permanentnie okaleczonych". – Żyjemy w czasach galopującej głupoty, a ta żartu nie rozumie. A kiedy nie rozumie, określa go mianem niesmacznego, bo swój brak gustu i poczucia humoru trzeba jakoś przykryć – odpowiedział dość ostro Kasprzykowski. Co na to Izabela? – Określasz mnie i innych tu komentujących jako „mało lotnych, głupich, bez gustu i humoru". Nadajesz tej rozmowie bardzo niski poziom. Twój post ewidentnie naśmiewa się z ludzi, którzy zgłosili magnetyzm po otrzymaniu dawki. Wiele z tych osób już nie żyje – oburzyła się celebrytka. Rzeczywiście, pisząc o magnetyzmie po drugiej dawce szczepionki Izabela momentalnie wyniosła tę dyskusję na wyższy poziom. Absurdu.

CZAS NA KAGANIEC

Joanna Krupa postanowiła odnieść się do komentarzy, które pojawiły się po tym, jak opublikowała w Internetach zdjęcia ze spaceru ze swoją małą córeczką, którą prowadzi na specjalnych szelkach. Niektórym nie spodobało się to, że „dziecko jest prowadzone jak pies na smyczy". Portal Pudelek poprosił Krupę o komentarz do sprawy. – Jestem matką, która chroni z każdej strony swoje dziecko. Zrobię wszystko, żeby moja córeczka była bezpieczna. Przy ulicy jestem pewna, że nie wpadnie pod auto, a jeśli się potknie, to szybko mogę zareagować. Dzięki temu jestem pewna, że dziecko nie ucieknie, nic się nie stanie, bo nie zawsze dziecko chce chodzić za rączkę albo w wózku – powiedziała celebrytka, a wszystkim krytykującym poleciła edukację.

– Wiem, że jestem niesamowitą matką. Będę robić i wychowywać moje dziecko, jak ja chcę. Jak komuś to się nie podoba, to powinni się trochę educate themselves, że jesteśmy w 2021 r. – podsumowała. Jeszcze trochę tej edukacji i dojdziemy do kagańców dla dzieci. Zaraz, zaraz, może to jest pomysł? Rodzice pyskatych nastolatków mogliby go docenić!

FOT. PAWEŁ GROMADA

PIĘKNA I PORÓD

Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu", zasłynęła ostatnio krytyką powszechnej jej zdaniem „mody na brzydotę". Teraz – jako że jest w zaawansowanej ciąży – postanowiła zaprezentować światu swoją spakowaną już torbę do szpitala, gdzie ma rzeczy potrzebne jej do porodu. Pokazała więc klapki, ręczniki, wkładki laktacyjne, kosmetyki, lanolinę, przekąski, a także ciuchy, a konkretnie koszulki nocne i szlafrok. Nie jakieś zwyczajne, ale kobiece i piękne! – Uważam, że to tak wyjątkowa chwila, że warto mieć dla siebie coś wygodnego, dostosowanego do sytuacji porodowej, ale dalej ładnego, w czym można czuć się pięknie i kobieco – tłumaczy Kaczorowska. Oczywista oczywistość. Przecież nie wolno w niepięknej koszuli nocnej albo w niepięknym szlafroku na poród się wybrać? Jeszcze dziecko urodzi się niepiękne. I co wtedy?

ZAZDROŚĆ CELEBRYTKI

Celebrytka Maja Bohosiewicz wyznała, że cierpi na FOMO. To skrót od „fear of missing out", czyli obawa przed tym, że coś nas ominie, i najczęściej łączy się z uzależnieniem od mediów społecznościowych. Maja pisze, że to bardzo męczące uczucie. – Do głowy wpadają kolejne myśli i kalkuluję, kto gdzie wyjechał, jak tam jest, dlaczego mnie tam nie ma. I tak zdałam sobie sprawę, że od kiedy urodziłam pierwsze dziecko, czyli od pięciu lat, ciągle zastanawiam się, gdzie jest miejsce, w które mogę uciec, żeby być i czuć, i popędzić dalej. Pamiętam, jak szlochałam w mieszkaniu, mając na rękach dwutygodniowe niemowlę, że gdzieś teraz blisko mnie moi znajomi sączą drinki przy ciepłym akompaniamencie letniego wiatru, a ja siedzę z zasłoniętymi roletami, udając, że słońce już zaszło, choć jest 20 – relacjonuje swój dramat Maja. – Teraz wiem, że było to FOMO. Wieczna pogoń za tym, aby coś się działo, nie pozwalała być zadowoloną z miejsca, w którym właśnie jestem, i zawsze chciałam być z drugiej strony drzwi. Czy coś się zmieniło? Wyciszyłam telefon. I uczę się, że nie ścigam się w zawodach o najciekawsze życie na świecie. Choć czasem patrzę i czuję delikatne ukłucie w boku, że gdzieś tam teraz kolacja na wzgórzu, impreza w tawernie czy szampan w basenie – dodaje. Czyli najpierw celebrytki zamieszczają nierealistyczne zdjęcia najlepszego życia na świecie, a potem oglądają zdjęcia innych i łapią deprechę, że ktoś ma lepiej. Chyba właśnie doszliśmy do momentu, w którym show-biznes zaczął pożerać własne dzieci. ©℗

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7b48717c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, słyszeliśmy, iż ostatnio był jakiś wybuch w niemieckiej fabryce w Leverkusen, skutkiem czego do niemieckiej atmosfery przedostała się chmura zanieczyszczeń.

Tak nam się wydaje, że miłym gestem byłoby zaproszenie tej chmury do tego kraju, iżby Niemcy mogli się cieszyć swoim słynnym porządkiem (niem. Ordnung) i czystym powietrzem.

Skoro i tak już importujemy mniej lub bardziej legalnie tysiące ton śmieci, w tym właśnie z Niemiec, to jedna mała chmurka zrobiłaby nam różnicę? A zyski polityczne lub chociaż wizerunkowe byłyby nie do przecenienia.

Strasznie denerwuje nas to ciągłe wpychanie się Polski w sprawy innych państw. Weźmy na przykład taki Nord Stream 2. Niemcy i Rosjanie chcą sobie przesyłać gaz, a temu rządowi i wielu mieszkańcom tego kraju z jakiegoś powodu to zaczęło przeszkadzać.

Of kors do Rosji jesteśmy nastawieni sceptycznie, ale skoro w sprawę są zaangażowani Niemcy, którzy są przecież naszymi partnerami w Unii, to pewnie nie może to być dla nas jakieś szkodliwe.

Jak więc widzicie, biegle obracamy się w realiach geopolitycznych, a rynek energetyczny nie ma przed nami żadnych większych sekretów. Dlatego apelujemy: dajcie innym prowadzić swoje interesy i nie wtrącajcie się wszystkim ciągle w ich sprawy. To nie jest wasz interes!

Podobno naukowcy doszli do wniosku, iż z pokolenia na pokolenie maleje IQ ludzkości. Mówiąc prościej, abyście nie tracili czasu na interpretację, ludzkość staje się coraz głupsza.

Nam, jako przedstawicielom ludzkości, jest przykro czytać takie rzeczy. Czujemy się prześladowani i dyskryminowani. Zwłaszcza że sami oceniamy swoje IQ jako ponadprzeciętnie wysokie.

Chcielibyśmy więc zapytać: Komu i czemu mają służyć takie analizy i badania? Czyżby naukowcy nie mieli już poważniejszych tematów do zbadania? Wiedzą wszystko na temat teorii queer i historii miejskich ruchów rowerowych?

Badanie IQ jest dyskryminujące, jest przejawem myślenia skażonego poczuciem wyższości i dominacją osób uposażonych intelektualnie, jako takie powinno więc zostać zakazane, a żadna osoba nie powinna upubliczniać swojego IQ, iżby innym nie zrobiło się przykro. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Trzy promile

Tadeusz, ty czytałeś ten projekt ustawy?
Tej podatkowej? No co ty, Michał, pięćset stron miałbym czytać? Zwariowałeś? Ja nie od tego jestem.

No dobra, to powiedz mi teraz, co to jest. Tutaj.
No... Co niby? Jakaś tam zmiana w jakiejś ustawie na sto osiemdziesiątej szóstej stronie.

A wiesz, co ta zmiana robi?
Skąd mam wiedzieć? Mówiłem przecież, że nie czytałem.

Ona podnosi limit alkoholu we krwi za kierownicą do trzech promili.
Że co?! A co to ma wspólnego z podatkami?!

To ja się ciebie pytam. Ty za ten projekt odpowiadasz.
To ma pięćset stron, połowa to same przepisy! Myślisz, że ktoś to miał czas przejrzeć?!

Chcesz powiedzieć, że ktoś sobie zrobił jaja i powsadzał do środka takie kwiatki? No to masz robotę na weekend: przejrzyj całość i sprawdź, czy tam jeszcze jakichś żarcików nie ma.
Ale... miałem na weekend lecieć na Maderę! ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Żeby wygrać prezydenturę, Andrzej Duda puszczał oko do antysemitów ws. Jedwabnego, do płaskoziemców ws. szczepionek i do kołtunów ws. LGBT".

RADOSŁAW SIKORSKI,
były minister obrony narodowej, europoseł Koalicji Obywatelskiej

eprasa.pl 6a7b48717c

Ważne wieści w sprawie Donalda Tuska. Zauważyliście, że nie zrezygnował ze stanowiska szefa Europejskiej Partii Ludowej? Plan jest taki, by zrezygnował dopiero po wyborach do Bundestagu. Z rządem Niemiec pożegna się wtedy kanclerz Angela Merkel i to ona ma zostać nowym szefem EPL. Niestety, będzie wspierać Donalda w Polsce.

Plan na Donalda jest bardzo konkretny. Ma wygrać wybory z PiS, opowiadając o tym, że to on załatwił pieniądze od Angeli i Brukseli. Po wyborach miałby jak najszybciej doprowadzić do wstąpienia Polski do strefy euro, żeby wreszcie największy silnik gospodarki kontynentu, znaczy polska gospodarka, zaczął pracować bezpośrednio dla Niemiec.

Tymczasem w Zjednoczonej Prawicy. To prawda z tym odcięciem Gowina od naczelnika, znanego też jako szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. Gowin nie tylko nie ma dostępu do SWP, lecz także nie został zaproszony na ostatnie wyjazdowe spotkanie klubu ZP w Żyrardowie. Jego absencję gazety odnotowały, ale precyzujemy: Gowin nie przyjechał nie dlatego, że zlekceważył. Tylko dlatego, że go tam sobie nie życzono.

Największy entuzjazm na wyjazdowym klubie wzbudziła prezes BGK Beata Daszyńska-Muzyczka, która opowiadała o Polskim Ładzie (BGK koordynować będzie kasę). Wskazała na samorządy jako głównego beneficjenta i dodała, że każdy dostanie – nawet Rafał Trzaskowski. Jeśli wystąpi o dofinansowanie. Jest jednak haczyk – będzie musiał powiesić (jak wszyscy) na gotowej inwestycji tabliczkę z informacją, że zbudowano ją nie tylko z pieniędzy unijnych, lecz także w ramach Polskiego Ładu. Jak tam, Rafał? Złamiesz się?

Ciekawa rzecz – podczas obrad wyjazdowych klubu ZP Jarosław Kaczyński SWP ani razu nie wymówił słowa „Tusk". I taka też jest nieoficjalna instrukcja: nie komentować, nie zauważać, nie dać się prowokować. Mamy nawet na tę okazję dla PiS poręczne hasło: „Siła spokoju".

Po obradach w Żyrardowie odbyła się też część rozrywkowa. Tańce. Jako pierwszy na parkiet wyruszył wicemarszałek Sejmu – Ryszard Terlecki pseudo Pies. Najradośniej natomiast pląsały posłanki dokooptowane ostatnio do Komitetu Politycznego.

Redakcyjna poczta, część 1. À propos Komitetu Politycznego PiS. Napisał do nas poseł Bartłomiej Wróblewski, twierdząc, że on się wcale na ostatnim komitecie nie ogłaszał liderem frakcji konserwatywnej. Zgadzamy się. Wiewiórki opowiadały o tym innym zdaniem: „Przemawiał, jakby był liderem frakcji konserwatywnej, którym de facto jest". Wróblewski potwierdził nam natomiast złożenie trzech propozycji dla partii i dla rządu. Jesteśmy pewni, że i partia, i rząd zamarły w ekscytacji.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Sejmie. Trwają manewry wokół pomysłów składających się na Polski Ład. Władza nie zamierza bowiem poprzestać na ich ogłoszeniu, ale też je uchwalić, co wprawiło w popłoch Eine Totalopposition. Po raz kolejny okrutnicy z PiS niszczą polską tradycję, demokrację i konstytucję. Tę niepisaną konstytucję. Która mówiła, że nawet jeśli się coś obiecuje, to się tego na pewno nie robi.

W związku z Polskim Ładem i licznymi reakcjami płynącymi na jego temat z ust polityków Eine Totalopposition chcielibyśmy wystąpić przeciw ogólnemu mniemaniu, jakoby opozycja w Polsce nie miała programu. Otóż ma i to bardzo konkretny. Tylko nie potrafi go ładnie nazwać. Tu wkraczamy my, małe, pomocne elfy. I podpowiadamy: program opozycji nazywa się Polski Jad.

Pisaliśmy tydzień temu, że na ambasadę w Ottawie ma ochotę – jako nagrodę pocieszenia, bo Waszyngtonu nie dostał – Witek Dzielski, człowiek Krzyśka Szczerskiego z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Tymczasem i Ottawa może się wymknąć z rąk. Bo ma na nią chrapkę reprezentant MSZ Marcin Przydacz. Walka jest zażarta. Na razie Przydacz odciął Dzielskiego od informacji spływających do MSZ. Czekamy z zapartym tchem na rewanż.

Trwają igrzyska olimpijskie. Zainteresował nas ten fakt, gdyż zawsze myśleliśmy, że najważniejszy jest na nich sport, ale okazało się, że nie. Teraz najważniejsi są ci ludzie, co nam ukradli część alfabetu – LGBTQWERTY – oraz rasizm. W sumie z tym ostatnim coś jest na rzeczy. To okrutnie rasistowskie, że wciąż w niektórych dyscyplinach biali zajmują miejsca wyższe niż nie-biali. Pora to zmienić.

Sami nie wiemy, który olimpijski skandal ciekawi nas bardziej. Czy grecki komentator telewizyjny, który uważa że Koreańczycy mają tak wąskie oczy, iż nie mogą widzieć piłeczki pingpongowej, czy może niemiecki działacz zagrzewający do walki swoich kolarzy słowami: „Gońcie poganiaczy wielbłądów!" (miał na myśli fakt, że wyprzedzają ich zawodnicy z Erytrei i Algierii). Cóż, my już od 1936 r. uważamy, że Niemcy i igrzyska to nie jest najlepsze połączenie.

A na przykład jedna polska wioślarka ogłosiła po zdobyciu medalu, że ma dziewczynę. Co w sumie nas zupełnie nie interesuje, gdyż mamy w nosie, kto z kim sypia, chodzi i mieszka. Ale wioślarkę to obchodzi, gdyż chciałaby, aby mówiono o tym w telewizji. Otóż my nie chcielibyśmy, żeby o naszych kobietach mówiono w telewizji i innym też tego życzymy. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

REKLAMA

Z wielkim żalem żegnamy

ŚP.

RÓŻA z JODŁOWSKICH BIERNACKA

NAJUKOCHAŃSZA I NAJWSPANIALSZA MATKA I BABCIA.
PRZEZ NAJBLIŻSZYCH ZAWSZE NAZYWANA IKĄ.

Historyk sztuki, związana z Instytutem Historii PAN blisko przez pół wieku.

Sekretarz redakcji Polskiego Słownika Biograficznego.

Miłośniczka literatury, sztuki, przyjaciółka przyrody i zwierząt.

Uczestniczka ruchu Solidarności w latach 80.

W wolnej Polsce odznaczona Kawalerskim Krzyżem Orderu Odrodzenia.

Urodzona 28 lutego 1934 r., zmarła opatrzona św. sakramentami po ciężkiej chorobie 25 lipca 2021 r. Spoczęła w dniu 2 sierpnia 2021 r. w kaplicy na cmentarzu Rakowickim w Krakowie,

o czym zawiadamiają pogrążeni w tęsknocie i smutku Syn z rodziną

REKLAMA

Z wielkim żalem żegnamy

ŚP.

ANDRZEJ BIERNACKI

dr hab. prof. PAN
Polonista, historyk, krytyk literacki, edytor, bibliofil

KOCHANY OJCIEC I DZIADEK.

Pracownik IHN PAN, redaktor miesięcznika „Organon", członek SDP, ZAiKS, Pen Clubu, współpracownik Polskiego Słownika Biograficznego.

Za swą patriotyczną postawę szykanowany i inwigilowany w okresie PRL.

Urodzony 13 września 1931 r. zmarł opatrzony św. sakramentami po długiej i ciężkiej chorobie 23 lipca 2021 r.

Spoczął wśród swych Bliskich w kaplicy rodzinnej w Grzymiszewie.

W niedzielę 12 września 2021 r. o godz. 17.30, w przededniu Jego 90. urodzin, odprawiona zostanie Msza św. w kościele św. Aleksandra przy placu Trzech Krzyży w Warszawie,

o czym zawiadamiają pogrążeni w żałobie i smutku Syn z rodziną

REKLAMA

Zabieramy rodziny i znajomych!

15 SIERPNIA 2021

TROPEMWILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Bądźmy znowu razem!

Nie ma biegu w Twoim mieście?

Pobiegnij w Warszawie! Albo zabierz pakiet na wakacje!

Będzie się działo!

szczegóły i zapisy: tropemwilczym.org oraz facebook: tropemwilczym.pl

PATRONAT
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918-2018

ORGANIZATOR
FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY
PZU
FUNDACJA PGNiG

MECENAS ZŁOTY
ORLEN
KGHM POLSKA MIEDŹ

DARCZYŃCA
FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER PROJEKTU
Bank Polski
Fundacja
BGK

PARTNER
PGNiG
fundacja arp
FESTIWAL FILMOWY NNW
PFR Fundacja

PARTNER MEDIALNY
RZECZY
HISTORIA

eprasa.pl 6a7b48717c

Homomafia kontratakuje

Tomasz Rowiński

Ksiądz profesor Dariusz Oko został skazany na gigantyczną karę przez niemiecki sąd za artykuł, w którym ośmielił się napisać o siatce seksualnych drapieżców w Kościele i użyć słów „homomafia" i „homoklika". Tak kończy się europejski system wolności słowa

Przeglądam Internet w poszukiwaniu jakiegoś wyroku skazującego za publikację recenzowanego tekstu w naukowym czasopiśmie. Szukam przypadku analogicznego do sytuacji, która właśnie spotkała ks. prof. Dariusza Oko. Za próbę rozpoczęcia akademickiej debaty o homoseksualnej mafii w Kościele katolickim w Niemczech sąd tego kraju skazał kapłana na karę 4,8 tys. euro grzywny. Ponieważ księża nie przyjęli tego wyroku, sprawa trafi do kolejnej instancji. Polskiemu profesorowi grozi kara od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Zresztą nie tylko jemu, lecz także redaktorowi naczelnemu periodyku „Thelogisches" ks. prof. Johannesowi Stöhrowi. Na naszych oczach ideologiczny walec przesuwa się coraz dalej i zaczyna lekceważyć instytucję, na którą sami ideologowie lubią się powoływać, czyli naukę. W przypadku sprawy księży Oko i Stöhra mamy do czynienia z nową jakością procesu zamykania ust.

NIEBEZPIECZNA PRAWDA

Ksiądz Dariusz Oko znany jest z tego, że rozpoczął – prawie przed dekadą – dyskusję na temat homoseksualnego lobby w Kościele katolickim. W roku 2012 opublikował obszerny artykuł „Z papieżem przeciw homoherezji" („Fronda", nr 62/2012). Pisał w nim o swoim zainteresowaniu homoseksualną propagandą oraz jej strukturami w świecie katolickim: „Moją pracę zaczynałem jako zmaganie ze śmiertelnym zagrożeniem zewnętrznym chrześcijaństwa, ale stopniowo odkrywałem, że podział nie jest taki prosty. Przeciwnik jest nie tylko na zewnątrz Kościoła, on jest już w środku, nieraz dobrze zamaskowany, niczym koń trojański. Istnieje nie tylko problem homoideologii i homolobby na zewnątrz Kościoła. Istnieje analogiczny problem także wewnątrz niego, gdzie ideologia przyjmuje postać homoherezji".

Zwracał w swoim tekście uwagę na to, że popularna w mediach narracja o skandalach pedofilskich w Kościele w rzeczywistości ukrywała prawdę o dominacji

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. DANIEL DMITRIEV/FORUM

przestępstw o charakterze homoseksualnym popełnianych przez duchownych. Zamiast mówić o efebofilii, promowano opowieść, która odwracała wzrok opinii publicznej od środowisk politycznego homoseksualizmu, a także od homoseksualnej sieci wewnątrz Kościoła.

„Zatem nie tylko liczba ciężkich przestępstw seksualnych dowodzi siły tego podziemia, lecz także – i to jeszcze bardziej – stopień zaburzenia procesu doboru kandydatów na biskupów, możliwość robienia wielkiej »kariery« w Kościele pomimo popełniania takich czynów, pomimo prowadzenia podwójnego życia. Świadczy o tym także skuteczność tuszowania i ukrywania takich przypadków, często niemożliwa do pokonania blokada wszystkich wewnątrzkościelnych usiłowań obrony pokrzywdzonych, dojścia do elementarnej prawdy i sprawiedliwości. Jakże trudno jest nieraz wyciągnąć wobec homoseksualisty oczywiste, wydawałoby się, konsekwencje za czyny" – pisał ks. Dariusz Oko.

Artykuł został przetłumaczony na kilka języków i był publikowany w różnych sekcjach Radia Watykańskiego. W Niemczech ukazał się na łamach pisma „Thelogisches", które w historii gościło na swoich łamach wybitne postacie niemieckiej teologii.

NOWY ARTYKUŁ

Po latach ks. prof. Dariusz Oko, a także redaktorzy „Thelogisches" uznali, że trwająca w niemieckim Kościele tzw. droga synodalna, mająca zajmować się m.in. kościelną reformą, również w związku z ujawnionymi przestępstwami księży na tle seksualnym, nie podjęła w wystarczającym zakresie kwestii mechanizmów, które stosują środowiska homoseksualnych duchownych, by osłaniać swoje działania i jednocześnie zachowywać wpływ na kościelną strukturę. Artykuł – znany pod polskim tytułem „O konieczności ograniczania klik homoseksualnych w Kościele" i opublikowany w książce „Lawendowa mafia" – wyrasta także z diagnoz dwóch żyjących papieży, czyli Benedykta XVI i Franciszka, którzy potwierdzali, że w Kościele istnieją szajki homoseksualne.

Benedykt XVI w swoim liście „Kościół i skandal nadużyć seksualnych" z roku 2019 pisał m.in.: „W rozmaitych seminariach powstały homoseksualne kliki, które działały mniej lub bardziej jawnie i znacząco zmieniły klimat tych miejsc". Z kolei w roku 2016 kard. Maradiaga w wywiadzie dla honduraskiej gazety „El Mundo" mówił o tym, że papież Franciszek zdaje sobie sprawę z sytuacji istnienia homoseksualnej mafii i stara się tej sytuacji przeciwdziałać. Wypowiedzi te dają podstawy do prowadzenia krytycznych badań nad kościelną pobłażliwością dla aktywnych homoseksualnie duchownych i ich sieciowania się.

„Każdy, kto ma jakąkolwiek wiedzę o działaniu poszczególnych duchownych uwikłanych w homoseksualizm albo o działaniu klik homoseksualnych w Kościele, a także ma możliwości przeciwstawiania się im, a nie demaskuje tychże duchownych czy też klik, może zaciągnąć poważną winę moralną i przyczyniać się do dewastacji Kościoła przez ludzi, którzy niszczą Kościół w najbardziej drastyczny z możliwych sposobów" – pisał w podsumowaniu do tekstu z „Thelogisches" ks. prof. Oko.

SĄD NAD „MOWĄ NIENAWIŚCI"

Jak to się stało, że za taki artykuł ks. Oko usłyszał zarzuty? Z tekstu wyciągnięto fragment, w którym autor siatkę przestępców seksualnych działającą w Kościele porównał do pasożyta wykorzystującego bezwzględnie swego nosiciela, pod lupę zostały także wzięte słowa „homomafia" i „homoklika". Fragmenty te przedstawiono sądowi jako akty mowy nienawiści skierowane przeciwko osobom praktykującym homoseksualizm.

Nietrudno zauważyć manipulację w tym oskarżeniu, sąd się jednak do niej przychylił. Zwrócił na nią uwagę sam ks. Oko: „Czy krytyka przestępczej działalności mafii sycylijskiej to podżeganie do nienawiści wobec ogółu Sycylijczyków? A zatem w jaki sposób akademicki namysł nad wyzwaniem, jakim jest powiązana homoseksualnymi praktykami przestępcza sieć w Kościele, może być podżeganiem do nienawiści wobec ogółu homoseksualistów?".

Sprawa znalazła się na wokandzie nieprzypadkowo. Donosicielem okazał się ks. Wolfgang Rothe, który „od lat publicznie błogosławi pary jednopłciowe i aktywnie promuje ruch polityczny LGBT" – jak czytamy we wstępnym raporcie na temat sprawy przygotowanym przez Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. „Bez trudu można odnaleźć prasowe wzmianki o tym, że został odwołany ze stanowiska wicerektora austriackiego seminarium po tym, jak do mediów trafiło zdjęcie, na którym całował się z jednym z kleryków, a na komputerach w seminarium znaleziono 40 tys. zdjęć pornograficznych, przedstawiających między innymi wykorzystywanie seksualne dzieci" – piszą prawnicy z Ordo Iuris. – Ksiądz Rothe jest prominentnym przedstawicielem lawendowej mafii w Niemczech – mówi mi wprost sam ks. prof. Dariusz Oko.

Księża Oko i Stöhr nie przyjęli wyroku nakazowego niemieckiego sądu i zwrócili się do Ordo Iuris o pomoc prawną. Instytut już skontaktował się z niemieckimi adwokatami, którzy podejmą się sprawy obrony duchownych – jeśli zajdzie taka potrzeba – nawet przed Trybunałem Konstytucyjnym w Karlsruhe czy Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu.

eprasa.pl 6a7b48717c

„Poważne zastrzeżenia mamy wobec podstawy prawnej ścigania księży profesorów. Artykuł 130 niemieckiego kodeksu karnego zakazuje mowy nienawiści wobec szeregu grup, z których żadna nie została wymieniona w artykule ks. prof. Oko. Nic dziwnego, że wydany wyrok w ogóle nie wspomina, wobec kogo właściwie ks. prof. Oko miałby »podżegać do nienawiści«. Ponadto do czynienia mamy z naukowym artykułem, a zatem poruszamy się w przestrzeni wolności akademickiej, wolności sumienia, wolności słowa i krytyki, których ochrona na mocy niemieckiej konstytucji i międzynarodowego systemu praw człowieka stoi na przeszkodzie skazaniu autora i redaktora naczelnego naukowego czasopisma" – skomentował sprawę mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris

– Państwo niemieckie nie może być przedłużeniem homolobby. Wyrok na mnie wygląda, jakby był przepisany bezrefleksyjnie z donosu ks. Rothego. Mam nadzieję, że to wypadek przy pracy, który może zostać skorygowany – mówi „Do Rzeczy" ks. Oko.

NAUKA W SĄDACH

Niedawno Sąd Okręgowy w Kassel – nieprawomocnie – uniewinnił biologa prof. Ulricha Kutscherę z lokalnego uniwersytetu. Został on oskarżony po wywiadzie, którego udzielił w 2017 r. Zwrócił w nim uwagę na ryzyko przestępstw seksualnych wobec dzieci w związkach jednopłciowych, krytykował homoseksualizm. Prokurator żądał, by skazać Kutscherę na cztery miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu i karę grzywny w wysokości 9 tys. euro. Na razie wypowiedź naukowca uznano za objętą prawem do wolności słowa, nawet jeśli – zdaniem sądu – jego światopogląd jest uważany w Niemczech za kontrowersyjny. Jak ostatecznie zakończy się ta sprawa, nie wiadomo. Weźmy to za dobry przykład tego, że próby używania art. 130 niemieckiego kodeksu karnego przeciw akademikom zaczynają być na szczęście kwestionowane.

Warto przypomnieć też sprawę pastora Olafa Latzela, który został skazany jesienią 2020 r. przez sąd w Dortmundzie na 8,1 tys. euro grzywny. Kara została orzeczona m.in. za krytykę ideologii gender. „Ten cały genderowy brud to atak na boski porządek stworzenia, co jest dogłębnie diabelskie i satanistyczne" – cytował słowa Latzela niemiecki portal informacyjny DW.com. Inną przyczyną było to, że nazwał uczestników homoseksualnego Christopher Street Day „przestępcami". W czasie procesu Latzel tłumaczył, że miał na myśli tych uczestników parad, którzy atakowali jego parafię. Jeśli ktoś zna antychrześcijańską agresję charakteryzującą wiele homoseksualnych wydarzeń w Niemczech, to nie uzna tego tłumaczenia za nieprawdopodobne. Pomimo tego, że pastor Latzel starał się wyjaśniać, iż odrzuca homoseksualny styl życia, ale nie ma nic przeciwko homoseksualistom, sędzia Ellen Best uznała, że jego wypowiedzi mogły być potraktowane jako wezwanie do działania przeciwko homoseksualistom.

W sprawie ks. Oko widać, jak władza świecka torpeduje elementarne próby uzdrowienia sytuacji w Kościele

CHRZEŚCIJANIN NA CENZUROWANYM

Sytuacja chrześcijan na zachodzie Europy nie jest łatwa. W roku 2016 wydawca portalu Kreuz-net.at został skazany przez wiedeński sąd za „podżeganie do nienawiści względem homoseksualistów" na cztery miesiące więzienia w zawieszeniu na trzy lata, ponieważ w opublikowanym na portalu w grudniu 2015 r. artykule napisano – jak relacjonowali dziennikarze Pch24.pl – „że syfilis jest »Boża karą« dla »homorozpustników«". Opinię można uznać za dyskusyjną. Ale karalną? Wydawca tłumaczył, że „w kontekście katolickim rozpusta jest pojęciem teologicznym, które oznacza poważnie grzeszne czyny, a mianowicie stosunek płciowy poza sakramentem małżeństwa". Słówko „homo" miało pojawić się jako doprecyzowanie. Sąd był nieugięty.

W lutym tego roku prof. David Engels, mieszkający w Polsce belgijski historyk, na łamach tygodnika „Junge Freiheit" pisał, że „w czasie, gdy polski rząd walczy o zagwarantowanie wolności wypowiedzi w sieciach społecznościowych i na uczelniach, za granicą sytuacja wygląda wręcz katastrofalnie. W szczególności w Niemczech, które skądinąd lubią oskarżać swoich sąsiadów o to, że nie zapewniają wystarczającego »pluralizmu« i »różnorodności«, mamy obecnie do czynienia z wręcz przerażającym ograniczaniem wolności słowa".

W przedrukowanym przez „Tygodnik Solidarność" tekście Engels pisał także, że niemiecki uniwersytet stara się jeszcze bronić przed ideologiczną uniformizacją. Pytanie brzmi, czy sama atmosfera zastraszenia i poprawności nie ogranicza perspektywy badawczej oraz zdolności do rzeczywiście wolnych poszukiwań intelektualnych i badawczych. „Dla wielu naukowców równoznaczne z naukowym i akademickim samobójstwem staje się dzisiaj nierzadko sama tylko próba wyrażenia poglądów będących czymś wręcz powszechnym przez ostatnie dwa, trzy tysiąclecia, a dziś potępianych jako »konserwatywne« i »kontrowersyjne« lub stygmatyzowanych piętnem »nowej prawicy«. Próba wyrwania się z tych narzuconych lewicowych i zielonych ram może skutkować nie tylko wizytami Antify, procesami sądowymi czy utrudnieniami w pracy kwalifikacyjnej, lecz także zamykać jakąkolwiek perspektywę awansu, zatrudnienia, statusu urzędnika państwowego lub uniemożliwiać tak dzisiaj niezbędne dofinansowanie z zewnątrz" – potwierdza te obawy prof. Engels.

Świadczy o tym też manifest opublikowany przez kilkuset niemieckich badaczy znanych jako Netzwerk Wissenschaftsfreiheit. „Obserwujemy oto, że zagwarantowana konstytucyjnie wolność badań i nauczania jest coraz bardziej poddawana moralnym i politycznym zastrzeżeniom. Jest to próba ujednolicenia badań i nauczania na poziomie ideologicznym oraz ich politycznej instrumentalizacji. Każdy, kto nie chce w tym uczestniczyć, musi spodziewać się zdyskredytowania. Powstaje w ten sposób silna presja na dostosowanie się, co coraz częściej prowadzi do dławienia debaty naukowej w samym zarodku" – napisali w nim naukowcy.

W sprawie ks. prof. Dariusza Oko jak w soczewce widzimy, w jaki sposób kończy się europejski system wolności, w którym mogły żyć ostatnie pokolenia, widzimy też, jak władza świecka faktycznie torpeduje elementarne próby uzdrowienia sytuacji w Kościele. Ksiądz Oko może liczyć już tylko na zwycięstwo w sądzie, debata akademicka została zabita. Trzeba mieć nadzieję, że kolejne drobne sukcesy prawników zaczną zniechęcać stalkerów i donosicieli, dla których nauka jest tylko kolejnym obszarem ideologicznej konkwisty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

eprasa.pl 5a7b487f7c

Korzenie kryzysu

Paweł Lisicki

Wstęp do książki „Lawendowa mafia" ks. Dariusza Oko, która ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa AA w 2020 r. Artykuł zawierający główne tezy z tej książki stał się przyczyną skazania ks. Oko za szerzenie mowy nienawiści w Niemczech

W 1996 r. wyjechałem do Wiednia na stypendium i jednocześnie, ponieważ pracowałem w dziale zagranicznym „Rzeczpospolitej", zostałem tam austriackim korespondentem tej gazety. Tak się złożyło, że niemal w dniu przyjazdu w tygodniku „News" ukazał się wielki artykuł, oskarżający miejscowego metropolitę, ówczesnego arcybiskupa Hansa Hermanna Groëra, o to, że kilkadziesiąt lat wcześniej miał dopuścić się molestowania młodego kleryka. Nie chcę teraz dokładnie opisywać tej historii, ataków, obrony, efektów, całej medialnej burzy i jej skutków. Ostatecznie kard. Groër został zmuszony do ustąpienia i oddalenia się do klasztoru. Skierowane przeciw niemu oskarżenia najprawdopodobniej okazały się prawdziwe. Zresztą szybko stało się jasne, że pokrzywdzonych przez austriackiego hierarchę osób jest znacznie więcej.

Piszę o tym tylko z jednego powodu: staram się sobie przypomnieć moje pierwsze wrażenia w związku z tymi doniesieniami i tym samym pokazać, co w międzyczasie wydarzyło się w Kościele. Otóż pierwszą reakcją był szok. Informacja o oskarżeniach skierowanych przeciw kardynałowi, okładka z jego zdjęciem, tekst, wszystko to razem było niczym grom z jasnego nieba. Dla mnie, polskiego katolika, owszem interesującego się teologią i filozofią, ale już nie Kościołem, jego organizacją i życiem, oskarżenia tygodnika „News" wydawały się czymś absolutnie nieprawdopodobnym. Tak, wiedziałem wtedy – odtwarzam swój ówczesny sposób myślenia – że takie zarzuty pojawiały się wobec księży, ale byłem przekonany, ba, byłem pewien, że stawiali je kłamcy, oszczercy, wrogowie, przeciwnicy.

W 1996 r. Kościół miał dla mnie twarz Jana Pawła II, nieżyjącego już kard. Stefana Wyszyńskiego, księży katechetów, którzy uczyli mnie religii w szkole podstawowej i liceum, księży, którzy w latach 80. organizowali nielegalne spotkania, konferencje, koncerty, pielgrzymki. Do tamtej pory nigdy nie zetknąłem się z problemem pedofilii w Kościele. I dlatego też z wielkim trudem musiałem, taki jest obowiązek dziennikarza przecież, przytaczać i opisywać wypowiedzi świadków i analityków, z których wynikało, że nieżyjący już teraz arcybiskup Wiednia najprawdopodobniej był winien zarzucanych mu czynów. Zapewne wtedy, w 1996 r., pierwszy raz, opornie, z niechęcią, zdałem sobie sprawę ze skali kryzysu katolicyzmu.

ISTOTA CHOROBY

Co czułem, kiedy przeczytałem o tej historii? Wstyd, ból, smutek, oburzenie, litość. Wstyd, bo przecież byłem częścią tego Kościoła, kochałem go całym sobą, wierzyłem mu. Atak na kardynała odbierałem jak atak na moje dobre imię, jak atak na coś drogiego, drogocennego, na członka najbliższej rodziny. Ból, tak, bo przecież zarzuty – że arcybiskup jako wychowawca w tak obrzydliwy sposób nadużył swojej władzy, powierzonej mu przecież przez Chrystusa – uderzały w samo serce zaufania wiernego i duszpasterza. Smutek – bo chociaż instynktownie nie wierzyłem w słuszność zarzutów – to jednak niemrawa reakcja kardynała i dość blade zaprzeczenia sprawiały, że musiałem uznać, że coś jest na rzeczy. Niewinny człowiek w obliczu takich oskarżeń odczuwa oburzenie i wściekłość, tych zaś nie umiałem dostrzec. Oburzenie – początkowo na oskarżycieli, a potem na arcybiskupa i z biegiem czasu na cały system, który sprawił, że ktoś taki mógł awansować, że zamiast pozbyć się zdrajcy i niegodziwca na samym początku, dopuszczono do tego,

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. ADOBE STOCK

że dostał najwyższe stanowisko w Kościele Austrii. Wreszcie litość – najpierw, kiedy wierzyłem w niewinność, wobec starego kardynała obwinionego o taką niegodziwość, potem, stopniowo wobec jego ofiar, którym złamał życie, charakter, przyszłość. Przykre to było bardzo doświadczenie.

Teraz wiem znacznie więcej. Teraz, po wszystkich tych kolejnych dyskusjach, analizach, rozmowach, skandalach, awanturach, artykułach i książkach, dokładnie widzę, jakie są korzenie kryzysu. I dlatego tak się cieszę, że ukazuje się książka księdza profesora Dariusza Oko, która z przenikliwością i odwagą intelektualną sięga nie powierzchni, ale istoty choroby. Tak, jej ukazanie się daje otuchę i nadzieję, że mądrzejsi o doświadczenia innych nie popełnimy tych samych błędów, jak to było na Zachodzie. Że Polska nie ulegnie ekspansji ideologii gender i coraz bardziej prężnych klik homoseksualistów. Chociaż, przykro to powiedzieć, powodów do optymizmu zbyt wiele nie ma. Polska na razie zdaje się podążać dokładnie tym samym szlakiem, co inne państwa. Prawdziwe pytanie brzmi następująco – i ks. Oko doskonale je rozumie: czy ideologia gender lub ideologia LGBT+ (w istocie jest to jedna i ta sama ideologia, której głównym

KS. DARIUSZ OKO „LAWENDOWA MAFIA" WYDAWNICTWO AA 2020

celem jest skonstruowanie człowieka na nowo bez względu na naturalny podział na mężczyzn i kobiety) zniszczy obecną kulturę, zachodnią cywilizację czy też uda się ten atak odeprzeć. Chociaż ks. Oko skupia się w swoich tekstach przede wszystkim na Kościele, to nigdy nie traci szerszej perspektywy.

Zajmuje się kwestią podstawową: Jak to jest możliwe, że właśnie Kościół został w takim stopniu opanowany przez homoseksualistów? Dlaczego to w nim rozwinęła się specyficzna, przyjazna homoseksualistom kultura życia? Nie chodzi tu o odosobnione przypadki, ale o skuteczną, żądną władzy, wzajemnie się chroniącą i wspierającą, doskonale zorganizowaną grupę. Ponieważ na zewnątrz nie da się jej dostrzec, a o jej istnieniu dowiadujemy się jedynie za sprawą kolejnych afer i skandali, słusznie można ją nazwać homomafią. Jak jest ona liczna? Ksiądz Oko pisze w pewnym momencie o tym, że w niektórych amerykańskich seminariach należy do niej niemal połowa duchownych. A także znaczący procent biskupów.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że pojawienie się takiej mafii w Kościele jest czymś niemożliwym. O ile można sobie wyobrazić, że homoseksualiści mogą opanować niektóre środowiska czy zawody ze względu na typowy dla nich „otwarty" stosunek do zasad moralności – na przykład artyści, malarze, aktorzy – o tyle jak to możliwe, że przenikną oni na taką skalę do duchowieństwa? Tak, wracam tu znowu do swoich odczuć z Wiednia: to, że akurat w Kościele zagnieździ się homomafia, lawendowa mafia, homoseksualna klika – jak zwał, tak zwał – wydawało się ponurym żartem, ironią losu, groteską. Jak to? W Kościele? W Kościele, który nauczał i naucza, że relacje homoseksualne są sprzeczne z naturą? Który w kapłanie widzi drugiego Chrystusa? Który od księży domaga się celibatu i wzywa do czystości? Który z całą mocą bronił i broni prawa naturalnego? I to tam miałby zagnieździć się grzech, który słusznie nazywano wołającym o pomstę do nieba? To tam miano by tolerować, wspierać, chronić i pozwolić rozwijać się najgorszej możliwej, obrzydliwej rozpuście sodomickiej? A jednak fakty są nieubłagane.

ODRZUCANIE CNÓT

W latach 60. kandydaci na księży trafiali do seminariów ze świata, w którym już panowała rewolucja seksualna, w którym postępowała seksualizacja kultury i cywilizacji. Przychodzili ze środowiska, w którym odrzucano dawne cnoty. Czystość uchodziła za niedojrzałość, wstrzemięźliwość za formę skrępowania, umartwienie za przeżytek masochistycznej świadomości. Jedynym akceptowanym dobrem stały się pożądanie i fizyczna rozkosz. Całe rzesze psychoanalityków tłumaczyły, że prawdziwy rozwój człowieka polega na spełnieniu się, na zaspokojeniu. Autentyczne było to, co podświadome, co ukryte, co stłumione. Rozum, prawo, obiektywne normy jawiły się jako bariery dla ludzkiego szczęścia. Emancypacja jednostki, wyzwolenie ze wszystkich więzów, doświadczanie przekraczania tabu – to miało być celem. W tym społeczeństwie słuchano się takich mędrców, jak Herbert Marcuse, Daniel Cohn-Bendit czy Michel Foucault. To w nim wychowali się chłopcy, którzy trafiali do seminariów. I co tam znajdowali? Rozprzężenie dyscypliny, odrzucenie dawnych praktyk ascetycznych i modlitewnych, przekonanie, że to, co dawne i tradycyjne, już nie obowiązuje. Trafiali na atmosferę zwątpienia, niepewności, chaosu. W takiej atmosferze przyzwolenia na wszystko, co nowe, kultura homoseksualna wdarła się i podbiła seminaria.

„Tak Kościół paraliżuje jego wewnętrzna homomafia, która jak kolonia pasożytów dba przede wszystkim o siebie, a nie o nosiciela, kosztem którego żyje. Tylko jej istnienie może wyjaśnić, dlaczego tacy duchowni mogą dochodzić aż tak wysoko i prawie zawsze pozostawać aż tak bezkarni. A takich ludzi jest w Kościele cały legion. Trzeba jednak dobrze rozumieć, co oznacza to dla nich samych oraz dla całego Kościoła, jakie procesy zaczynają w nich i w nim zachodzić. To jest niezwykle ważne, a dotąd nie było wystarczająco przedmiotem namysłu ani teologów, ani duszpasterzy. Dla nich samych oznacza to postępujący proces duchowego samozniszczenia, proces coraz większej moralnej degrengolady. Życie w zanurzeniu w grzechu staje się dla nich normą, a zwykła przyzwoitość najwyżej naiwnością

eprasa.pl 6a7b48717c

i głupotą". Te słowa ks. Oko doskonale ujmują istotę zagrożenia. Wskutek zmian obyczajowych, które z taką gwałtownością zmieniły cywilizację zachodnią od połowy lat 60., Kościół został wewnętrznie sparaliżowany. Jaki jest ostateczny cel tego ruchu?

CEL: HOMOLAND

Może zacznę od odpowiedzi na drugie pytanie. Opanowanie Kościoła przez kliki homoseksualne ma na celu nie tylko swobodę wyżycia się i zaspokojenia pożądania w całkowicie bezkarny sposób – starsi chronią młodszych, silniejsi i wyżej postawieni w hierarchii słabszych, nowi klerycy stają się obiektem pożądania wychowawców, a potem, złamani i wewnętrznie rozbici, sami szukają młodego narybku – lecz także przede wszystkim zniszczenie Kościoła jako świadka prawdy. To jest najważniejszy cel. Skoro Kościołowi Chrystus powierzył troskę o depozyt wiary i moralność, skoro jest on filarem i podporą prawdy, to doprowadzenie go do aprobaty dla homoseksualizmu jest prawdziwym i najważniejszym zadaniem aktywistów LGBT+, którzy infiltrują katolickie duchowieństwo. W ten sposób już nie katolicyzm, ale świecki radykalizm, którego „zbrojnym ramieniem" są ruchy feministyczno-homoseksualne, ma zdobyć ostateczne zwycięstwo nad duchem Zachodu.

Ruchy LGBT dążą do uniwersalnego podboju świata, do przemian prawa, obyczajów, systemu edukacji. Dla nowej lewicy sprawiedliwość to totalna równość, czyli brak zróżnicowania, wolność to absolutna spontaniczność, szczęście to anarchiczne rozpasanie. Wbrew popularnej propagandzie ruchom LGBT nie chodzi o żadną tolerancję. Celem jest brutalne podbicie świadomości społecznej, doprowadzenie do powszechnej akceptacji ich praktyk i obyczajów, do sytuacji, w której nikt nie ma prawa oceniać. Moralne jest wszystko, co daje dorosłym jednostkom przyjemność. Kto próbuje się odwoływać do innych, zewnętrznych miar, ten jest dogmatykiem, fanatykiem. Kto ocenia, ten dyskryminuje. A kto dyskryminuje, musi zostać wykluczony.

Umownie można powiedzieć, że celem takiej rewolucji jest homoland, państwo, w którym praktyki homoseksualne są w prawdziwym tego słowa znaczeniu normą. To państwo, w którym wszelkie formy współżycia – między osobami tej samej płci, transwestytami, w układach takich lub siakich, w trójkątach, pięciokątach lub innych wielokątach – są dozwolone, prawnie zalegalizowane i moralnie równowartościowe. Homoland to projekt społeczeństwa, które odrzuca prawo naturalne, naturalną rodzinę i nieporównywalną wartość związku mężczyzny i kobiety. Idzie za tym radykalna próba redefinicji znaczenia życia. Wszystkie kultury i cywilizacje otaczały związek mężczyzny i kobiety szacunkiem, bo z niego rodziły się dzieci. Życie było przekazywane tylko za pośrednictwem rodziny. Jednak w homolandzie tak ma już nie być. Ideałem jest para (lub większa grupa) homoerotyczna, która jednocześnie ma dzieci. Dzięki homoerotyzmowi taka para wolna jest od konieczności biologicznej, a posiadanie dzieci pokazuje, że społeczeństwo taki nowy tryb życia respektuje i pochwala. To, co naturalne, jawi się dzisiejszym rewolucjonistom jako forma przemocy. Fakt, że mężczyzna pożąda kobiety, a kobieta mężczyzny, to skrajny przejaw niewoli. Podobnie niewolą jest to, że z takiego związku rodzą się dzieci. Homoland to inna nazwa dawnej komunistycznej utopii albo bolszewickiego społeczeństwa bezklasowego, w którym udało się całkowicie oddzielić popęd płciowy od płodzenia, zaspokojenie seksualne od potomstwa. To społeczeństwo bezpłciowe, radykalnie jednolite i antyhierarchiczne.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Żeby to zrozumieć, wystarczy zobaczyć, jakie były korzenie ruchu LGBT. Pierwsze stowarzyszenie broniące cywilnych praw homoseksualistów w USA, Mattachine Society, zostało założone w 1950 r. przez Harry'ego Haya, radykalnego komunistę, marksistę z przekonania. To on jako pierwszy uznał, że właśnie homoseksualiści będą nowym proletariatem, są bowiem, jak sądził, najbardziej uciśnioną grupą społeczną. Tak jak w XIX w. robotnicy mieli doprowadzić do obalenia kapitalizmu i wznieść na jego zgliszczach komunizm, tak teraz w rolę dziejowego mesjasza mieli wcielić się geje i lesbijki. Dlaczego? Bo są mniejszością i stanowią żywe zaprzeczenie kapitalistycznej, burżuazyjnej moralności. Bo mają w sobie poczucie winy i skrzywdzenia. Są zatem naturalnym nośnikiem buntu i sprzeciwu. W samych sobie mają zakodowaną nienawiść i wrogość do normy. Nie należy ich zatem leczyć, ale, przeciwnie, trzeba ten ich potencjał wrogości wykorzystać. Użyć go przeciw więzom prawa naturalnego.

Tak jak kiedyś marksiści mówili o dominacji klasowej, tak teraz aktywiści LGBT zaczęli mówić o dominacji natury i biologii. To, co naturalne – podział na płeć męską i żeńską – stało się w ich oczach dziełem przemocy i przymusu kulturowego. Tak jak komuniści negowali istnienie naturalnego prawa do własności, tak ich XX-wieczni amerykańscy następcy odrzucili naturalne istnienie płci i rodziny. Związek kobiety i mężczyzny przestał być czymś naturalnym, w ich oczach stał się jedynie konwencją kulturową równie dobrą jak każda inna. Wyzwolenie człowieka zyskało nową postać. Już nie chodziło o emancypację od niesprawiedliwych stosunków społecznych, ale o emancypację od tego, co najbardziej naturalne – płciowości. Tak jak dla marksistów nie istniała obiektywna moralność – była ona jedynie nadbudową nad systemem relacji gospodarczych, ukrytą formą kontroli klas uciskanych przez klasy posiadające, tak dla aktywistów LGBT+ moralność i obyczaje stały się jedynie nadbudową nad systemem dominacji płci. Prawdziwe wyzwolenie musiało i musi pociągać za sobą obalenie tego systemu. Nie wolno już było oceniać ludzkich pożądań w kategoriach moralnych: nie ma żadnego znaczenia, czy ludzie zaspokajają swoje żądze w ten czy inny sposób. Każdy, który daje przyjemność, jest równie dobry.

Nowa ideologia ma jasno sprecyzowane cele: po pierwsze, ma ona doprowadzić do powszechnej akceptacji dla wszystkich możliwych wynaturzeń i uczynić z jednostkowej przyjemności jedyną miarę wartości i etyki. To, co zasługuje na wstyd, ma zostać pochwalone, a to, co jest przejawem słabości, ma być przedmiotem dumy. Obrona normalności ma zostać zakazana. Po drugie, ma ona w sobie wyraźne tendencje totalitarne. Jej celem jest wymuszenie i podporządkowanie. Tu nie ma miejsca dla tolerancji. Tęczowa flaga jest narzędziem agresji i podboju. Komu się to nie podoba, ten zostanie poddany reedukacji. Albo karze. Po trzecie, ideologa ta zasadza się na kłamstwie. Działacze LGBT+, wraz ze sprzyjającymi im mediami, nieustannie przedstawiają siebie jako ofiary. Nigdy jeszcze z taką mocą dzięki propagandzie nie próbowano zmienić znaczeń. Ofiary – większość broniących swojej katolickiej tożsamości Polaków przedstawia się jako agresorów; agresorzy – którzy raz po raz bezczeszczą to, co święte, i symbolicz-

eprasa.pl 6a7b48717c

nie atakują obecną kulturę – występują w roli ofiar. Po czwarte, ideolodzy ci korzystają z politycznego wsparcia potęg tego świata, w ostatnim czasie również ambasad, na czele z ambasadą USA, przez co mają poczucie bezkarności, siły. To sprawia, że są tak bezczelni i przekraczają kolejne granice.

Ideologowie chcą nas przekonać, że płeć jest czymś umownym, konstruktem społecznym. Że relacje erotyczne nie są nakierowane na przekazywanie życia, ale są dowolnymi formami poszukiwania zaspokojenia. Takie działanie wbrew własnej naturze, stworzonej przez Boga, nie jest łatwe i oznacza ciągłe przezwyciężanie wyrzutów sumienia. Żeby je zatrzeć, aktywiści gejowscy wymyślili masowe marsze, tzw. parady równości, oraz pojęcie dumy gejowskiej. To, co wcześniej było wstydliwe, teraz miało się stać przedmiotem dumy. Oczywiście to absurdalne: Jak można być dumnym z tego, że odczuwa się pociąg do osób tej samej płci? Co jest w tym wielkiego? O ile można być dumnym z własnej ojczyzny, ze swego rodu, z osiągnięć swoich lub dzieci, a nawet z posiadanych dóbr, o tyle jak można być dumnym z pożądania do osób tej samej płci i jego zaspokajania? To niedorzeczne. Ale zabieg okazał się skuteczny. W chwili, kiedy pierwsze jądro, pierwsza grupa upolitycznionych homoseksualistów uwierzyła w swoją nową rolę i pozycję, powstał matrix. Rzeczywiście, można to porównać do rozrostu komórek rakowych. W jego wnętrzu wszyscy muszą być dumni z tego, co na dumę nie zasługuje. Tych, którzy się z tym nie zgadzają, po prostu usuwa się poza nawias. Najważniejsza jest emocjonalna jedność. Żeby życie w matriksie dawało złudzenie autentyczności, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że uczestniczy w akcie zbiorowej autosugestii, należy zlikwidować zewnętrznego świadka. Rewolucjonistom udało się zmusić do uległości już znaczącą liczbę wspólnot chrześcijańskich, zdobyli kontrolę nad większością anglikanów czy nad oficjalnymi Kościołami protestanckimi w Europie. To samo chcą teraz zrobić z Kościołem katolickim. To ostatni bastion oporu, ostatnie źródło sprzeciwu.

Ruchom LGBT nie chodzi o żadną tolerancję. Celem jest brutalne podbicie świadomości społecznej

Dlatego z jednej strony wkraczający do seminariów homoseksualni klerycy szli tam, bo szukali łatwego dostępu do mężczyzn, a potem chłopców, z drugiej strony chcieli doprowadzić do ostatecznej moralnej, religijnej legalizacji swojego postępowania. Na razie jeszcze im się to nie udało, chociaż, trzeba niestety powiedzieć, bliżsi są dziś tego niż kiedykolwiek.

Nowi teologowie próbują za wszelką cenę zmienić treść chrześcijaństwa. Nim się to jednak stanie, nim zbliżymy się do krainy szczęścia, w której każdy mężczyzna będzie trochę kobietą, a każda kobieta trochę mężczyzną, nim każdy heteroseksualista okaże się homoseksualistą, biseksualistą i poliseksualistą, trzeba pokonać stary, represyjny ład. Przejęcie słowa Bożego, podporządkowanie go konkretnej ideologii, uczynienia z Biblii księgi wspierającej feministki, homoseksualistów lub innych lewicowców, a z Kościoła ich promotora daje złudzenie powszechnej, uniwersalnej akceptacji. Pozwala pogodzić się z własną słabością i przypadłością: skoro nawet święta Księga, właściwie zinterpretowana, mówi dokładnie to samo, co ideolodzy chcą usłyszeć, to tylko utwierdza ich to w wyznawanych poglądach. Oczywiście, żeby tak było, żeby słowo Boga przemieniło się w słowo człowieka, żeby zobowiązujące człowieka prawo Boże stało się wytworzonym przez człowieka konstruktem, potrzeba odpowiednich teologów, którzy dokonają tej sztuki przekładu.

NA KOLANA PRZED ŚWIATEM

Podejście tych nowych inżynierów dusz tak opisuje ks. Oko: „Ich dążenia, ich myślenie, ich »teologia« w istocie są poddaniem się światu przeciwnemu chrześcijaństwu, są padnięciem na kolana przed światem, a nie przed Bogiem. Jest to mentalność społeczeństwa konsumpcyjnego, które ponad wszystko stawia doraźną, krótkotrwałą przyjemność zmysłową, kieruje się nie zasadą prawdy i dobra, nie prawdą Ewangelii, ale zasadą przyjemności i kłamstwa świata. Tacy ludzie oczywiście chcą iść do nieba, ale równocześnie na ziemi chcą zażyć wszystkich możliwych przyjemności – choćby najbardziej przeciwnych Bogu, grzesznych i krzywdzących innych. Dlatego tworzą sobie teologię bez Krzyża, czyli także bez Jezusa. Jest to niejako »teologia luksusowa«, która nieuchronnie staje się teologią zdrady, antyteologią, teologią judaszowokainową. […] Strategią takich »teologów« jest z reguły nie konieczna obrona chrześcijaństwa przed ideologiami i kłamstwami świata, jak czynił to Chrystus wobec faryzeuszów, ale właśnie poddanie się światu, kapitulacja przed jego przemocą, ulegnięcie jego zniewoleniu".

Ksiądz Oko wkłada wiele wysiłku w to, by wykazać, że przed naporem tych teologów-ideologów chroni katolików nauczanie papieży, w tym także papieża Franciszka. Według autora „Homoherezji w Kościele" obecny następca Świętego Piotra, tak jak jego poprzednicy, stoi na czele obrońców tradycyjnej nauki moralnej. Cóż, trudno mi się z tym stwierdzeniem zgodzić. Nie zamierzam tu przytaczać wielu wypowiedzi i gestów papieskich, powiedzmy, niejasnych. Wystarczy co innego. Otóż sam ks. Oko trafnie zauważa, że „znamiennym przykładem homoklanów w Kościele był Watykański Synod poświęcony wykorzystywaniu nieletnich w lutym 2019 roku. Chociaż sprawcami przestępstw efebofilskich i pedofilskich wśród duchownych przynajmniej w około 80 procentach są ci o skłonnościach homoseksualnych, którzy dlatego też wyłącznie dokonują ich na młodzieńcach i chłopcach, zabronione było wskazywanie na ten oczywisty związek, na olbrzymią nadreprezentację homoseksualistów wśród duchownych i świeckich efebofilów i pedofilów". Następnie autor słusznie się na to przemilczenie oburza. Tylko, to właśnie moje pytanie, kto w takim razie zabronił poruszać tego tematu? „Zabronione było"… Przez kogo? Przykro to powiedzieć, ale nie znajduję innej sensownej odpowiedzi niż najprostsza: poruszanie tego tematu było zabronione przez tego, który jako jedyny mógł tego zabronić.

Poza tą jedną wątpliwością eseje ks. Oko mogę polecić z czystym sumieniem. Okazuje się, że mimo walca poprawności politycznej, mimo rozrostu jaczejek rewolucyjnych, w Polsce wciąż znajdują się odważni księża, którzy spokojnie, rzeczowo, przy pomocy argumentów i analiz potrafią pokazać skalę zagrożenia. Nie dają się zaszczuć propagandystom z Czerskiej, nie dają się zakrzyczeć innym nadwiślańskim rzecznikom tęczowej rewolucji. Robią swoje. I to jest najważniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Z Witoldem Waszczykowskim, eurodeputowanym i byłym ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Jacek Przybylski

„Traktaty, głupcze!”

JACEK PRZYBYLSKI: „Porozumienie w sprawie Nord Stream 2 (NS2) to pokoleniowy błąd geopolityczny” – przekonuje republikański senator Ted Cruz, podkreślając, że „rosyjscy dyktatorzy przez dekady będą czerpać miliardy dolarów każdego roku dzięki prezentowi od Joe Bidena”. Zgadza się pan z tą oceną?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Tak, całkowicie. To ogromny błąd geopolityczny i wyraz ogromnej naiwności Joe Bidena. Podobnie jak wielu amerykańskich kongresmenów, którzy są przeciwni Nord Stream 2, jesteśmy zaskoczeni taką decyzją. Zarówno sam Biden, jak i członkowie jego administracji mówili bowiem, że nie będą powtarzać błędów resetu z czasów rządów Baracka Obamy. Tymczasem realizując politykę appeasementu i bezwarunkowych ustępstw wobec Władimira Putina, obecna ekipa Białego Domu powtarza te błędy. To porozumienie jest przypieczętowaniem wielu koncesji na rzecz prezydenta Rosji, co może zostać przez Putina uznane za oznakę słabości.

Po co Biden to zrobił?

Wszyscy podejrzewają, że głównym motywem ustępstw USA jest chęć przekonania Rosji i Niemiec do wsparcia amerykańskiej rywalizacji z Chinami. Kreml nie ma jednak absolutnie żadnego interesu, aby to robić. Przeciwnie, konflikt amerykańsko-chiński jest Rosji jak najbardziej na rękę. Również Niemcom bardziej się opłaca współpraca z Chinami.

Nie rozumiem, dlaczego Biden przymyka oczy na to, że kolejny rosyjski gazociąg dostarczy Rosjanom miliardów dolarów, które zostaną wykorzystane na zbrojenia, co będzie zagrażać NATO.

Poza tym kolejna instalacja rosyjska będzie wymówką dla Putina do wzmacniania

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. MELANIE WENGER/EU/EP

obecności rosyjskich wojsk na Bałtyku, co również zagrozi interesom NATO. I w końcu nie wiem, dlaczego Biden nie chce zrozumieć, że Nord Stream 1 i Nord Stream 2 to instrumenty szantażu, które Rosjanie mogą wykorzystywać przeciwko Europie Środkowo-Wschodniej. Wiara w to, że Putin zobowiązał się, iż nie będzie ich do szantażu wykorzystywał, jest zupełnie niezrozumiałą naiwnością amerykańską. I to mimo że Bidena przedstawia się w świecie jako człowieka niezwykle doświadczonego, z ponad 40-letnim stażem głównie w polityce zagranicznej.

Niektórzy spekulują, że z racji wieku w praktyce to nie Biden pociąga za sznurki w Białym Domu i że za takimi decyzjami stoją wiceprezydent i jej otoczenie. Co pan na to?

Nie umiem tego powiedzieć, bo na razie Kamala Harris jest publicznie mało aktywna. Nie wykluczam jednak, że ma spory wpływ na decyzje prezydenta.

Czy mimo zgody prezydenta Bidena można coś jeszcze coś zrobić, aby nie dopuścić do ukończenia NS2?

Zachęcam polskie władze do podjęcia jak najpilniejszych rozmów z amerykańską dyplomacją, aby to wyjaśnić. Nie zalecam obrażania się i pokrzykiwania, że to druga Jałta czy Teheran, ale do tego, aby zrozumieć amerykańską argumentację i przekonać Biały Dom do zmiany polityki. Udało się to nam za rządów Baracka Obamy, który przecież też zaczął rządy od resetu z Rosją, a pod koniec kadencji zaakceptował decyzje o rozmieszczeniu dodatkowych wojsk USA oraz NATO na terenie Polski.

Teraz też trzeba przypominać administracji USA całą historię zachowania Rosji. Politycy mają bowiem często pamięć rybki w akwarium i bieżące sprawy często natychmiast przysłaniają im świadomość starych błędów. Trzeba więc zarzucić Biały Dom faktami, informacjami o tym, jak działa Putin, który próbuje przekonywać, że Ukraińcy to nie osobny naród, ale Rosjanie. Ponadto trzeba lobbować u członków Kongresu, by ci doprowadzili do przyjęcia katalogu konkretnych działań represyjnych, które zostałyby podjęte, gdyby Rosja pogwałciła porozumienie w sprawie Nord Stream 2. Warto też przekonywać kongresmenów do podejmowania działań zmierzających do zablokowania możliwości użycia gazociągu, bo przecież to, że zostanie on ukończony, nie oznacza jeszcze wcale, że za jego pośrednictwem musi być przesyłany gaz.

Na razie Putin może się chwalić ważnym sukcesem. Coraz częściej mówi się też o jego powrocie na światowe salony. Czy to powinno zmniejszyć zagrożenie militarne Polski, czy też przeciwnie – jak uczy historia – wkrótce po ustępstwach można się spodziewać kolejnego ataku rosyjskich wojsk, np. na dalsze terytoria Ukrainy?

Na pewno należy się spodziewać kolejnego szantażu. Putin, mając możliwość wstrzymania dostaw gazu do Europy Środkowo-Wschodniej, będzie mógł zwiększyć presję na Ukrainę i nie wiem, jakie sankcje zastosują w takiej sytuacji Amerykanie, bo nie zostały one w tym porozumieniu zdefiniowane. Po Gruzji, po aneksie Krymu i po Donbasie Putinowi nie zrobiono jednak wielkiej krzywdy, więc zachęcono go do dalszej eskalacji konfliktu z Ukrainą.

Putin marzy o aneksji całej Ukrainy?

Uważam, że wcale nie jest mu na rękę całkowite opanowanie Ukrainy. Raczej będzie w dalszym ciągu destabilizował ten kraj, aby był on nieatrakcyjny do bliższej integracji z NATO czy UE i zapewne będzie czekał, aż niezadowolona ludność Ukrainy dokona anty-Majdanu i powróci do porozumień z Rosją. Im dłużej ten konflikt trwa, tym mocniej narasta jednak przywiązanie do niepodległości i ukraińskiej tożsamości oraz świadomość tego, że Rosja jest wrogiem. Nadzieje Putina są więc chyba płonne.

Nord Stream 2 zwiększy też ryzyko zbrojnego ataku na Polskę?

Jeśli Rosjanie będą wykorzystywać dochody z Nord Stream 2 – a szacuje się, że będzie to co najmniej 3 mld dol. czystego zysku rocznie – do modernizacji swojej armii, to na pewno jej część będzie stacjonowała w obwodzie kaliningradzkim. To będzie bezpośrednio zagrażało Polsce. Rosjanie wykorzystają też Nord Stream 2 jako pretekst do zwiększenia swojej obecności na Morzu Bałtyckim – jako wymówki użyją właśnie potrzebę ochrony swojego gazociągu.

Już dzisiaj mamy zapowiedź manewrów Zapad 2021. A przecież wiadomo, że podczas poprzednich takich manewrów Rosjanie razem z Białorusinami ćwiczyli – na mapach i za pomocą symulacji komputerowych – bezpośredni atak na Polskę z użyciem broni atomowej.

Nie można nie brać tego pod uwagę, podobnie jak nie powinno się zapominać o rosyjskim ataku na Gruzję i Ukrainę, aneksji Krymu, wznieceniu rewolty w Donbasie czy też o tym, że jeszcze kilkanaście tygodni temu potężne rosyjskie wojska stały na granicy z Ukrainą i groziły inwazją na ten kraj. Tymczasem nagle Amerykanie przechodzą z Rosją do zasady „business as usual". Mógłbym się tego spodziewać po Niemcach, którzy nalegają, by Putin znów mógł gościć na europejskich salonach, ale nie spodziewałem się takiego błędu po Bidenie.

eprasa.pl 6a7b48717c

Czy decyzja Niemców o dokończeniu budowy gazociągu Nord Stream 2 wbrew protestom Polski czy Ukrainy to jasny sygnał, że nie ma już czegoś takiego jak „solidarność europejska"?

To jest rzecz głębsza. Spór filozoficzno-koncepcyjno-strategiczny, w który wchodziłem z nimi, gdy budowali jeszcze Nord Stream 1. Otóż Niemcy wychodzą z założenia, że Europa powinna współpracować z Rosją, dzięki czemu Unia będzie mogła eksportować do Moskwy różne standardy i normy zachowania. To oczywiście iluzja, o czym przypominałem Niemcom już przy budowie NS1.

Druga kwestia to mit wielkich zysków, na które Niemcy liczą na rynku rosyjskim. Wielu Niemców – mimo że ich handel z Polską jest nadal większy niż z Rosją – żyje nadzieją na potencjalne lukratywne kontrakty z Moskwą. Ja już przy okazji budowy Nord Stream 2 mówiłem Niemcom wprost: to nie wy narzucicie Rosjanom standardy demokratyczne, ale to oni będą psuli normy europejskie. I wkrótce po tym okazało się, że na rosyjskiej liście płac znaleźli się były kanclerz Gerhard Schröder, była minister spraw zagranicznych Austrii czy były premier Francji. Rosjanie zamiast przejmować standardy europejskie, po prostu je psują.

Mimo to Niemcy wręcz w irracjonalny sposób odrzucają jakiekolwiek nasze obawy, ostrzeżenia czy sugestie mówiące, że Rosja pieniędzy ze współpracy z Unią Europejską będzie używać nie do demokratyzacji, rozwoju i postępu, lecz do prowadzenia imperialnej polityki.

Niemcy i Amerykanie chcą za to nam narzucać standardy i wychowywać w kwestiach ideologicznych. Widzi pan jeszcze jakikolwiek sens prowadzenia wojny ideologicznej z Zachodem dotyczącej LGBT?

To ogromna wojna. To jednak nie jest spór rozpoczęty przez państwo, lecz przez środowiska genderowe i środowiska LGBT, które są wykorzystywane przez neomarksistów do niszczenia standardów w społeczeństwach europejskich. Tak jak sto lat temu marksiści uznali, że tzw. klasa robotnicza będzie taranem do zdobywania przez nich władzy, tak teraz używa się tzw. środowisk wykluczonych. Do walki używane jest więc środowisko LGBT, które walczy nie o równouprawnienie – bo wszystkie prawa w Polsce od dawna posiada – ale o dodatkowe przywileje.

Społeczeństwo próbuje się więc bronić. Nie jest to tylko kwestia rządu, bo – jak widać – bronią się również samorządy. Również różne warstwy społeczeństwa nie chcą pogodzić się z tym, że maleńka mniejszość, szacowana przez naukowców na 2 proc. społeczeństwa, ma mieć prawo do zawierania małżeństw, adopcji dzieci czy ulg podatkowych, a więc przywileje przewidziane w konstytucji dla tradycyjnych rodzin.

Konferencja w sprawie przyszłości Europy jest taką pełzającą próbą zmiany ustroju UE bez zmian w traktatach

Jeszcze raz podkreślę: osoby LGBT mają w Polsce pełnię praw, więc niech nie opowiadają koszałków-opałków, że nie mogą się odwiedzać w szpitalach, dziedziczyć majątku czy legalnie żyć razem – wszystko można bowiem uregulować za pomocą umów prawno-cywilnych, notarialnych etc.

Proszę zauważyć, że nawet tzw. partie lewicowe jak Lewica czy SLD nie przyłączają się do tych ruchów. Oczywiście niektórzy wypowiadają się na ten temat, ale tylko dlatego, żeby spróbować zrobić krzywdę rządowi. Rzeczywiście problem ten przetacza się niczym walec przez kolejne kraje świata. Nie wiem, jak ta wojna się skończy, ale na pewno warto mówić prawdę o tym, co się dzieje, i nie uciekać w jakieś ideologiczne eufemizmy. W tej wojnie nie chodzi o równouprawnienie, chodzi o dodatkowe przywileje.

Eurodeputowany Radosław Sikorski przekonuje, że PiS chce zrobić w Polsce „skansen klerykalno-nacjonalistyczny". Czy ta wojna o prawdę nie skończy się odebraniem nam funduszy przez UE?

Gdy Bruksela karmiona jest fałszywymi informacjami i takimi pseudoopiniami o Polsce, to oczywiście rządowi trudniej przekonywać o prawdziwej sytuacji osób LGBT w naszym kraju. Trudność polega na tym, że my nie toczymy dyskusji z Brukselą i instytucjami europejskimi na bazie prawno-traktatowej. Toczymy spór polityczno-ideologiczny. Gdybyśmy przenieśli ten spór na bazę traktatową, to prawo jest po naszej stronie – traktaty europejskie nie upoważniają nikogo z instytucji europejskich do ingerowania w te sfery życia w Polsce. Żaden traktat nie odnosi się do tzw. praworządności – to pojęcie nigdzie w dokumentach nie jest zdefiniowane. Żaden traktat nie daje instytucjom europejskim prawa ingerowania w sferę edukacji, wychowania dzieci do życia w rodzinie czy kwestii społecznych. Wszystkie te kwestie są pozostawione państwom narodowym.

Niektóre aspekty są jednak w traktacie lizbońskim.

Przypominam, że Polska podpisała tzw. protokół brytyjski, który wyłącza nas z tych niektórych kwestii zawartych w traktacie lizbońskim. Czyli należy brutalnie i szczerze przypominać, również panu Sikorskiemu: „Traktaty, głupcze!". Najpierw spójrz na to, co mówi prawo europejskie, a dopiero później domagaj się zmian lub oskarżaj Polskę o rzekome łamanie reguł prawa.

Właśnie dlatego podkreślam, że nasze spory z instytucjami europejskimi nie są sporami prawnymi, lecz ideologicznymi. Prawo jest po polskiej stronie.

Te spory mogą być kosztowne. Węgrzy już płacą cenę za tzw. ustawę o ochronie dzieci, bo Bruksela wstrzymała im wypłatę pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy.

Jest to dopiero groźba. Jedyne, co Węgrzy rzeczywiście stracili, to fundusze norweskie, ale przypominam, że Norwegia nie jest w Unii Europejskiej i może robić to, co chce. Budapeszt wcale nie stracił jeszcze żadnych unijnych pieniędzy – po prostu plany odbudowy nie zostały jeszcze całkowicie zatwierdzone.

Oczywiście toczy się ostry spór. Obserwujemy potężną napaść na Polskę i Węgry i próby nielegalnego wykorzystywania groźby blokowania wypłaty funduszy unijnych. Trzeba więc przypominać wszystkim i w Polsce, i w Brukseli, że fundusze europejskie nie są nagrodą za ładne sprawowanie rządów narodowych i takie, a nie inne wybory demokratycznych władz.

Fundusze te są rekompensatą za otwarcie słabszych gospodarek na silne gospodarki UE. Jest to czysto ekonomiczny deal. Nasza słabsza gospodarka otworzyła się na przedsiębiorstwa z Niemiec, Francji, Holandii etc., które robią tu krociowe zyski. Fundusze unijne są więc rekompensatą i ich wypłata nie może mieć nic wspólnego z tym, czy pan Tuleya będzie sędzią czy też nie. Wszelkie apele o blokowanie wypłaty Polsce tych funduszy są pozatraktatowe, więc są

eprasa.pl 6a7b48717c

one po prostu bezprawne. Trzeba o tym przypominać, by odwrócić tę orwellowską retorykę: obecnie bowiem Polsce łamanie praworządności zarzucają ci, którzy de facto sami próbują łamać praworządność i nie dotrzymywać traktatowych zobowiązań wobec nas.

Sądzi pan, że to z tego powodu Donald Tusk otrzymał misję odbicia władzy w Warszawie?

Słyszałem opinie o tym, że Donald Tusk został do powrotu do polskiej polityki przekonany przez Niemców, a nawet przez nich wysłany. Nie wiem tego. Niewykluczone jednak, że Tusk sam zrozumiał, iż nie zdołał zrobić kariery w Unii Europejskiej. Jego pięcioletnia kadencja zakończyła się katastrofą – w tym czasie doszło nie tylko do brexitu, lecz także do eskalacji problemu z zalewem Europy przez nielegalnych imigrantów. Po tych pięciu latach odszedł bez sukcesów. Jego krótka kadencja jako szefa EPP również zakończyła się bez żadnych nowych propozycji. Tusk nie ma więc wyjścia – musi szukać jakiegoś pola przeżycia politycznego w kraju. Można tylko zauważyć, że podejmowana przez niego próba wzniecenia antyrządowej rewolty dziwnym trafem zbiega się z działaniami podejmowanymi przeciwko rządowi PiS przez instytucje europejskie, a to przez Trybunał Sprawiedliwości, a to Komisję Europejską. Można więc spekulować, czy te działania nie są skoordynowane, ale ja oczywiście tego nie wiem.

Rząd ma problem nie tylko z UE. W lipcu do Warszawy przyleciał podsekretarz stanu USA Derek Chollet, który skupił się na grożeniu Polsce palcem w sprawie tzw. lex TVN. Po co drażnić sojuszników ustawami typu „lex TVN", skoro i tak koniec końców PiS wycofa się zapewne z kontrowersyjnych przepisów, zanim na dobre zostaną wprowadzone?

Odwróciłbym to pytanie: Dlaczego TVN robi z tej ustawy ideologiczną krucjatę przeciwko rządowi? Czy istnienie TVN24 to jest warunek demokracji w Polsce? Dlaczego TVN, który sam sobie nabroił w Polsce i prowadzi stację teoretycznie informacyjną, która nie zajmuje się jednak informowaniem, lecz stała się adwokatem polskiej opozycji? Stacja, która od lat czynnie prowadzi działania antyrządowe, nagle ściąga na pomoc polityków amerykańskich do walki z rządem Polski.

Prawda jest taka, że to rząd Polski, po wielu latach zwłoki, chce wreszcie przywrócić jakiś porządek prawno-właścicielski wobec tej stacji.

Amerykanie tego nie kupią...

A dlaczego nie? Jeśli usiądziemy z Amerykanami i przesuniemy ten spór z poziomu ideologiczno-politycznego na prawno-finansowy, to będzie to zupełnie inna rozmowa. Jeśli pokażemy, jak wyglądają rozwiązania kwestii dotyczących własności mediów w innych krajach europejskich, i wytłumaczymy, że w Polsce przez lata sprawy te były zaniedbywane, ale należy je wreszcie uporządkować, to może dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Przecież nie chcemy wyganiać Amerykanów, a jedynie dostosować nasze prawo do różnego rodzaju unijnych dyrektyw.

I pan wierzy, że to się uda?

Nie wiem, ale warto się o to starać, aby zrobić porządek w regulacjach prawnych i gospodarczych.

Grupa amerykańskich senatorów chce przekonać prezydenta Dudę, aby zawetował ewentualną nowelizację Kodeksu postępowania administracyjnego. Czy Warszawie uda się w końcu przekonać Waszyngton do uznania, że Polska ma prawo postępować z mieniem bezspadkowym tak samo jak Stany Zjednoczone czy inne kraje świata?

Znów odwrócę pańskie pytanie. A może to Amerykanie powinni nas przekonywać, dlaczego Polska ma być wyjątkiem na świecie. Dlaczego to właśnie Polska ma zerwać z dwutysięczną tradycją prawa rzymskiego, które zakłada, że mienie bezspadkowe przechodzi na rzecz państwa? Dlaczego Amerykanie chcą, by Polska sprzecznie z prawdą historyczną uznała się za sprawcę Holokaustu i wypłacała z tego tytułu jakieś odszkodowania? Niech wreszcie Amerykanie powiedzą, dlaczego mielibyśmy to zrobić. Jeżeli ktoś domaga się odejścia od dwutysięcznej tradycji prawnej, to może niech zaproponuje takie rozwiązanie na całym świecie, a nie tylko w Polsce. Przecież w tej kwestii dochodzimy już do absurdu.

Czy absurdem są też według pana ostrzeżenia, że dalsze zaognianie konfliktu z UE doprowadzi w końcu do polexitu? Czy scenariusz wyjścia z UE jest przez PiS brany pod uwagę?

Już tylko lekarz może pomóc tym, którzy wciąż straszą polexitem. Co prawda, Grzegorz Schetyna zgłaszał pomysł, by zrobić referendum w sprawie naszego funkcjonowania w UE, ale wśród polityków Zjednoczonej Prawicy nie ma żadnych koncepcji wychodzenia z Unii Europejskiej – nawet mimo obecnych dyskusji na temat tzw. praworządności czy unijnych funduszy. Członkostwo w UE jest dla nas wyborem geopolitycznym. Jesteśmy częścią Europy i odkąd tysiąc lat temu Mieszko wprowadził nas do cywilizacji zachodniej, to czujemy się członkami europejskiej społeczności, wyznajemy podobne wartości, akceptujemy koncepcje prawa rzymskiego, filozofii greckiej i etyki chrześcijańskiej. I z tych powodów jesteśmy członkiem UE i zostaniemy nim nawet, gdy za kilka lat staniemy się płatnikiem netto. Jako silna gospodarka będziemy bowiem wówczas zarabiali na dostępie do słabszych gospodarek.

Tusk sam zrozumiał, że nie zdołał zrobić kariery w Unii Europejskiej. Jego pięcioletnia kadencja zakończyła się katastrofą

Polexitem straszy wyłącznie totalna opozycja, która nie może się już zdecydować, czy chcemy wyjścia z UE czy zamiany Polski w Koreę Północną lub Białoruś. W przypadkach takiego rozchwiania emocjonalnego pomóc może tylko lekarz...

A jednak Polacy nie biorą zbyt aktywnego udziału w konferencji w sprawie przyszłości Europy, przez co na jej wyniki mogą mieć większy wpływ grupy przeciwne tradycyjnym wartościom i zwolennicy Unii jako supermocarstwa...

Konferencja w sprawie przyszłości Europy jest taką pełzającą próbą zmiany ustroju Unii Europejskiej bez zmian w traktatach. I rzeczywiście powinniśmy w tej sprawie apelować do społeczeństwa i nakłaniać do debaty. Próbujemy to robić, ale nasze społeczeństwo jest mało zainteresowane polityką. W wyborach krajowych od 30 lat uczestniczy zaledwie połowa uprawnionych. A skoro połowa Polaków nie interesuje się kwestiami społecznymi czy socjalnymi, to tym bardziej trudno jest nakłonić znaczącą grupę społeczeństwa do aktywnego udziału w dyskusji o bardzo skomplikowanych rozwiązaniach europejskich. To nie jest wina rządu ani społeczeństwa, tylko tego, że te kwestie są naprawdę skomplikowane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Reforma sądów:

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli ustąpimy przed uzurpacją TSUE i KE, to będziemy musieli ustępować dalej, aż do kompletnej utraty suwerenności. Ponadto poniesiemy koszty brnięcia w ewidentnie nieudaną reformę. Dlatego polexit to przyszła konieczność

Nie tylko w Zjednoczonej Prawicy, ale nawet w samym Prawie i Sprawiedliwości nie ma zgody, co zrobić z wyrokiem TSUE. Czy lepiej, mimo wszystkiego, co dotąd powiedziano, ugiąć się – czy trwać przy swoim, odmówić płacenia zapowiadanych przez Komisję Europejską kar i eskalować wojnę, licząc, że pogróżki Komisji okażą się blefem?

Jednych przekonuje narracja „ziobrystów", że jeśli ulegniemy bezprawiu i podporządkujemy się wyrokowi, w którym TSUE uzurpuje sobie uprawnienia niewynikające z traktatów, to rozzuchwalimy zarówno eurokrację, dążącą metodą faktów dokonanych do budowy europaństwa ponad rządami narodowymi, jak i zachęcimy do dalszego demolowania wymiaru sprawiedliwości sędziowski rokosz, walczący o przywrócenie korporacji sędziowskiej (i innym korporacjom prawniczym) statusu „państwa w państwie", jakim cieszyły się przez ćwierćwiecze po Okrągłym Stole. Inni skłonni są raczej przyznać rację pragmatykom, że nie warto tracić tak wiele w obronie Izby Dyscyplinarnej, która jak dotąd przecież i tak nikogo zdyscyplinować nie zdołała i nie zapowiada się na to.

WSZYSCY MAJĄ RACJĘ

Obie strony żywią głęboką wiarę, że Jarosław Kaczyński jest po ich stronie. Ten wysłuchuje na razie argumentów, z którymi przychodzą do niego deputacje od premiera i ministra sprawiedliwości. I zachowuje milczenie. Jednak coś w końcu będzie musiał postanowić – czasu na decyzję pozostaje coraz mniej, jeśli Komisja Europejska nie wycofa się z pogróżek, to zacznie naliczanie kar już za dwa tygodnie.

Problem w tym, że właściwie obie strony mają rację. Unijni urzędnicy wydają się zdeterminowani, by Polskę złamać i upokorzyć bez względu na koszta, jakie może to pociągnąć dla unijnej spójności. Złe skutki odsunięcia na bok unijnych traktatów na rzecz skuteczności i „nauczki" dla krnąbrnego kraju, jeśli przyjdą, to dopiero za jakiś czas. A eurokraci myślą w krótkiej perspektywie – Frans Timmermans, przegrany u siebie w Holandii, jako pogromca Polski wylansował się w tym środowisku znakomicie, podobnie jak sędzia de Lapuerta, przed wysłaniem do TSUE skromna urzędniczka w hiszpańskim ministerstwie sprawiedliwości. Ursula van der Leyen nic nie zyska, ustępując Polsce, a może pomóc swej karierze podobnie jak wymieniona dwójka. Liczne znaki dowodzą, że w kręgach eurokracji panuje swoista poprawność, zgodnie z którą każde działanie służące budowie unijnego superpaństwa, obojętne, prawem czy lewem, jest dziejową koniecznością i nie może być w żaden sposób dyskutowane, a tym bardziej sabotowane.

Innymi słowy – jeśli ustąpimy przed uzurpacją TSUE i KE, to będziemy musieli ustępować dalej, aż do kompletnej utraty suwerenności.

Ponadto faktem jest, że koszty starcia z Brukselą – z którego korzyści, tu akurat z naszego punktu widzenia jest odwrotnie, przyjść mogą dopiero w dalszej perspektywie – poniesiemy za brnięcie w reformę, która ewidentnie się nie udała, co zresztą otwarcie przyznał ostatnio sam prezes. Wymiar sprawiedliwości nie działa lepiej niż przed atakiem na „kastę", a sama „kasta" wręcz czuje się jeszcze bardziej bezkarna. Jedyne, co na razie spotkało najbardziej zajadłych wrogów rządu, to odsunięcie od orzekania – w praktyce oznacza to, że pensja przychodzi na konto, a zamiast pracować, można się wylegiwać albo objeżdżać Polskę z podróżnym politycznym wiecem pod pozorem promowania „konstytucji" (bo choć teraz rokosz walczy o uznanie Konstytucji RP za podrzędną wobec orzeczeń TSUE, to nie przestał posługiwać się nią jako totemem).

PiS ewidentnie przeliczył się z siłami. Zamiast rozwiązań systemowych postawił na ręczne sterowanie, zamiast polityki wybrał czołowe zderzenie z całym środowiskiem. W efekcie zjednoczył je przeciwko sobie i okazał się za słaby, by wygrać. Jeżeli kilka lat temu większość prawników sprzyjała opozycji i sabotowała władzę po cichu, to teraz robią to już zupełnie otwarcie, czego dowodem otwarty bunt sędziów Sądu Najwyższego przeciwko prezes Manowskiej czy idąca w setki liczba sędziów okręgowych podpisujących się pod apelem o „wykonanie

eprasa.pl 6a7b48717c

europejski pat

FOT. ADOBE STOCK

wyroku" TSUE. A ci, którzy zawdzięczają kariery PiS, wydają się coraz bardziej zainteresowani wkupieniem się jakoś w łaski rokoszan niż dalszym wspieraniem rządu w reformie, która nie wiadomo już właściwie, na czym ma polegać.

MOŻNA BYŁO MĄDRZEJ

„Okazja raz stracona jest stracona na zawsze" – mawiał sławny brytyjski pirat Francis Drake. PiS mógł rozegrać mądrzej sprawę Trybunału Konstytucyjnego – wystarczyłaby cierpliwość, i tak już wszyscy jego członkowie pochodzą z nominacji obecnej władzy. Nie było potrzeby nocnej „konwalidacji", sztuczek z zaprzysięganiem sędziów po nocy i odwlekaniem publikacji orzeczenia, można też było znaleźć mniej kontrowersyjnych kandydatów na sędziów niż polityczny harcownik Piotrowicz, obciążony w dodatku zawodową przeszłością, czy nieumiejąca się powstrzymać od żenujących i nielicujących z piastowaną godnością publicznych pyskówek Pawłowicz. Przede wszystkim dużo lepsze efekty dałoby wdrożenie pierwotnego projektu reformy, w którym większość KRS miała być wybierana przez ogół sędziów. Bojąc się utraty choć odrobiny kontroli nad przebiegiem reformy, przegrano ją – na razie – całą.

Jeśli kapitulacja przed unijnym naciskiem oznacza konieczność kolejnych kapitulacji w przyszłości, to z kolei upór przy podtrzymywaniu status quo oznacza nie tylko kary finansowe za istnienie Izby Dyscyplinarnej, lecz także perspektywę utraty pieniędzy z Funduszu Odbudowy, na których oparł PiS całą swą strategię, Polski Ład i komunikację ze swymi wyborcami. Dlatego zresztą eurokraci, widząc, że polski rząd całkowicie się uzależnił od ich decyzji, utwardzili stanowisko – mimo iż złożony jako jeden z pierwszych polski plan odbudowy trzymany jest w zamrażarce, z niedwuznaczną sugestią, że w razie nieposłuszeństwa zostanie zablokowany, tak jak już zrobiono to Węgrom, pod pretekstem „zagrożenia korupcją". „Nie mogą tego zrobić, nie mają prawa" – odpowiadają pytani o sprawę politycy PiS, co wydaje się przejawem skrajnej naiwności i „chciejstwa"; jako się rzekło, urzędnicy unijni okazali już wyraźnie, że w imię wielkiego celu „pogłębienia integracji" są zdecydowani naginać i wręcz łamać traktaty.

PRZEKONAĆ LUDZI DO OPUSZCZENIA UE

Oczywiście po ogłoszeniu 12 dyrektyw „Fit for 55" nie ulega już wątpliwości, że jeśli Polska chce zachować osiągnięcia ostatnich 30 lat i przyzwoity poziom życia, to wyjście z politycznych struktur Unii będzie w ciągu kilku najbliższych lat koniecznością. Być może nie byłoby złym planem doprowadzić do tego już teraz, z wykorzystaniem dla przekonania społeczeństwa oczywistego podeptania polskiej godności, jakiego dopuszczają się eurokraci, nie rozumiejąc, że ci Polacy, których znają, nie są reprezentatywni dla ogółu. Wymagałoby to działań i deklaracji radykalnych – włącznie z wycofaniem się z Funduszu Odbudowy. Jest to możliwe, pewnie nawet by się opłaciło zapożyczać na własny rachunek, a nie w ramach wspólnego długu unijnego. Ale czy PiS ma dość odwagi, by zrobić krok, który doda wiatru w żagle od dawna straszącej polexitem opozycji? Z drugiej strony – możliwe, że w PiS przeważy obawa przed cofnięciem się i upokorzeniem, które rozczaruje żelazny elektorat.

Presję TSUE i KE można, przy odrobinie politycznej zręczności, której dotąd brakowało, wykorzystać do poprawienia wcześniejszych błędów. Choć sędziowski rokosz i wspierająca go opozycja nie przyjmują do wiadomości jakiegokolwiek innego wariantu niż powrót do stanu, w którym sędziowie – a ściślej, sędziowski establishment – kontroluje dostęp do zawodu, wybiera swoje władze i odpowiada wyłącznie przed samym sobą, to zmiana zakwestionowanych przez TSUE ustaw nie musi oznaczać całkowitej rezygnacji z zamiaru rozbicia pookrągłostołowej sądowej skamieliny. Tyle że po kilku latach nieskutecznych prób poddania środowiska sędziowskiego kontroli jest to jeszcze trudniejsze, niż było u zarania reformy, a z dotychczasowych doświadczeń z rządami PiS wynika, że napotykając opór, Jarosław Kaczyński nie szuka rozwiązań finezyjnych ani nie stara się o ominięcie przeszkody, tylko – przeciwnie – nakazuje jeszcze mocniejsze, frontalne uderzenie. Zwykle idzie to w parze ze znalezieniem winnego dotychczasowych niepowodzeń. Nie trzeba dodawać, że stronnictwa premiera i ministra sprawiedliwości nieustannie atakują prezesa przekazem, że winni są tamci.

Na razie możliwe jest każde rozwiązanie. Mimo utraty Senatu PiS wciąż przecież jest w stanie przeprowadzić skutecznie, choć nieco wolniej niż w poprzedniej kadencji, każdą ustawę, jakiej potrzebuje.

Musi tylko wiedzieć, co chce uchwalić – a tego właśnie najwyraźniej wciąż jeszcze nie wie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Tylko nie bądź mamą!

Kamila Baranowska

Po wielkiej kampanii proaborcyjnej przyszła pora na kampanię antyrodzicielską. Dlaczego niektórym środowiskom tak bardzo zależy, by zohydzić kobietom macierzyństwo?

Jedną z ostatnich wielkich sensacji, którą ogłosiły nam media, są badania, z których ma wynikać, że aż 13 proc. rodziców w Polsce żałuje, że ma dzieci! I że to blisko dwa razy więcej niż w Niemczech, gdzie również podobne sensacje jakiś czas temu ogłoszono.

„Badanie dr. Konrada Piotrowskiego rzuca światło nie tylko na mocne tabu, lecz także jest jedną z pierwszych prac uwzględniających kontekst psychologiczny tego szokującego zjawiska – obalającego mit zawsze szczęśliwego rodzicielstwa" – czytamy w „Gazecie Wyborczej".

Widać, że redakcję „Gazety Wyborczej", a zwłaszcza jej kobiecego dodatku „Wysokich Obcasów", bardzo ów „mit" szczęśliwego rodzicielstwa uwiera. W ostatnim czasie mamy bowiem wysyp tekstów (całkiem nowych lub dawniejszych, a teraz nagle wygrzebanych z szuflad), które jeśli nie zachwalają aborcji (słynne „Aborcja jest OK"), to dowodzą, że posiadanie dzieci źle wpływa na klimat, albo pokazują kobiety, które żałują, że mają dzieci, albo opisują te, które dzieci mieć nie chcą, bo uważają, że bezdzietność jest fajniejsza. I tak w kółko. Trudno nie odnieść wrażenia, że to nie przypadek, lecz całkiem przemyślana kampania, mająca obrzydzić kobietom macierzyństwo.

CIENIE BEZ BLASKÓW

Na początek warto zaznaczyć, że nie ma nic złego w tekstach pokazujących cienie rodzicielstwa i odkłamujących cukierkowatą, lansowaną przez większość celebrytek na Instagramie wizję pełnych energii i zawsze zadowolonych fit mam z uśmiechniętymi bobasami. Problem zaczyna się wówczas, gdy pokazując cienie rodzicielstwa, pomija się całkiem lub zbywa jednym zdaniem wszystkie jego blaski, których jest po prostu więcej. O czym wie każda matka, a o czym zdają się nie wiedzieć albo udają, że nie wiedzą, panie z „Wysokich Obcasów".

Jeszcze zanim pojawiły się przytoczone na początku badania o tym, jak bardzo polskie kobiety żałują, że są matkami, w „Wysokich Obcasach" pojawił się inny tekst o zbliżonej tematyce pod znamiennym tytułem „»Tak. Żałuję bycia mamą«. Kobiet, które żałują macierzyństwa, jest więcej, niż sądzimy". Autorka na podstawie swoich doświadczeń, kiedy pozostawała przez trzy miesiące non stop (bo mąż był na wyjeździe) z siedmioletnim synem, pisze, że miała momenty, iż „wolałaby być gdzie indziej i z kim innym, na pewno nie z moim dzieckiem w domu". I w związku z tym „kryzysem" (sama użyła cudzysłowu) zaczęła się zastanawiać, czy nie żałuje bycia mamą, i krygując się jednak przed odpowiedzią wprost, przeszła płynnie do wniosku, że „w naszym kraju niezadowolenie z macierzyństwa to największe tabu". Powołała się także na badania socjolog Orny Donath, która swego czasu zadała pytanie Niemkom, czy żałują macierzyństwa, i okazało się, że tak, więc na tej podstawie napisała książkę „Żałując macierzyństwa" (wyszła też po polsku). Autorka tekstu konkluduje, że generalnie o żałowaniu macierzyństwa należy mówić.

Toteż w „Wysokich Obcasach" mówią, a raczej piszą z zacięciem godnym lepszej sprawy. I nie tylko tam, bo temat ten coraz częściej zaczyna się także pojawiać na rozmaitych portalach kobiecych czy parentingowych. Krok po kroku neutralizuje się poglądy, które jeszcze niedawno większość społeczeństwa, a zwłaszcza kobiet, odruchowo odrzucała – że można żałować urodzenia własnych dzieci albo z góry zakładać, że nie chce się ich mieć ze względu na własną wygodę i egoizm. Dzisiaj takie opinie traktowane są już nie jako kuriozalne, lecz godne pochwały. W świecie, w którym najwyższą wartością staje się komfort życia i szczęście rozumiane jako materialne zaspokojenie potrzeb, dzieci są przeszkodą, bo zabierają czas, energię i fundusze, blokując perspektywy.

Nie jest przypadkiem, że środowiska najgłośniej lobbujące za wolnym dostę-

eprasa.pl 6a7b48717c

pem do aborcji, tłumaczące kobietom, że to ich święte prawo, równolegle angażują się z podobną siłą w zohydzanie kobietom macierzyństwa jako takiego i promowanie życia w wersji bezdzietnej jako modelu atrakcyjniejszego od tradycyjnego z mężem, dziećmi i rodziną. Celem są tu młode dziewczyny, które mamami dopiero mogą zostać. To do nich kierowane są teksty o tym, jak macierzyństwo jest frustrujące i jak o wiele atrakcyjniejsze jest nieposiadanie dzieci.

DZIECI TO „NIESZCZĘŚCIE"

„Posiadanie dzieci nie czyni ludzi szczęśliwymi" – czytamy na portalu parenting.pl (sic!). To tekst o badaniach nad szczęściem, które miały wykazać, że posiadanie dzieci nie uszczęśliwia ludzi. W innym tekście na tym samym portalu czytamy zaś, że „posiadanie dziecka jest postrzegane przez społeczeństwo jako obowiązek, który należy spełnić, inaczej działa się wbrew naturze". I dalej: „Niestety często przy tym zapomina się, że każdy człowiek jest inny i ma inne priorytety. Dla jednych będą one dotyczyły dzieci, dla innych priorytetem będzie kariera czy podróżowanie. I nie ma w tym nic złego, ponieważ spełnienie życiowe można osiągnąć w różny sposób".

Na początku lipca także w „Wysokich Obcasach" mogliśmy przeczytać reportaż o bezdzietnych z wyboru. Już sam tytuł w odpowiedni sposób ustawiał tekst: „Czasem słyszą »Jak nie ma się dzieci, to po co w ogóle żyć?«. A bezdzietni z wyboru nie czują pustki". Swoją drogą sam fakt, że trzeba o tym zapewniać, pokazuje, że coś w tym wspaniałym obrazku bezdzietności jednak nie do końca gra. Jedna z bohaterek tekstu tłumaczy, że nie chce dzieci, bo „należy do osób straumatyzowanych zmianami klimatycznymi". – Wody będzie coraz mniej, jedzenie zdrożeje. A kiedyś się skończy – tłumaczy dziewczyna. I dorzuca jeszcze, że boi się ciąży i porodu, a poza tym, co sama podkreśla, jest „dosyć egoistyczną osobą, nastawioną na siebie". Poza tym, jeśli kiedyś zmieni zdanie i najdzie ją chęć na dziecko, to po prostu je sobie adoptuje. Proste, prawda? Kolejni bohaterowie, para, też tłumaczą, że „chcą podróżować, realizować swoje pasje i dobrze się bawić, a nie inwestować w rozwój innego człowieka i poświęcać mu czas". O tym, co będzie za 10 lat, nie myślą, ale podkreślają, że zdania co do dzieci nie zmienią. Dziewczyna tłumaczy, że „nie czuje się komfortowo w towarzystwie małych dzieci".

Inny argument za nieposiadaniem dzieci to kariera. „Albo dziecko, albo kariera. Wraz z narodzinami dziecka pojawia się mamuśka" – w tekście pod tym tytułem czytamy, że generalnie przed urodzeniem dziecka wiele kobiet uważa, że „posiadanie dzieci w XXI w. nie jest przeszkodą dla kariery zawodowej", ale – uwaga, uwaga! – „gdy jednak zostają matkami, radykalnie zmieniają swoje nastawienie". Tego typu przykłady artykułów, reportaży, wywiadów, przedruków, recenzji książek można mnożyć i mnożyć, bo w archiwum „Wysokich Obcasów" jest tego pełno. O wiele więcej niż tekstów poświęconych temu, jak uczynić swoje macierzyństwo lepszym i szczęśliwszym, a nie bronić się przed nim jak przed czymś najgorszym na świecie.

POZORNY TŁUM

Osobna kategoria, w której wyspecjalizowały się „Wysokie Obcasy", to listy do redakcji, w których oburzone czytelniczki piszą, jak to nie zgadzają się na to, by oceniać ich decyzje na temat rodzicielstwa i podejścia do życia. Chodzi o stworzenie wrażenia, że kobiet o podobnym poglądzie na macierzyństwo jest więcej, tylko dotąd bały się o tym mówić. A teraz mogą napisać do „Wysokich Obcasów" i dać upust albo swojej macierzyńskiej frustracji, albo swoim deklaracjom o bezdzietności. Dla większej wiarygodności pojawił się nawet list w obronie macierzyństwa. Głównym argumentem było tam to, by pamiątki rodzinne nie walały się po śmietnikach i by po śmierci nie trzeba było szukać denata po zapachu, bo tak kończą ludzie samotni. Wiadomo, że sprowadzenie macierzyństwa do takich motywacji to woda na młyn dla tych, którym do macierzyństwa nie spieszno, więc można sobie wyobrazić, co się działo w odpowiedziach na ten list.

„Każdego dnia walczę ze sobą, by moje dziecko nie odczuło, że żałuję, że je urodziłam" – to także fragment jednego z listów do redakcji „Wyborczej". I dalej: „Tęsknię za swoim poprzednim życiem, za wolnością, za brakiem ciągłego lęku o człowieka całkowicie ode mnie zależnego. Tęsknię za możliwościami, które miałam przed sobą, za dbaniem o swój intelekt i ciało. Patrzę na moje dziecko, tęsknię i żałuję, że je urodziłam". Inny list: „Kobieta w Polsce jest warta tyle, ile dzieci zdołała urodzić. Czy mamy prawo żyć nie dla dziecka, ale dla siebie?" – pyta oburzona czytelniczka. Jej oburzenie wywołał film dokumentalny, który oglądała i w którym lekarz powiedział do kamery, że podjął się trudnej operacji, bo pacjentka ma małe dzieci i ma dla kogo żyć. „Ach tak, czyli gdyby nie miała, to niech zdycha" – wnioskuje czytelniczka „Wysokich Obcasów".

W jednym z analizowanych tu tekstów poświęconych życiu bez dzieci jest fragment mówiący o tym, że wśród kobiet urodzonych w 1960 r. tylko ok. 7 proc. nigdy nie urodziło dziecka, ale już wśród tych urodzonych 15 lat później będzie to 20 proc. I że to więcej niż w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. „Wyborcza", pisząc o przyczynach takiego stanu rzeczy, cytuje między innymi badania socjologów z UKSW w Warszawie, z których to badań wynika, że najmniejszą potrzebę zostania rodzicami mają osoby, które koncentrują się na negatywnych aspektach rodzicielstwa (czas, energia, finanse), a w przypadku kobiet dodatkowo ważną rolę odgrywa negatywne postrzeganie porodu i opieki nad małym dzieckiem.

Cóż, niektórzy – jak widać – robią wiele, by te negatywne aspekty rodzicielstwa ugruntowywać. Pozostaje trzymać kciuki za mądrość i rozsądek polskich kobiet, dla których – co wciąż wynika ze wszystkich badań – wartości rodzinne są nadal na pierwszym miejscu wśród życiowych priorytetów.

W ostatnim czasie mamy wysyp tekstów, które albo pokazują kobiety, które żałują, że mają dzieci, albo opisują te, które dzieci mieć nie chcą, bo uważają, że bezdzietność jest fajniejsza FOT. WYBORCZA.PL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Smartfonowe wychowanie

Łukasz Zboralski

Dziecko płacze? Tata daje smartfona. Dziecko się nudzi? Mama daje tablet. Polscy rodzice zaczynają wyręczać się urządzeniami mobilnymi już przy dwulatkach. Wśród maluchów do szóstego roku życia połowa patrzy w kolorowe ekrany. Czy wiemy, jaką krzywdę to im wyrządza?

Małe dziecko oglądające bajeczki albo poruszające coś palcem na ekranie elektronicznego urządzenia. Widzimy to wszędzie – w domach, w restauracjach, podczas podróży. Kiedy dorośli muszą włożyć więcej wysiłku w to, by dziecko się nie nudziło – smartfon do zabawy. Kiedy trzeba samo dziecko zmotywować do podjęcia wysiłku, nauczenia się czegoś, zjedzenia posiłku – smartfon w nagrodę. Kiedy mama jest zmęczona i chce mieć „chwilę dla siebie" – smartfon. Kiedy dorośli muszą zająć się domowymi obowiązkami i nie mogą bawić się z malcem – smartfon.

Współcześni rodzice zabrnęli już za daleko i pokazuje to dobitnie najnowsze badanie Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej – raport „Brzdąc w sieci – zjawisko korzystania z urządzeń mobilnych przez dzieci w wieku 0–6 lat" autorstwa dr Magdaleny Rowickiej i dr. Michała Bujalskiego.

NOWORODKI Z KOMÓRKAMI

Jak wynika z badania, które objęło ponad 2 tys. rodziców, ponad połowa (54 proc.) małych dzieci w wieku od 0 do 6 lat korzysta z urządzeń mobilnych. Większość tych urządzeń jest podłączona do Internetu (75 proc.). Tego rodzaju sprzęt trafia w małe rączki w Polsce, gdy dziecko – średnio – ma nieco ponad dwa lata.

Troje na czworo dzieci ma kontakt ze smartfonami, tabletami czy laptopami podczas podróżowania. Co drugie dziecko zajmuje się tym podczas posiłków. Co dziewiąte używa urządzeń mobilnych podczas toalety.

Niektóre dzieci bardzo wcześnie zapoznają się z technologiami. Przed ukończeniem pierwszego roku życia więcej niż co 10. noworodek dostaje w Polsce do ręki urządzenie mobilne (12 proc.). Z wiekiem odsetek dzieci, którym rodzice dają smartfony czy tablety, znacznie rośnie. W grupie dzieci w wieku od roku do niespełna dwóch lat korzysta z takich urządzeń już 36 proc. Wśród tych, które mają od dwóch do niespełna czterech lat – 60 proc. A wśród pięcio- i sześciolatków jest to już 75 proc.

Wcześniejsze badania z innych krajów – m.in. USA czy Wielkiej Brytanii – wskazują, że to nie tylko polska specyfika. Nie jest to jednak żadnym pocieszeniem. Bo wprawdzie przy użyciu nowoczesnych technologii rodzic może rozwijać swoje

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 6a7b48717c

dziecko, to jednak dawanie mu smartfona do ręki zwykle nie jest wspólnym uczeniem się z dzieckiem, a zwykłym kupowaniem sobie wolnego czasu. I potwierdzenie tego też znajdziemy w omawianym raporcie.

To smutne, ale współcześni rodzice traktują telefon jako delegowanie opieki. Czytanie książeczek, budowanie z klocków, układanie puzzli, gra w gry i dziecięce zabawy – to wszystko wymaga od dorosłego wysiłku, porzucenia swojego świata, swoich zajęć, swoich przyjemności. Tymczasem polscy rodzice często rezygnują ze swej roli, wyręczając się nowymi technologiami. 85 proc. z nich daje dziecku urządzenie mobilne, gdy „nie ma energii na zajęcie się dzieckiem". Ponad 85 proc. robi to, gdy „potrzebuje chwili dla siebie". 90 proc. rodziców wyręcza się smartfonami, gdy musi zająć się innymi czynnościami domowymi. I na koniec – najbardziej wstrząsające wyznanie – 75 proc. rodziców zostawia dziecko z kolorowym ekranem, gdy „nie ma pomysłu, co można robić innego razem z dzieckiem". Ponad 80 proc. daje dzieciom takie urządzenia, gdy te „się nudzą".

Tu widać – i nie będzie to wniosek na wyrost – problem współczesnego rodzicielstwa, które zamienia się w model „posiadania" dziecka wykastrowany z całego wkładu dorosłego we wspólne wzrastanie z nowym członkiem społeczeństwa. I będzie to niestety problem narastający. Kolejne pokolenia wychowane przez takich rodziców same nie będą miały wzorca, jak zajmować się własnymi dziećmi (o ile w ogóle będą chciały je mieć).

– Oczywiście, że to jest trudne, by poświęcać dziecku 20 godzin na dobę i czasem człowiek chce coś zrobić dla siebie. Jednak skoro decydujemy się na dzieci, to jest to pewna odpowiedzialność – mówi „Do Rzeczy" współautorka badania APS dr Magdalena Rowicka. – Widzę też pewną pułapkę w tym, że dziecko siedzące w domu rodzice uznają za bezpieczniejsze niż przebywające poza domem, bez ich kontroli. Jednak w sieci może spotkać je wiele złego. Dlatego to też naprawdę wymaga uwagi rodzica. Poświęcajmy więcej czasu naszym dzieciom.

NIE TEGO POTRZEBUJE DZIECKO

Raport ASP nie po raz pierwszy (wspomnijmy choćby opracowanie na zlecenie Fundacji Dzieci Niczyje – „Jak małe dzieci korzystają z urządzeń mobilnych? Raport na podstawie danych zebranych od rodziców" z 2015 r., autorstwa Agnieszki Bąk) wskazuje na wiele zagrożeń związanych z używaniem przez dzieci elektronicznych gadżetów. Od dawna wiadomo, że intensywne korzystanie z urządzeń elektronicznych we wczesnym wieku ma związek z obniżoną koncentracją i trudnościami w nauce czy zwiększonym ryzykiem aspołecznych zachowań w przyszłości. Amerykańska Akademia Pediatrii w wydanych w 2016 r. rekomendacjach zaznaczała, że dzieci do 18. miesiąca życia w ogóle nie powinny mieć kontaktu z ekranami telewizyjnymi, komputerowymi czy mobilnymi.

Najmocniej narażoną grupą są dzieci do szóstego roku życia. To w tym czasie następuje proces naintensywniejszego dojrzewania mózgu. Wówczas kształtują się u nich wzorce funkcjonowania psychicznego i społecznego. Przykład? Dzieci w okresie ok. dwóch lat zaczynają już nieźle się poruszać (zwykle chodzą bez problemu i sprawnie posługują się tym, co wezmą w rączki), przeżywają poważne emocje, ale tych emocji nie potrafią jeszcze kontrolować. To czas, gdy pod opieką dorosłych dotykają i rozpoznają wiele przedmiotów, uczą się nimi posługiwać, badają je na własny sposób. Ekran w dłoni wyłącza je z tego poznawania – sensoryka ogranicza się do mazania palcem po płaskiej powierzchni.

Tymczasem, jak wynika z raportu APS, blisko 75 proc. rodziców smartfon czy tablet stosuje jako nagrodę czy regulator emocji, np. uspokojenie płaczu u tak małych dzieci. W ten sposób nieświadomie rozwija u nich niebezpieczne wzorce. Może to prowadzić do łatwego uzależnienia się od takich urządzeń.

– To mechanizm, który jest odpowiedzialny za rozwinięcie uzależnienia, opisywany w literaturze. Jeśli coś jest dla nas trudne, wywołujące stres, przykrość, co chcemy zapomnieć, to zaczniemy uciekać się np. do narkotyków, alkoholu, oglądania pornografii, kupowania czegoś przez Internet, grania w gry czy w ogóle przeglądania Internetu bez celu – tłumaczy współautorka badania APS dr Magdalena Rowicka. – Jeśli takie zachowanie przynosi nam ulgę, nie musimy myśleć o czymś negatywnym, wówczas taką strategię zaczniemy powtarzać. Istnieją dwa powiązane mechanizmy – z jednej strony ucieczka od czegoś negatywnego i ona sama w sobie jest pewną „nagrodą", a dodatkowo jeszcze to, do czego uciekamy, jest czymś przyjemnym. Jeśli zaistnieją oba te mechanizmy, to jest to prosty przepis na doprowadzenie się do jakichś uzależnień.

KIEDY ZACZYNA SIĘ PROBLEM

Raport APS jasno pokazuje, że rodzice sami obserwują negatywne konsekwencje dawania dzieciom urządzeń mobilnych. Siedmiu na 10 rodziców przyznaje, że ich dzieci nie potrafią kontrolować czasu korzystania z tych gadżetów, a sześciu na 10 przyznaje, że ich dzieci przedkładają korzystanie z urządzeń mobilnych nad inne aktywności, a także wykazują zachowania niepożądane, np. agresję, irytację, histerię przy próbach ograniczenia urządzeń mobilnych. Czterech na 10 rodziców mówi, że ich dzieci przeżywają negatywne stany, np. niepokój, budzenie się w nocy, problemy z zasypianiem, i 3,5 na 10 rodziców zauważyło, że ich dzieci zamykają się w sobie.

Kiedy dziecko zaczyna mieć problem? – To nie jest łatwe pytanie. To specjalista, obserwując zachowanie dziecka, może stwierdzić, że ileś kryteriów zostaje spełnionych. Sami rodzice nie powinni „diagnozować" swojego dziecka – ostrzega dr Magdalena Rowicka. Co więc powinno nam podpowiadać, że czas na reakcję? – Jeśli samo próbuje odstawić takie urządzenia i nie bardzo mu to wychodzi, jest poddenerwowane, chodzi jak lew w klatce, to jest to taki moment, gdy można się nad tym zastanowić – odpowiada dr Rowicka. – Zauważmy jednak, że to nie jest taka sama sytuacja, gdy rodzic odbiera urządzenie lub wyłącza Internet. Bo wówczas takie zachowanie u dziecka jest niemal standardowe. Zastanówmy się sami – gdybyśmy kończyli czytać fascynującą książkę i ktoś by nam ją zabrał z rąk, czy nie bylibyśmy zdenerwowani? Tak samo zdenerwuje się dziecko, które nie robi niczego złego, ale np. jest pod koniec rozgrywki internetowej ze swoimi kolegami. Nerwowość, niezadowolenie nie zawsze są więc niepokojącymi sygnałami. Czymś, co może zwrócić naszą uwagę, może być też porzucenie dawnych zainteresowań, aktywności na rzecz np. grania w gry. To może też oznaczać utratę kontroli nad zachowaniem, ale też trzeba być ostrożnym – mogą się przecież zmienić relacje w grupie rówieśniczej i dziecko też nie będzie chciało robić czegoś z kolegami, co wcześniej robiło chętniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Niebezpieczne związki

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Jedna z demonstracji FMW wiosną 1989 r. Młodzi czuli podskórnie, że Okrągły Stół zalegalizuje komunę FOT. PIOTR SEMKA

JAN HLEBOWICZ: Wróćmy do drugiej połowy lat 80. Jako dziennikarz „Regionówki" masz dostęp do wszystkich opozycyjnych środowisk Wybrzeża. Czy któreś z nich wyróżnia się na tle innych?

PIOTR SEMKA: Ciekawą inicjatywą na opozycyjnej mapie Trójmiasta było powstanie Spółdzielni Usług Wysokościowych „Świetlik". Jak podkreślali inicjatorzy, powodem powołania Świetlika była trudna sytuacja materialna opozycjonistów, którzy nie mogli znaleźć zatrudnienia w ramach komunistycznego państwa, a tym samym utrzymać rodziny et cetera. Założycielem i długoletnim szefem firmy był Maciej Płażyński. W Świetliku pracowało wielu opozycjonistów, między innymi grupa tak zwanych liberałów z Donaldem Tuskiem na czele. Motywacje twórców Świetlika były dla mnie wtedy dość zrozumiałe. Do czasu. Jesienią 1987 roku jako dziennikarz „Regionówki" poszedłem na spotkanie Gdańskiego Towarzystwa Przemysłowego – to były pierwsze próby pozytywizmu pod hasłem budowy kapitalizmu. Wówczas zetknąłem się z Donaldem Tuskiem. Jak dziś pamiętam moment zakończenia nudnej nasiadówki. Wkładam płaszcz i widzę koło siebie Tuska, który mówi do kolegi: „Wpadnij do mnie dzisiaj wieczorem. Będzie niezła whisky, superkuchnia i dobre cygara". Osłupiałem. Kogo, oprócz partyjnych kacyków, było wówczas stać na cygara i whisky? Okazało się, że w szeroko pojętym świecie opozycji są już równi i równiejsi. Klimat tamtego wieczoru zrozumiałem w pełni dopiero kilka lat później, kiedy na wierzch wyszły elitarne „ośmiorniczkowe" upodobania Tuska i gdańskich liberałów.

Mówisz o związkach Kongresu Liberalno-Demokratycznego z Wiktorem Kubiakiem?

To dobry przykład ówczesnych „niebezpiecznych związków". Kubiak był tajemniczą postacią powiązaną z komunistycznymi służbami wojskowymi, agentem WSW/WSI. W latach 80. zajmował się nielegalnym transferem z Zachodu urządzeń elektronicznych objętych zakazem eksportu do krajów komunistycznych. W 1990 roku na osiemnastym piętrze hotelu Marriott mieścił się apartament wynajmowany przez Kubiaka, służący mu jako biuro firmy Batax. Ten lokal stał się miejscem spotkań liderów KLD. Donald Tusk i Paweł Piskorski czuli się tam jak u siebie w domu. Wiktor Kubiak niewątpliwie był w ich otoczeniu kimś szczególnym. Opowiadano mi, jak podczas programowej narady twórców KLD w Cetniewie biznesmen wylądował helikopterem, pozdrowił liderów partii, odebrał należne honory i odleciał. Później Kubiak został honorowym członkiem Kongresu, z którego nadania ponoć został pełnomocnikiem ministra do spraw przekształceń własnościowych Janusza Lewandowskiego w sprawie Thomson–Polkolor. Szkopuł w tym, że WSW/WSI nie była służbą suwerenną, lecz tylko oddziałem GRU, czyli sowieckiego wywiadu wojskowego. Co wiedzieli agenci WSW/WSI, wiedzieli również Rosjanie. Gdybym w 1987 roku jesienią opowiedział komuś o whisky i cygarach Tuska i stwierdził, że będzie z tego coś niedobrego, wszyscy popukaliby się w czoło. Usłyszałbym: „Co ty chrzanisz, pamiętam Donalda, jak był w stoczni na strajku po 13 grudnia, jak tworzył NZS, pamiętam też, jak biedował

eprasa.pl 6a7b48717c

w hotelu asystenckim z żoną". Pewne rzeczy zaczęły składać się do kupy dopiero na początku lat 90.

Zacząłeś od Świetlika, a skończyłeś na mętnych interesach KLD z Kubiakiem. Łączenie tych dwóch spraw jest nieuzasadnione. Spółdzielnia założona przez Macieja Płażyńskiego w moim przekonaniu odegrała bardzo pozytywną rolę. Ciężka i ryzykowna praca w Świetliku pozwalała jej członkom realizować swoje pasje i jednocześnie prowadzić aktywność opozycyjną. Poza tym Świetlik zaangażował się w działania charytatywne, przeznaczając część środków na funkcjonowanie domów dziecka czy hospicjów. To były dobre i potrzebne inicjatywy.

To, że Świetlik zatrudniał opozycjonistów i dawał im zarobić na chleb, jest faktem i należy oddać twórcom spółdzielni szacunek za tę działalność. Jednak z perspektywy czasu coraz bardziej wydaje mi się, że Świetlik był pewnym eksperymentem ze strony Służby Bezpieczeństwa, która mogła kombinować w ten sposób: „Co się zdarzy, jeśli tym dumnym, bohaterskim opozycjonistom pozwolimy zarabiać pieniądze i przyzwyczaimy ich do luksusów?". Masz rację, w spółdzielni byli ludzie, którzy walczyli o byt swoich rodzin, znaleźli w Świetliku niszę, dzięki której mogli realizować się i zawodowo, i w działalności opozycyjnej. Ale byli i tacy, którzy zarabiali ogromne, jak na tamte czasy, pieniądze. Wielu zasmakowało w życiu „na poziomie". Być może to był punkt wyjścia dla służb, które sprawdzały, na ile można opozycję przekupić pieniędzmi, przyzwyczaić do luksusu i zamknąć w złotej klatce. Część dała się nabrać. Inni, w tym założyciel spółdzielni Maciej Płażyński, w pewnym momencie potrafili powiedzieć „stop" i zdystansować się od liberałów. Co Płażyński zauważył negatywnego w tym środowisku, że postanowił podjąć taką decyzję? Na ile to, co widział w Platformie Obywatelskiej, kojarzyło mu się z tym, co przerabiał wcześniej w Świetliku?

To nieco naciągana teoria. Nie ma dowodów na grę operacyjną ze strony SB czy wojskowych służb. W IPN nie zachowały się teczki dotyczące Świetlika.

Owszem, jednak tylko ktoś naiwny mógłby sądzić, że SB albo służby wojskowe nie inwigilowały legalnie działającej spółdzielni zatrudniającej opozycjonistów. Być może nie tylko inwigilowały, lecz także, poprzez ulokowanych w Świetliku agentów i tajnych współpracowników, kreowały pracę spółdzielni lub nadzorowały działania spółdzielców. W tym kontekście możemy zadać pytanie: „Komu i dlaczego zależało, by usunąć materiały operacyjne związane ze spółdzielnią?". I jeszcze jedno: „W którym momencie ludzie związani z tajnymi służbami PRL postanowili »postawić« na środowisko gdańskich liberałów?". Poza tym Świetlik mógł odegrać jeszcze inną rolę – hamulcowego opozycji. Ludzie zaangażowani w spółdzielni siłą rzeczy nie mogli działać w podziemiu równie radykalnie i aktywnie jak wcześniej, bo byli ujawnieni. Co by było, gdyby w 1978 roku Hall, Rybicki, Grzelak, Walendziak dostali możliwość założenia prywatnej firmy, która przynosiłaby im duże zyski? Byliby tak samo aktywni, chodziliby na demonstracje, publikowali tyle w prasie podziemnej? Nie sądzę. Gdy prowadzisz firmę na poważnie, to jej musisz poświęcać najwięcej czasu, jeśli całe przedsięwzięcie ma przynieść dochody.

Wróćmy do twojej działalności. Jesteś dziennikarzem „Regionówki", obserwujesz sytuację opozycji na Wybrzeżu. Sam aktywnie się angażujesz?

Z zaniepokojeniem obserwowałem świętobrygidzki dwór Wałęsy oraz „stygnięcie" RMP, którego członkowie przyjęli pozy neoliberałów. W moim przekonaniu jedyną nadzieją opozycji było pokolenie „młodych" opozycjonistów, którzy weszli w stan wojenny, będąc jeszcze w liceach albo w szkołach podstawowych. Grupy takie, jak Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, „BIT", Federacja Młodzieży Walczącej, Wolność i Pokój, prowadziły aktywną działalność do końca PRL. Młodzi byli bardziej radykalni, nie chcieli dogadywać się z komuną, nie byli też zmęczeni „długą drogą", którą przeszli starzy opozycjoniści sprzed Sierpnia '80. Młodzież organizująca się w szerokie struktury zaczęła z większym dystansem patrzeć na „Pontona", jak wtedy zaczęto nazywać coraz bardziej korpulentnego Wałęsę. Trzeba pamiętać, że druga połowa lat 80. to okres marazmu, społecznych frustracji i coraz rzadszych postsolidarnościowych demonstracji. Przełomem okazała się wizyta Jana Pawła II w Trójmieście. Mariusz Wilczyński, mój redakcyjny przyjaciel, razem z członkami FMW przygotował olbrzymi transparent z napisem „Solidarność", za którym po mszy świętej ustawił się wielotysięczny tłum, biorący udział w pierwszej tak licznej od wielu lat antykomunistycznej manifestacji. To robiło ogromne wrażenie. Od tamtego momentu różnego rodzaju zadymy i uliczne happeningi odbywały się regularnie. Na demonstracjach organizowanych przez młodych coraz częściej skandowano: „Lech Wałęsa, kupa mięsa". Hasło to ilustrowało zmęczenie nowej generacji liderem Solidarności. Najprawdopodobniej już wówczas analitycy władzy zaczęli zadawać sobie pytanie, na ile nowa generacja opozycjonistów jest groźna i czy jest w stanie wywołać nowy Sierpień. Urbanowi, Reykowskiemu i spółce za odpowiedź służyły nowoczesne badania socjologiczne, które wskazywały, że rzeczywiście należy się z młodzieżą liczyć. Doradcy Jaruzelskiego zdawali sobie sprawę, że młodzi nie pójdą na ustępstwa, nie będą chcieli negocjować. Na najwyższych szczeblach władzy postanowiono więc dogadać się z bardziej ugodowymi „starymi". Byli to ludzie, którzy przeżyli traumę 13 grudnia, który od lat żyli w opozycyjnej zamrażarce, zawieszeni między ukrywaniem się a działaniem legalnym. Zmęczeni. Sfrustrowani. Dążący do zmiany swojej życiowej sytuacji, utrzymującej się nieprzerwanie od kilkunastu lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021
- ***„Pierwsze niepokojące sygnały"*** – nr 27/2021
- ***„Spełnione marzenie młodego opozycjonisty"*** – nr 28/2021
- ***„Era młodych"*** – nr 29/2021
- ***„Eksperyment Borusewicza się opłacił"*** – nr 30/2021

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. PHIL WALTER/GETTY IMAGES

Komu przeszkadza Zofia Klepacka

Maciej Pieczyński

Brązowa medalistka igrzysk olimpijskich, mistrzyni świata w windsurfingu, spotkała się z falą hejtu ze strony lewicowych komentatorów i internautów. Tylko dlatego, że nie kryje swoich konserwatywnych poglądów

Zofia Klepacka jest utytułowaną windsurferką. W 2012 r. zdobyła brązowy medal na igrzyskach olimpijskich w Londynie. Mistrzyni i dwukrotna mistrzyni świata, a także wielokrotna medalistka w olimpijskiej klasie RS:X. Do Tokio pojechała bez wątpienia po medal. Po pierwszym dniu olimpijskich zmagań zajmowała drugie miejsce w klasie RS:X. Polka mogła nawet wygrać wyścig, ale zderzyła się z jedną z rywalek. Złożyła protest, którego sędziowie nie przyjęli. Okazało się też, że pływała na uszkodzonej desce. W momencie, gdy ten numer „Do Rzeczy" szedł do druku, Klepacka zajmowała dziewiąte miejsce w klasyfikacji generalnej, z niewielkimi szansami na medal. Ze sportowych niepowodzeń reprezentantki Polski cieszyli się ci, którym przeszkadzają prawicowe poglądy Klepackiej.

LEWICOWE „ŻYCZENIA"

Fala lewicowego hejtu ze szczególną siłą wybiła na Twitterze. „Do Polski spływają świetne wiadomości z Kraju Kwitnącej Wiśni: Zofia Klepacka nadal nie zdobyła żadnego medalu" – pisze właściciel anonimowego, ale mającego ponad 16 tys. obserwujących konta pod nazwą „Polska przeciwko Włóczykijowi". Ten sam użytkownik na zasadne pytanie: „Dlaczego współczujemy Idze [Świątek – przyp. red.], a nie Klepackiej?", odpowiedział: „Bo Klepacka jest pier…nięta i faszyzuje, a Inga nie?". „AliceA" pokusiła się o podobną, bardziej jednak rozbudowaną argumentację: „Bo Iga jest sympatyczną, uśmiechniętą, szczerą i wrażliwą dziewczyną, do tego ciężko pracującą na sukces. Klepacka wymachuje krzyżem i pozuje z karabinem, wrzeszczy »won pedały« itp., sieje nienawiść i wykluczenie, do tego nie potrafi przegrywać fair (składa protesty itd.)". Oliver Hesse nazwał z kolei Klepacką „szkodliwie klerykalną faszystką". Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej" ironizował: „Chyba jednak zamiast medalu Klepacka zawiesi sobie różaniec". Justyna Żółkiewska z kolei życzyła Klepackiej „najgorszego możliwego wyniku na igrzyskach".

Co ciekawe, po stronie windsurferki stanął Tomasz Lis. Rzecz jasna, bronił jej nie tyle z powodu jej poglądów politycznych, ile z uwagi na kwestie sportowe – jako wierny kibic. „Bosz! Klepacka wygrała wyścig numer dwa w klasie RS:X. Świruska jest liderką po dwóch wyścigach. Kibicować?" – na ten komentarz redaktor naczelny „Newsweeka" odpisał: „Tak. Bez wyjścia. Kibicujemy wszystkim naszym". Nie spotkał się ze zrozumieniem. „Ona ich, nie nasza, ale ok" – przeczytał w odpowiedzi. „Czuję wstyd, że Zofia Klepacka, pupilka skrajnej prawicy, której wypowiedzi są pełne irracjonalnych uprzedzeń i homofobii, reprezentuje mój kraj. Nie czuję się w obowiązku jej kibicować. I nie zamierzam" – zapewniał Wacław Jan Kroczek, działacz Forum Młodych Socjaldemokratów. Wiktor Burakowski, użytkownik z flagą Unii Europejskiej przy nazwie profilu, ocenił: „Zofia Klepacka to osoba obrzydliwa. Nie chodzi o jej poglądy, tylko o to, co sobą reprezentuje. Już dawno wyleczyłem się z kibicowania ludziom ze względu na narodowość polską".

Znany aktywista LGBT Bartosz Staszewski wyraził nawet nadzieję, że w przypadku, gdyby sportsmenka powtórzyła w trakcie igrzysk „jedną ze swoich wielu homofobicznych bredni", zostałaby zdyskwalifikowana przez Komitet Olimpijski. Znany propagator wybiórczej tolerancji zasugerował, że Klepacka z powodu swoich poglądów

eprasa.pl 6a7b48717c

w ogóle nie powinna pojechać do Tokio. „Szkoda, że w podobny sposób Polski Komitet Olimpijski lub Związki nie patrzą na dobór kadry narodowej. Zamiast dumy jest zażenowanie". Łukasz, który nazwę swojego profilu opatrzył dopiskiem „Silni Razem" i flagą UE, odpisał Staszewskiemu: „Dlatego ja jej nie kibicuję i mam nadzieję, że nie uda jej się zdobyć żadnego medalu. Klepacka to nie Polska i nie olimpijczyk, tylko homofobiczna pusta baba".

Nie tylko internetowi hejterzy czy lewicowi aktywiści życzyli windsurferce jak najgorzej. „Uważam, że jako sportsmenka pani Klepacka jest w porządku, bo sporo potrafi i jest jedną z najlepszych zawodniczek na świecie. Ale jako człowiek jest na dnie" – taką opinię w rozmowie z portalem Sport.pl wyraził Władysław Kozakiewicz. Lekkoatleta, mistrz olimpijski z 1980 r. Znany głównie z obraźliwego gestu, nazwanego potem jego nazwiskiem, który po zdobyciu medalu wykonał w stronę nieprzychylnych mu sowieckich kibiców. Sam więc zrobił to, co zarzuca Klepackiej – połączył sport z polityką. W wypowiedzi dla Sport.pl przyznał, że nie umie jej kibicować. „Moim zdaniem ona chce się przypodobać pewnym środowiskom i w imię tego wyrzuca z siebie przeróżne obrzydlistwa, jednocześnie twierdząc, że jest wierząca. Nie, nie, jeśli ktoś jest wierzący, to nie może się tak zachowywać" – stwierdził Kozakiewicz.

TRZY WARTOŚCI

Zwolennicy swoiście pojmowanej tolerancji wobec innych życzą reprezentantce Polski jak najgorzej tylko dlatego, że wyznaje prawicowe poglądy. Klepacka od dawna nie boi się głośno mówić o swoim przywiązaniu do tradycyjnych wartości. Dwa lata temu zdecydowanie potępiła warszawską kartę LGBT, podpisaną wówczas przez Rafała Trzaskowskiego. „Mówię kategorycznie: nie dla promocji środowisk LGBT i będę bronić tradycyjnej Polski. Czy mój dziadek walczył o taką Warszawę w Powstaniu? Nie wydaje mi się… Panie Prezydencie, może się Pan lepiej weźmie za sport w Warszawie, który kuleje?" – pisała wówczas na swoim koncie na Facebooku. Kartę LGBT skrytykowała w filmie dokumentalnym „Zmierzch. Ofensywa ideologii gender", wyemitowanym na antenie telewizji Trwam. Nazwała jej podpisanie „zamachem na nasze dzieci". „Jestem osobą wierzącą i dla mnie to jest nie do pojęcia. Jako rodzic się nie zgadzam, żeby coś takiego weszło do szkół. Uważam, że każdy rodzic ma do tego prawo, aby edukować swoje dzieci w domu. Poza tym każde dziecko inaczej dojrzewa i to rodzic najlepiej zna swoją pociechę" – tak argumentowała w filmie swoją postawę ideową.

Już wtedy spotkała się z falą antypatii z lewej strony opinii w Polsce. Już wtedy pojawiły się głosy, że z powodu głoszenia nieodpowiednich poglądów powinno się jej pozabierać medale albo usunąć z kadry narodowej. „Jesteś żałosna, dziewczynko. Oddaj te medale i nie noś orła, bo przynosisz wstyd" – to wypowiedź Borysa Szyca. W jednym z nagrań windsurferka w swoim stylu skomentowała tego typu krytyczne głosy: „Siemano, wszyscy moi hejterzy […], zrobiliście dobrą robotę – wszyscy się dowiedzieli o tej karcie LGBT, którą chcieliście wprowadzić do szkół i indoktrynować nasze dzieci […]. Mało tego – możemy powiedzieć, że wygraliśmy tę batalię. Gdzie jest wasz lider Rabiej?! Wyjechał na wakacje? Czy gdzieś się schował?". Na koniec nagrania podziękowała wszystkim, którzy wsparli akcję oporu przeciwko skrajnie lewicowym pomysłom Trzaskowskiego: „Pamiętajcie o trzech wartościach, w jakich wzrastaliśmy i będziemy wzrastać – Bóg, honor, ojczyzna. A LGBT może nam podskoczyć".

Klepacka wystąpiła też w teledysku do hiphopowej piosenki Karata NM pod wiele mówiącym tytułem „Grzechy sodomskie". Z powodu homofobicznych treści klip został usunięty z serwisu YouTube. Przy czym tekst piosenki opiera się na starotestamentowym przekazie o Sodomie i Gomorze. Właśnie ten fragment Biblii czyta Klepacka, klęcząc w kościele, w jednej ze scen teledysku. Hip-hop to jej kulturowy żywioł. „W rapie jest to, co dla niej ważne: honor, solidarność z grupą ziomków, szacunek dla starszych, miłość do swojego kawałka ziemi, czyli podwórka, dzielnicy, miasta. Ale przede wszystkim poczucie sprawstwa, przekonanie, że nie ma problemów, tylko przygody i można codziennie podbijać świat" – tak o „Zośce" wypowiadał się w reportażu na łamach „Newsweeka" jej znajomy, raper. To muzyka ulicy, na której się wychowała. Mieszkała z rodziną w kamienicy przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie, dużo czasu spędzała na podwórku. W wywiadzie dla „Twojego Stylu" wyznała, że miała wiele okazji, by zejść na złą drogę. Jej rodzice mieli tego świadomość i m.in. dlatego zachęcali ją i jej rodzeństwo do sportu, który kształtuje charakter, wpaja zasady rywalizacji fair play, a poza tym zabiera dużo czasu – a im mniej go zostanie na szwendanie się po ulicy, tym lepiej. Ojciec zawsze mocno wspierał jej karierę. Krzewił w niej też wiarę. „Pamiętaj, bez Boga człowiek jest nikim" – miał jej powiedzieć po udanym przeszczepie serca. To dla nastoletniej wówczas Zośki był przełom. Wcześniej podwórko interesowało ją bardziej niż tradycyjne wartości. Przed operacją długo modliła się o to, by jej ojciec przeżył. Wierzyła, że modlitwy pomogły. To niewątpliwie pogłębiło jej wiarę.

„Normalny model rodziny to kobieta i mężczyzna. Dzięki takim związkom jest przedłużana cywilizacja. Tak nie jest w przypadku związków mężczyzny z mężczyzną czy kobiety z kobietą. Do homoseksualistów osobiście nic nie mam. Niech sobie robią, co chcą, ale niech nie wprowadzają do szkół nauki, że to jest normalne, bo nie jest" – tak swoje przekonania tłumaczyła na antenie Polskiego Radia 24.

W uznaniu zasług na rzecz popularyzacji sportu i za głoszenie wartości patriotycznych została honorowym członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Podczas protestów Strajku Kobiet jesienią 2020 r. stanęła ramię w ramię z obrońcami kościołów, blokującymi dostęp do świątyń lewicowym radykałom.

MEDALE NA POMOC

Aktywność Klepackiej nie ogranicza się do sportowej czy ideowej rywalizacji z przeciwnikami. Zaangażowana sportsmenka stara się również pomagać innym. W 2006 r. wspólnie z Rafałem Poniedzielskim, znanym jako raper „Pono", założyła fundację „Hey przygodo", pomagającą uzdolnionym, potrzebującym dzieciom. Swój brązowy medal olimpijski zlicytowała, by pomóc chorej na mukowiscydozę dziewczynce, swojej sąsiadce. W 2017 r., w uznaniu za ten gest oraz „za działalność charytatywną na rzecz osób potrzebujących pomocy", otrzymała Medal Świętego Brata Alberta. Niedawno zorganizowała kolejną aukcję charytatywną. Wystawiła na niej swój medal z mistrzostw Europy. Zebrana suma trafiła do pani Aleksandry, Polki, mieszkającej na Ukrainie, w bardzo trudnych warunkach, chorej na parkinsona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Zbierz to sam

Agnieszka Niewińska

Ceny owoców i warzyw na targach porażają? Jest na to sposób – własnoręczny zbiór u rolnika. W wielu krajach samozbiory są znane od lat. W Polsce zdobywają coraz większą popularność

Pierwsze tegoroczne maliny z ekologicznego gospodarstwa Zielone Jabłuszko w Rembertowie na Mazowszu wyglądają kusząco. Ten, kto ogląda zdjęcia na facebookowym profilu gospodarstwa, od razu snuje plany: zrobić z nich ciasto, utopić w galaretce, a może zjeść świeżo zebrane z krzaka?

– Sezon na czereśnie i wiśnie ze względu na pogodę już się u nas zakończył. Maliny dopiero się zaczynają, można dzwonić i się dopytywać. Pełen sezon przypada w sierpniu – mówi Daniel Roszczyk, właściciel gospodarstwa Zielone Jabłuszko.

Owoce z Rembertowa są uprawiane przez rodzinę o długiej sadowniczej tradycji. – Moi przodkowie przenieśli się z miejscowości Kampinos do Rembertowa na przełomie XVII i XVIII w. i zaczęli zakładać pierwsze sady – na początku głównie czereśniowe. Z biegiem czasu do sadownictwa zaczęli się przekonywać inni okoliczni rolnicy. Pola, na których wcześniej uprawiali zboża, zamieniali w sady – opowiada Daniel Roszczyk.

Kilka lat temu zdecydował, że jego gospodarstwo będzie ekologiczne, zdobył stosowne certyfikaty. – To wciąż nisza. Tylko 3 proc. gospodarstw w Polsce to gospodarstwa ekologiczne. Zależało mi, żeby nasze produkty były zdrowe i bezpieczne zarówno dla naszych odwiedzających, jak i dla mojej rodziny – podkreśla Roszczyk i dodaje, że poszukując filozofii dla swojego gospodarstwa, trafił na temat samozbiorów. Chodzi tu o zaproszenie do gospodarstwa klientów, którzy sami sobie zbiorą owoce czy warzywa, a dzięki temu będą mogli je zabrać do domu, zapłaciwszy mniej.

ABY NIE ZGNIŁY NA KRZAKACH

Rolników z tymi, którzy chcą sami zebrać owoce czy warzywa, łączy portal MyZbieramy.pl, który działa w ramach Fundacji Zielona Przystań. Rolnicy na

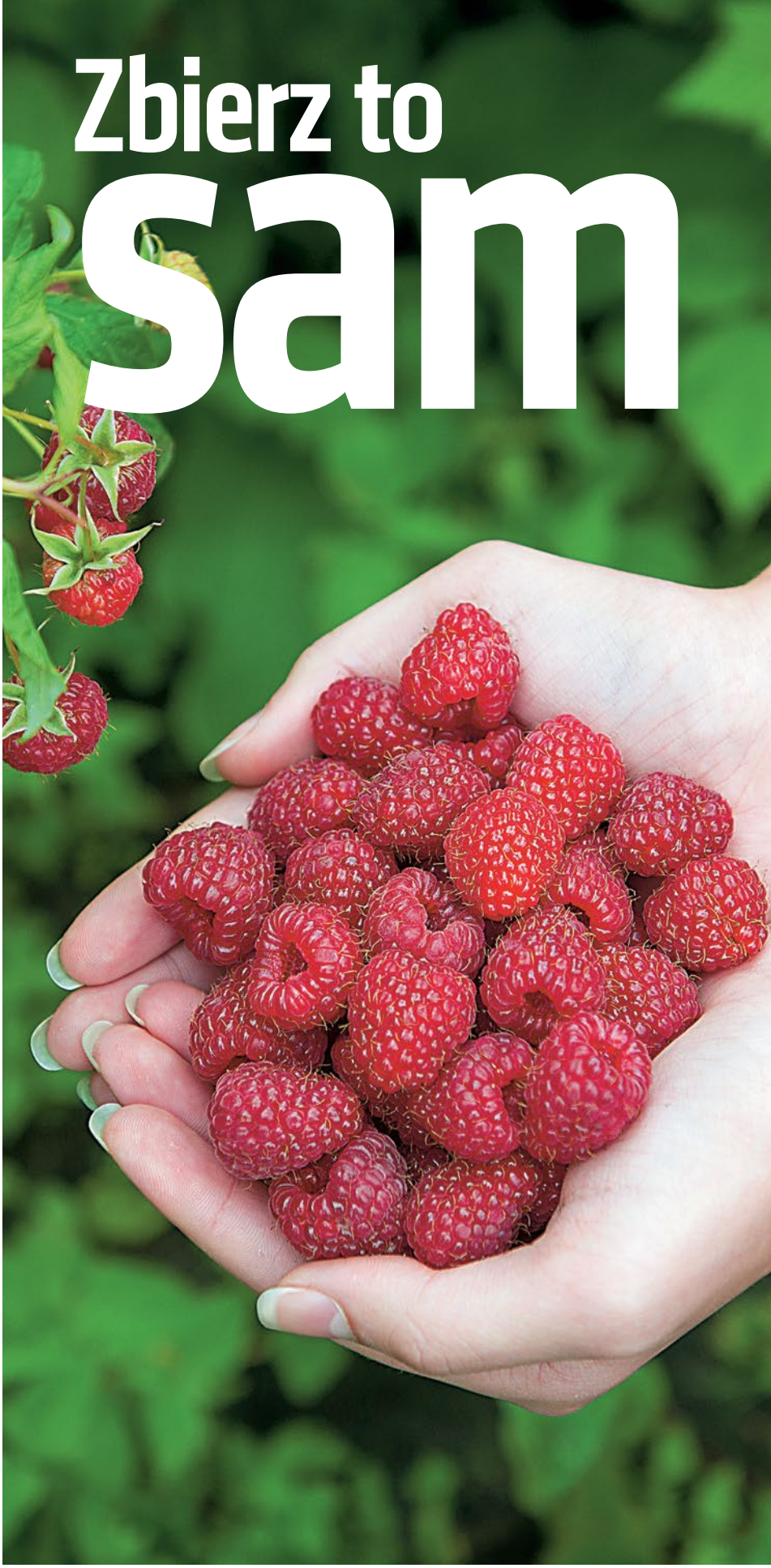

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 6a7b48717c

MyZbieramy.pl mogą bezpłatnie zamieścić zaproszenia na samozbiory. – Serwis to moja odpowiedź na ciągłe doniesienia medialne o tym, że brakuje pracowników sezonowych, w związku z czym warzywa czy owoce zgniją na krzakach – mówi Mirosław Biedroń, pomysłodawca portalu MyZbieramy.pl.

Powstał on pięć lat temu, ale popularność zdobył w czasie pandemii, kiedy w związku z małą liczbą pracowników rolnicy, często z desperacji, otwierali swoje gospodarstwa dla indywidualnych klientów. – Pandemia pokazała, że spora liczba Polaków jest zainteresowana tym, by owoce na przetwory samemu sobie zebrać. Samozbiory zyskują na popularności i jeśli jeszcze nie są w modzie, to zapewne zaraz będą. Korzyści z samozbiorów odnoszą obie strony. Zbierający płacą mniej niż na bazarku czy w warzywniaku, a rolnicy zarabiają więcej, niż oddając owoce do skupu. Są też inne zalety. Przyjazd rodziną na zbiór wiśni, malin czy jabłek to atrakcyjny sposób na spędzenie wolnego czasu. Dzieci dowiadują się, skąd biorą się i jak rosną owoce, które zwykle widzą w sklepach czy na straganach. Skraca się też dystans między polem a stołem – wylicza Mirosław Biedroń. Sam też brał udział w samozbiorach, zrywając wiśnie w jednym z sadów w okolicach Tarnowa.

Jak wyglądają samozbiory, można podpatrzyć np. na instagramowym profilu Malinkowepole prowadzonym przez Magdalenę Surałę, sadowniczkę z Janówka Piaseczyńskiego na Mazowszu, 30 km od Warszawy. – Plantację mamy dużą, więc jeszcze się nie zdarzyło, żeby dla kogoś, kto przyjedzie na zbiory, zabrakło malin. Zwykle nasi goście zbierają więcej, niż początkowo zakładali – śmieje się Magdalena Surała. Chętnych na samozbiory zaprosiła już w ubiegłym roku. – Coraz mniej ludzi chce pracować w rolnictwie, ale zdecydowaliśmy się na zaproszenie chętnych na zbiory nie tylko ze względu na brak rąk do pracy. To po porostu ciekawsza forma, mieliśmy okazję gościć wiele interesujących osób – opowiada sadowniczka.

Goście przyjeżdżają głównie w weekendy. Tym, którzy na plantacji są po raz pierwszy, zwykle trzeba najpierw zrobić szybki kurs zbierania. Potem już wszystko zależy od sprawności palców. – Przyjeżdżają do nas całe rodziny. Oczywiście, zdarzają się dzieci, które szybko się nudzą i pospieszają rodziców, ale jeśli na plantacji pojawia się ich większa grupa, to często organizują zawody, kto więcej zbierze. Rodziny zabierają ze sobą koce, prowiant, robią sobie u nas pikniki – opowiada Magdalena Surała. Na plantacji w Janówku Piaseczyńskim chętni znajdą letnią odmianę malin, więc z wyprawą na samozbiory trzeba się spieszyć, bo lada chwila będzie po sezonie. Cena w porównaniu z tą na targach jest atrakcyjna – 10 zł za kilogram. Na miejscu zakupić można też inne owoce – czarne i czerwone porzeczki czy wiśnie.

Daniel Roszczyk w tym roku też zaprasza na samozbiory za pośrednictwem MyZbieramy.pl. Został ambasadorem portalu. – W poprzednim sezonie przyjeżdżało do nas na zbiory bardzo wiele osób. W tym roku widać, że wielu z nas zdecydowało się na wakacyjne wyjazdy, więc zainteresowanie jest mniejsze – mówi sadownik, podkreślając, że coraz więcej z nas, zwłaszcza młodych, zwraca uwagę na to, jak uprawiane są warzywa, skąd pochodzą mleko, jajka czy owoce trafiające na nasze stoły.

Domowe przetwory przygotowywane są w większości domów. Z badania przeprowadzonego w 2019 r. przez PBS na zlecenie Provident Polska wynika, że słoiki na zimę przygotowuje 75 proc. gospodarstw domowych (w porównaniu z poprzednim takim badaniem nastąpił wzrost o 26 punktów procentowych) W naszych spiżarniach pojawiają się najczęściej ogórki kiszone (80 proc.), dżemy i konfitury owocowe (71 proc.) oraz soki i syropy owocowe (41 proc.).

DZIECKO PYTA, ROLNIK ODPOWIADA

Początkowo, jak mówi Mirosław Biedroń, nie było łatwo namówić rolników do tego, by zapraszali do siebie „zbieraczy". – Byli sceptyczni. Mówili nam, że to się u nas nie przyjmie. Ale skoro w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie takie samozbiory świetnie działają, to dlaczego nie miałyby się przyjąć u nas? – pyta Biedroń.

Dzisiaj można już powiedzieć, że samozbiory zaczęły się w Polsce przyjmować. – Zdarza się, że jednego dnia na MyZbieramy.pl pojawia się 10 nowych zaproszeń od gospodarzy z różnych części kraju. Od rolników, którzy w poprzednich latach przyjmowali gości na zbiorach, mamy wiele pozytywnych sygnałów. Cieszą się nie tylko z tego, że ich produkty znalazły nabywców, lecz także z bezpośredniego kontaktu z nimi. Dzieci na takich zbiorach często ich dopytują o to, jak rosną owoce czy warzywa, jak wygląda praca. To daje rolnikom satysfakcję. Goście chcą też wiedzieć, gdzie na co dzień mogą kupić owoce czy przetwory od gospodarza – opowiada Biedroń. Chciałby, żeby w niedalekiej przyszłości wokół każdego większego miasta były gospodarstwa, do których można wybrać się na samozbiory.

Gospodarze ze Stanów Zjednoczonych czy Kanady gościom, którzy sami chcą zbierać owoce czy warzywa, proponują infrastrukturę – ławki, wiaty piknikowe, miejsce na grill, a nawet atrakcje w postaci zajęć edukacyjnych dla dzieci, uwielbiane przez nie zagrody ze zwierzętami. U nas też zaczynają się pojawiać takie propozycje.

Daniel Roszczyk z ekologicznego gospodarstwa Zielone Jabłuszko przyznaje, że do przyjęcia „zbieraczy" rolnicy i sadownicy muszą się przygotować. – Trzeba zadbać o udostępnienie zbierającym toalety, przygotować miejsca, w których można wypocząć, czy zapewnić poczęstunek – wylicza. – Kiedy zapraszamy na samozbiory na wstępie dajemy gościom garść informacji o zbiorach. Jesteśmy w tym czasie w pobliżu gości, gotowi odpowiedzieć na wszystkie pytania, udostępniamy im niezbędny sprzęt. Wysiłek się opłaca, bo samozbiory to dla nas okazja do poznania ciekawych ludzi. Byli u nas ambasadorzy, aktorzy, celebryci. Mieliśmy gosci z Indii i USA, innych krajów Azji czy Europy Wschodniej, gdzie samozbiory są bardzo popularne.

ZBIORY PLUS ZWIEDZANIE

Jak mówi Mirosław Biedroń, rolnicy zaczęli doceniać także to, że goście przy okazji samozbiorów korzystają z lokalnej oferty turystycznej. – Zanocują w gospodarstwie agroturystycznym, odwiedzą pobliski pałac czy zamek, miejscowe muzeum. Samozbiory to okazja do turystyki w najbliższej okolicy. Często pięknych miejsc szukamy daleko i nawet nie zdajemy sobie sprawy ze wspaniałych zakątków blisko nas – mówi.

Kto lato ma już zaplanowane i nie zdąży na zbiór wiśni czy porzeczek, kolejną szansę na samozbiory będzie miał jesienią. W końcu nie tylko lato owocami stoi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Pióro przysłonięte ekranem

Tomasz Zbigniew Zapert

5 sierpnia 90. urodziny obchodzi Janusz Majewski. Reżyser filmowy, ale też, o czym niekiedy zapominamy, pisarz

Właśnie ukazał się kolejny tom jego prozy pt. „Maleńka". Składa się nań 14 wysmakowanych stylistycznie opowiadań. Bohaterem trzech jest Bruno Schulz. Jedno traktuje o jego przerwanej przez wojnę relacji z maturzystką, drugie stanowi oniryczny wizerunek Holokaustu, trzecie opowiada o podziemnym schronie, nigdy niezrealizowanym projekcie artysty. Pozostałe tworzą wielozagadnieniowy amalgamat. „Klarowne w obrazach, widzą świat i swoich bohaterów na tle okrutnej historii z całą powagą wyroków losu, ale też w barwach groteski, zamęcie szaleństwa, zmysłowych porywach ciała, często z uśmiechem przez łzy i ciepłem zwykłej, bezinteresownej dobroci" – rekomenduje je prozaik, Włodzimierz Kowalewski.

TRZY NATURY

Literat Janusz Majewski narodził się przed dwiema dekadami. Wprawdzie debiutował w piśmiennictwie już u progu „małej stabilizacji tow. Wiesława" – wygrywając nawet prasowy konkurs nowelowy – lecz potem, na cztery dekady, pióro ustąpiło miejsca kamerze. Dopiero na emeryturze zaczął operować nim regularniej. Zaczęło się od „autobiografii przedartystycznej" zatytułowanej „Retrospektywka", potem powstał cykl zmysłowych erotyków – „Ekshibicjonista", następnie do księgarń trafił „Ostatni klaps". Nie tylko – jak głosi podtytuł – „Pamiętnik moich filmów", lecz także zapis kierowania Stowarzyszeniem Filmowców Polskich, od stanu wojennego niemal do końca PRL, podkreślony swoistą autoprezentacją: „Są we mnie dwie, a może i trzy natury: łatwość pisania lekkoducha, męcząca skrupulatność archiwisty i ogromne lenistwo".

Opus magnum prozaika stanowi bez wątpienia powieść inicjacyjna pt. „Mała matura". Krzysztof Masłoń recenzował ją tak: „To nie tylko obraz miasta, które semper fidelis, ale zajmująca opowieść o czasach, ludziach i wydarzeniach odległych już, a postrzeganych przez nas – jak się okazuje – jednowymiarowo i stereotypowo. Powojenny Kraków odcisnął się w pamięci autora jako miasto zdumiewające. Komuna miała w nim jeszcze niewiele do powiedzenia, jeszcze się czaiła, rozmywając swą istotę we frazesach o demokracji. W szkole uczyli nauczyciele z prawdziwego zdarzenia, w kioskach były angielskie pisma, w mieszczańskich domach pod Wawelem młodzież wprawdzie rozczytywała się w »Przekrojowych« »Listach z fiołkiem« Gałczyńskiego, ale starsi czekali na generała Andersa na białym koniu, a mama powieściowego Ludwika (alter ego autora) optymistycznie zakładała, że za rok wróci nad Pełtew. Tymczasem pętla się zaciskała, a gra pozorów koń-

eprasa.pl 6a7b48717c

Kadr z filmu „Mała matura"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

czyła. Nadchodził czas masowych pieśni i czerwonych krawatów. Okres okupacyjny przedstawił Janusz Majewski tak, jak go zapamiętał – oczyma małego chłopca, który w tamtych warunkach dorastał z szybkością ponaddźwiękową. Z tymi podłymi, złymi czasami kontrastują obrazy przedwojennego Lwowa, dostatniego życia polskiej rodziny w pięknym polskim mieście. Mieście, które straciliśmy i tej utraty – co wynika z każdego zdania »Małej matury« – nic nam nie jest w stanie zrekompensować. Ogromny apetyt czytelniczy wywołał u mnie Janusz Majewski. Jakże chętnie przeczytałbym »Dużą maturę« i »Gaudeamus igitur«".

Niestety, życzenie krytyka nie zostało spełnione. Doczekaliśmy się jedynie ekranizacji „Małej matury", a właściwie jedynie jej krakowskiej części. W przypadku dyptyku „Siedlisko" kolejność była odwrotna. Najpierw ekran (telewizyjny), a później papier. To produkt dyskontujący własne doświadczenia. Bowiem u progu lat 90. Majewski razem z małżonką, Zofią Nasierowską – maestrą fotografii portretowej, przeprowadził się do mazurskiej wsi Laśmiady. I właśnie perypetie stołecznych inteligentów skonfrontowanych z tubylcami w okresie powrotu do Polski embrionalnego kapitalizmu komponują motyw przewodni tego utworu. Którego niespodziewanym walorem są... zagadki personalne. Polegające na rozszyfrowywaniu reprezentantów naszej socjety, zakamuflowanych przez autora. Dajmy na to: „Znała wszystkich i wszyscy ją znali, trochę malowała, trochę pisała. Nie bez talentu, ale zjadliwie. I w ten sposób szantażowała warszawkę, wszyscy bali się jej narazić, więc ją zapraszali albo przynajmniej tolerowali. Kiedy pewien literat, znany playboy, puścił w obieg powiedzonko, że powinno się ją uśpić, nie darowała mu tego i rozpuściła plotkę, że on jest impotentem. Niestety, zrobiła mu tym tylko przysługę, bo wiele pań chciało to sprawdzić i jakoś problemowi zaradzić".

MOTOREK

Kilka lat później Majewski zabrał czytelników w podróż koleją. „Glacier Express, 9.15" to de facto dygresyjna konwersacja dawno niewidzianych przyjaciół. Karola – jak się zdaje, ulepionego w znacznej mierze na podobieństwo autora – oraz Maksa, którego życiorys wskazuje na powinowactwo z Kurtem Weberem, cenionym operatorem filmowym, który opuścił Polskę w następstwie Marca 1968. Jadą tytułowym pociągiem przez Alpy. Wspomagają się koniakiem (markę pominę, aby uniknąć posądzeń o kryptoreklamę), snują nostalgiczną rozmowę, naszpikowaną wziętymi z życia dykteryjkami. Nierzadko niepoprawnymi politycznie: „Podczas oficjalnej wizyty księcia Filipa w jakimś kraju afrykańskim, gdzie towarzyszył królowej Elżbiecie II, zapytał nagle gospodarza: »Czy wciąż jeszcze rzucacie w siebie dzidami?«. A do innego czarnego dygnitarza, odzianego w długą białą chlamidę, powiedział: »Wygląda pan, jakby miał pan zamiar pójść zaraz do łóżka«". Przesłanie powieści jest jednak pesymistyczne. „Najpierw skutecznie obalono wszystkie autorytety – rzekomo wymaga tego demokracja – potem zaczęto manipulować przeszłością, przystosowując ją do doraźnych potrzeb, tradycję zamieniono w skansen do zwiedzania przez gawiedź, a wszystko po to, aby podlizać się młodym, którzy wszystko chcą mieć natychmiast, bez wysiłku, bez refleksji, bez sekundy zatrzymania się w pędzącym korowodzie debili [...]. Nie czytają nic, nie chodzą do teatru, nie znają klasyki filmu ani historii sztuki, za to mądrzą się w Internecie, oceniając, a właściwie dyskredytując wszystko, czego nie zrobili oni sami albo ich rówieśnicy. Do tego wydaje im się, że postępują demokratycznie, sporządzając rankingi na podstawie głosowania. Wiadomo, że Harry Potter zbierze więcej głosów niż – na przykład – »Iliada«".

Czy to rozczarowanie coraz bardziej infantylną – mówiąc najłagodniej – współczesnością spowodowało, że Majewski zajął się pisaniem kryminałów? W „Czarnym mercedesie" oraz „Ryku kamiennego lwa" ukazał wizerunek Generalnego Gubernatorstwa. Zdecydowanie zanadto elegancki, moim zdaniem. Nadkomisarz Rafał Król – ewidentne nawiązanie do personaliów Rafała Królika, bohatera poczytnych w II Rzeczypospolitej kryminałów „wagonowych" (pierwodruk w prasie, głównie popołudniowej) Antoniego Marczyńskiego, zrazu błyskotliwie rozwiązuje sekret śmierci pięknej kobiety w okupowanej Warszawie, a następnie prowadzi prywatne śledztwo w zajętym już przez Niemców Lwowie – stąd obecność w tej narracji nakastlika, trybulki, halby tudzież zupy kminkowej.

Część pierwszą twórca osobiście zekranizował. Zniesmaczyło mnie, że w filmie statystował TW „John". Przyjemnie zaskoczyła obecność w kadrze etatowej edytorki Majewskiego – epizod folksdojczki (sic!) – sportretowanej przez niego następująco: „Kaszubka, gdynianka, patriotka Trójmiasta, o słowiańskiej urodzie i germańskim charakterze". Nie wątpię, że po takim opisie niejeden czytelnik byłby rad poznać ją bliżej...

„Uprawiałem ciekawy zawód – wyznał onegdaj szacowny jubilat – w którym nie bez znaczenia było to, że nie trzeba było przez całe życie codziennie chodzić na ósmą do pracy, chociaż za to pracowało się zawsze, nie dało się z tej pracy wyłączyć na drugą połowę dnia, na weekend, na wakacje – motorek w głowie chodził bez przerwy, nawet w okresach przestojów". Z okazji pięknego jubileuszu należy mu zatem winszować, żeby ten „silniczek" ciągle funkcjonował na wysokich obrotach. Ku radości widzów i czytelników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Zdrajca w nowym typie

Piotr Gociek

„Agent w terenie" – żegna się z nami John le Carré książką zgryźliwą, smutną i plakatowo publicystyczną. Zaskakującą za to wątkiem rodzinnym

Jest w ostatniej powieści Johna le Carrégo scena, która stanowi klucz do całej jego twórczości. Główny bohater „Agenta w terenie", starzejący się pracownik brytyjskiego wywiadu, sięga pamięcią do różnych kluczowych chwil swojego życia i trafia na moment, w którym przyjmowano do służby (czy, jak mówią jego bohaterowie, do „Firmy").

„Po trzech dniach dziwnych pytań i sztywnych przyjęć, podczas których sprawdza się moje obycie towarzyskie i wytrzymałość na alkohol, zostaję wezwany przed komisję" – wspomina Nat. Jeden z członków komisji pyta, czy po tych wszystkich testach jest coś, o co dla odmiany przyszły szpieg chciałby zapytać przyszłych pracodawców. Otóż jest. „Pytali mnie państwo, czy możecie liczyć na moją lojalność, ale czy ja mogę liczyć na waszą?" – mówi więc nasz bohater, jednocześnie narrator pożegnalnej książki Johna le Carrégo. W odpowiedzi nie pada ani jedno słowo. Siwa pani z komisji tylko „uśmiecha się i zaraz wszyscy inni za stołem też się uśmiechają – tym samym smutnym, mądrym, refleksyjnym uśmiechem, który jest chyba najlepszym znakiem rozpoznawczym w Firmie".

Lojalność i zdrada, konflikty lojalności, życie w kłamstwie i jego koszt – to wielkie tematy, z którymi mierzył się wybitny brytyjski pisarz. W jednej z najwybitniejszych powieści, „Szpiegu doskonałym", dokonał poruszającej psychologicznej wiwisekcji człowieka żyjącego w kłamstwie tak długo, aż jego psychika rozsypuje się pod tym ciężarem. Le Carré sam porzucił rzemiosło szpiegowskie dla literatury, bo mierziło go to, co widział, słyszał i musiał robić. Szczegółowo opisał swoje dzieje w autobiograficznym „Tunelu z gołębiami". A widział wiele, i to w niesłychanie ciekawym momencie historii – szczyt jego szpiegowskiej kariery to początek zimnej wojny, początek mozolnej odbudowy Zachodu, początek włączania pokonanych Niemiec w krwiobieg wolnego świata. Kłamstwo w służbie

John le Carré, były szpieg, by odreagować, pisał książki FOT. FRANCESCO GUIDICINI / NEWS LICENSING / FORUM

eprasa.pl 6a7b48717c

słusznej sprawy – to jeszcze wypadałoby dopowiedzieć, wymieniając najważniejsze tematy dzieł Brytyjczyka, który zwał się w rzeczywistości David Cornwell (zmarł 12 grudnia minionego roku). Ale czy jest jeszcze jakaś słuszna sprawa? To pytanie pojawia się obsesyjnie w jego twórczości ostatnich dekad.

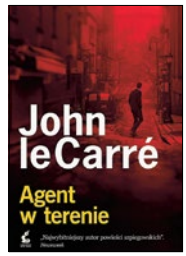

★★★★☆☆
JOHN LE CARRÉ „AGENT W TERENIE” SONIA DRAGA 2021

CEL UŚWIĘCAŁ ŚRODKI

Bohaterowie książek brytyjskiego mistrza literatury (po prostu literatury, bezprzymiotnikowo, bo słowo „szpiegowska” bardzo redukuje jego talent) nader często bywali ofiarami machinacji nie tylko ze strony przeciwnika, lecz także własnych przełożonych. I często nawet nie miewali o to pretensji, rozumiejąc reguły gry, w której biorą udział. Tu wszyscy grali nieczysto: my i oni. A cel uświęcał środki. Były więc zimnowojenne powieści le Carrégo wspaniałą analizą tego, co dzieje się w mroku, tam, gdzie nie powinniśmy zaglądać, by samemu nie przeżyć załamania na widok tego, ile nieprawości dokonuje się w imię naszego bezpieczeństwa i spokoju.

Wielka zmiana, która zaszła w pisarstwie Brytyjczyka po roku 1989, znajduje swój finał w „Agencie w terenie”, który nie jest ani jego najlepszą, ani najmądrzejszą, ani najbardziej literacko wysmakowaną powieścią, ale z pewnością jest opowieścią, w której wszystko wyłożono wprost: kawa na ławę. W znakomitych powieściach „Wierny ogrodnik” czy „Pieśń misji” le Carré opowiadał o zgubnym wpływie, jaki na świat polityki – w tym tajnych służb – wywierają potężni prywatni gracze: koncerny farmaceutyczne, energetyczne, zbrojeniowe. Kwestionował motywy Amerykanów, których nieustannie głośno krytykował za interwencje w Iraku i Afganistanie, ale wyrażał też głośne obrzydzenie praktykami Brytyjczyków, w których ministerstwach (oraz służbach) widział ludzi małych, podłych i kierujących się jedynie własnym interesem, opłacanych w dodatku przez wspomnianych wcześniej prywatnych krezusów.

W „Agencie w terenie” do tego dochodzi teza o samobójstwie Zachodu dokonywanym rękami populistów, zwolenników Trumpa, zwolenników brexitu i w ogóle współczesnych faszystów, którzy nienawidzą liberalnej demokracji. To przez nich liberalna demokracja nie jest już atrakcyjna. Zachód stał się oszustem. „Jakie teraz pierdoły sprzedajecie nam, zdrajcom, wy, Angole? Zbawienie ludzkości przez liberalną demokrację? Czemu ja się dałem nabrać na to gówno?” – mówi w pewnym momencie Arkady, Rosjanin, którego niegdyś Brytyjczycy zwerbowali do roli podwójnego agenta, a który potem zdradził kolejno i Anglików, i Rosjan, by skończyć na pozycjach osobnika dbającego jedynie o rozwój własnej przestępczej fortuny.

Innych mamicie wolnością i równością szans, a sami postępujecie samolubnie i obrzydliwie – to sedno przemiany widzenia Zachodu przez autora „Wiernego ogrodnika”. Czyli w czasach zimnej wojny Zachód kłamał w imię słusznej sprawy, teraz czyni to w imię własnych brudnych interesów.

Nat, główny bohater i narrator „Agenta w terenie”, to jeden z nielicznych szczęśliwców w Firmie – nie dość, że przeżył liczne niebezpieczne misje, to jeszcze udało mu się ocalić życie rodzinne. W chwili, gdy go poznajemy, z marazmu życia emeryta oddającego się głównie grze w badmintona wyrywa go spotkanie z pewnym młodym i bardzo radykalnie nastawionym człowiekiem. Oraz niespodziewana wiadomość z Firmy: nadarza się okazja, by wrócić do tego, co robił najlepiej – łowienia szpiegów. Rosyjskich szpiegów.

Nat po latach rozpamiętuje: nikt w 1989 r. nie mógł się spodziewać, że „postkomunistyczna Rosja zawiedzie wszelkie nadzieje i oczekiwania, stając się na powrót poważnym zagrożeniem dla liberalnej demokracji na całym świecie”. Teraz Brytyjczycy, korzystając z doświadczenia Nata oraz talentów młodej adeptki szpiegowskiego fachu imieniem Florence, próbują przyszpilić ukraińskiego oligarchę mieszkającego w Londynie. Zwerbowali już jego kochankę, ale chcieliby więcej, zwłaszcza że jest to typ „o dobrze udokumentowanych związkach i z moskiewskim Centrum, i z proputinowską frakcją w rządzie Ukrainy”.

SZÓSTY ZMYSŁ

Jednocześnie dzieją się inne ciekawe rzeczy: Moskwa uaktywnia pewnego śpiącego agenta, o którym nie wie, że zaraz po przybyciu do Anglii przeszedł na stronę Londynu. Oczywiście w świecie wywiadu należy kwestionować nieustannie wszystko, więc możliwa jest i inna opcja: śpioch ma posłużyć do nakarmienia Brytyjczyków fałszywymi informacjami, a cała sprawa to tylko przykrywka dla prawdziwej intrygi, która nabiera rozpędu. Tu szósty zmysł Nata (który dosłużył się dzięki dekadom pracy w Firmie tytułu „lord Nat”) przyda się bardzo; on po prostu potrafi czytać rozgrywkę i jest wyczulony na najdrobniejsze sygnały podwójnej gry. Kto zna powieści Johna le Carrégo, ten nie będzie zaskoczony żadnym z motywów zręcznie wplatanych w fabułę. Tym natomiast, co może zaskoczyć niektórych, jest warstwa emocjonalna powieści, warstwa związana z życiem rodzinnym głównego bohatera.

Jak już wspomniałem, to szczęściarz. Nie skończył w bezimiennym grobie na terenie bloku wschodniego, nie otruli go „nieznani sprawcy”, nie pogrążył go sfabrykowany skandal obyczajowy, nie strzelił sobie w łeb – żyje i ma się dobrze. Ma wspaniałą żonę, która też kiedyś była szpiegiem i której wsparcie było fundamentem, na którym Nat mógł budować życie. Kochają się i są razem, choć ich ścieżki zawodowe mocno się rozeszły: Prudence „jest wspólniczką w starej, szanowanej kancelarii prawnej w londyńskim City, specjalistką od praw człowieka, najchętniej pracującą społecznie”. Nat ma też córkę, która nie wiedziała dotąd o tym, że jej ojciec pracował i nada pracuje jako łowca szpiegów. Będzie się jednak musiała dowiedzieć. Sceny z życia rodzinnego głównego bohatera są w „Agencie w terenie” mocniejsze i bardziej poruszające od manewrów tajnych służb.

Kluczowy element intrygi zdaje mi się absurdalny i wysilony, żeby za wszelką cenę pożenić rosyjskie knowania z amerykańsko-angielskimi marzeniami. Żegna się z nami le Carré książką zgryźliwą, smutną i plakatowo publicystyczną. Zacytowałem ledwie drobną część ostrych komentarzy na temat stanu współczesnej polityki Wielkiej Brytanii i USA, Trumpa i brexitu (to może jeszcze jeden: mamy „trzeciorzędnych torysów. Minister spraw zagranicznych, skończony debil, któremu mam służyć. Partia Pracy też nie lepsza”). Z tej publicystyki wyłania się wezwanie do działania. Główny bohater książki będzie musiał w pewnym momencie wybrać: skoro ci, którym służyłeś, nie są warci twej lojalności, to co właściwie powinieneś uczynić? Le Carré, były szpieg, by odreagować, pisał książki, w których demaskował dawnych patronów i ich mikrych następców. Lord Nat, łowca szpiegów, będzie musiał zaryzykować bardziej. Sami ocenicie, czy w słusznej sprawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

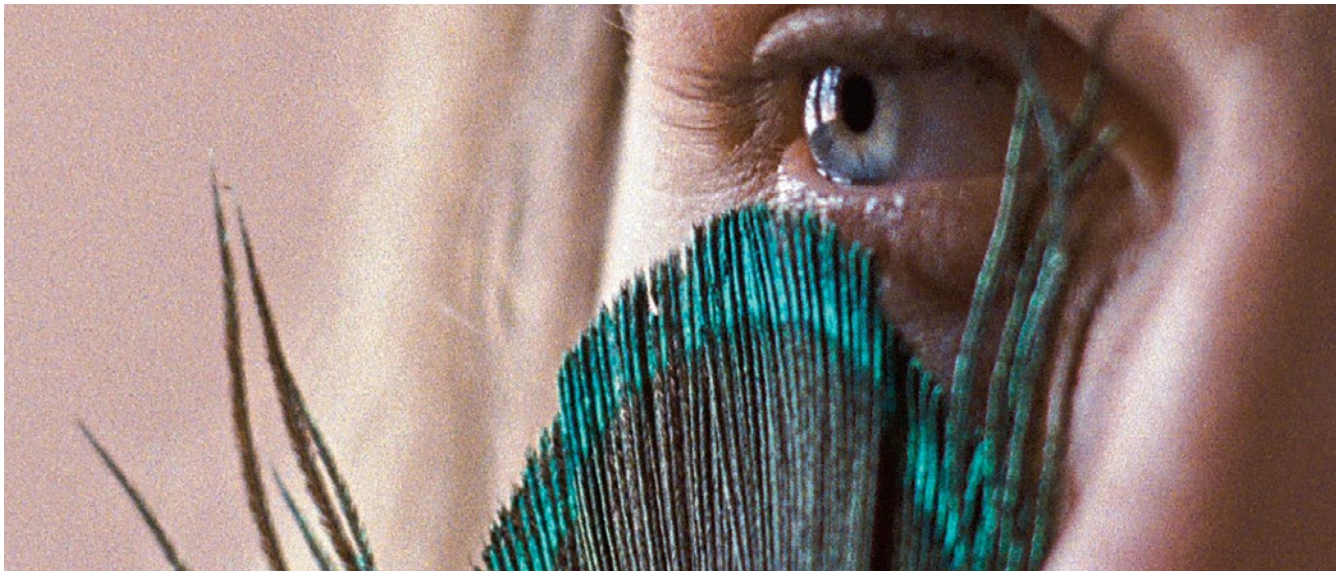

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

To, co pozostaje

★★★★★☆
REŻ. CATARINA VASCONCELOS „METAMORFOZA PTAKÓW" („A METAMORFOSE DOS PÁSSAROS")
PORTUGALIA 2020

Oto poemat w formie filmu, rzecz przypominająca nieco dzieła Lecha Majewskiego czy wysmakowane produkcje Petera Greenawaya. Premiera w kontrze do wakacyjnej mody na kino lekkie i łatwostrawne. Temat? Podobny do tego, z którym zmagał się ostatnio Mariusz Wilczyński w niezwykłej artystycznej animacji „Zabij to i wyjedź z tego miasta" – śmierć bliskich.

Pierwsza część filmu Catariny Vasconcelos to opowieść o miłości – on wyrusza na morze na długie lata. Ona zostaje na lądzie, wychowuje czworo dzieci. Piszą do siebie pełne uczucia, bólu, melancholii i tęsknoty listy. On odkrywa bezmiar samotności, ocean zdaje mu się symbolem wiecznego przemijania. Ona zafascynowana jest przemianami dorastających dzieci. Te listy, jak informuje nas pod koniec reżyser (rzecz jest mocno autobiograficzna), pisane były przez jej babcię i dziadka, ale po ich śmierci spalił je (zgodnie z ich życzeniem) ojciec. Nieważne, czego nie wiemy, to sobie wymyślimy, czego nie byliśmy świadkami, to sobie dopowiemy. Vasconcelos wymyśla więc na ekranie treść tych listów i wyobraża sobie, jakie emocje mogły je przepełniać.

Część druga to dorastanie, dojrzewanie, przemijanie. Tytułowa „metamorfoza ptaków" – kolorowe ptaki, dzieci i wnuki Beatriz oraz Jacinta zamieniają się w dorosłych, składają do grobu kolejne pokolenia przodków i tak jak ich dziadkowie i rodzice pozostają bezradni w obliczu ulotności życia. Rodzinna saga jest dla Vasconcelos okazją do zmierzenia się z własnymi emocjami, a jednocześnie zamienia się w czytelne pod każdą szerokością geograficzną dzieło sztuki, próbę zatrzymania czasu: bezskuteczną, naiwną, zachwycającą, wzruszającą.

Wszystko to opowiadane jest symbolicznymi obrazami, w wąskim kadrze 4:3, kręcone na taśmie 16 mm, z towarzyszeniem hipnotyzującej, poetyckiej narracji. W sposób prosty, a zarazem wysmakowany i pomysłowy: zakręty historii Portugalii, przejście od kolonializmu i dyktatury Salazara do demokracji pokazane są przez montaż znaczków pocztowych z różnych lat. Niezwykłe kadry zostają z nami długo po seansie. Opuszczony dom, który biorą we władanie rośliny. Oniryczne pejzaże, przez które wędrują bohaterowie. Powracające obrazy-symbole: roślin, ptaków, morza. Rośliny umierają, ptaki odlatują. Morze pozostaje. ©℗

NOWE SERIALE: „MALORY TOWERS"

Malory Towers to nazwa szkoły dla dziewcząt położonej na malowniczym wybrzeżu Kornwalii. Trafia do niej Darrell Rivers, bohaterka 13-odcinkowego serialu BBC. Produkcja powstała na kanwach serii popularnych powieści dla młodzieży autorstwa Enid Blyton, wydawanych w latach 40. i 50. XX stulecia. Serial „Malory Towers" okazał się sukcesem tak dużym, że zamówiono od razu dwa następne sezony (właśnie są kręcone). W roli głównej obsadzono Ellę Bright, która niedawno debiutowała na kinowym ekranie rólką w komedii „Holmes i Watson". ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 1 „Malory Towers", Wielka Brytania 2020***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *miniserial dokumentalny* ***„John DeLorean: Potentat i legenda"****, USA 2021*

• *reż. Corneliu Porumboiu* ***„La Gomera"****, Hiszpania 2019*

• *sezon 2* ***„Central Park"****, USA 2021*

eprasa.pl 6a7b48717c

Mój czerwony brat

YouTube

Western, tak samo jak marksizm, zaliczył fazę rewizjonistyczną. 70 lat temu bystrzacy z Hollywood odkryli, że cywilizowanie Dzikiego Zachodu zaczęło się od mordowania tubylców. Odtąd bicie się w piersi za ów grzech założycielski stało się w Ameryce rytuałem. Ekrany zaludnili dobrzy Indianie i źli do szpiku kości biali intruzi. „Złamana strzała", western pacyfistyczny, lansowała wersję kompromisową: bandyci zdarzają się po obu stronach, lecz ludzi dobrej woli jest więcej. Były żołnierz, Tom Jeffords, wzywa osadników do zawarcia pokoju z wojowniczymi Apaczami tym gorliwiej, że wpadła mu w oko pewna squaw. Film, oglądany dziś, razi naiwnością, lecz zapoczątkował trend, którego pokłosiem były powieści Wiesława Wernica tudzież niemieckie superprodukcje o przygodach Winnetou. Przerobiony na familijny serial bił rekordy popularności po obu stronach Atlantyku. Podstarzały James Stewart smali cholewki do 15-letniej, niższej o głowę Debry Paget. W A.D. 2021 to by nie przeszło, a w roli szlachetnego Cochise'a zamiast Żyda z Brooklynu musiałby wystąpić pełnokrwisty Indianin. Jeff Chandler, czyli Ira Grossel, okazał się tak wielkim patriotą Izraela, że Arabowie bojkotowali filmy z jego udziałem. W serialu naprawiono ten błąd obsadowy: wodza grał Michael Ansara, z pochodzenia Syryjczyk. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. DELMER DAVES
„ZŁAMANA STRZAŁA" („BROKEN ARROW")
USA 1950
wyst. James Stewart, Jeff Chandler, Debra Paget

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GROZA W KIMONIE

arte

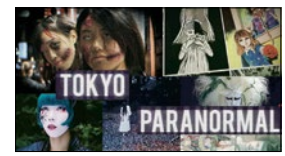

★★★☆☆☆
REŻ. YVES MONTMAYEUR
„PARANORMALNE TOKIO" („TOKYO PARANORMAL")
FRANCJA 2018

Znacie legendę o duchu kobiety przeciętej na pół przez pociąg? Słyszeliście o lesie samobójców albo o demonie czającym się w damskiej toalecie (zawsze w trzeciej, licząc od lewej)? A może obiła się wam o uszy plotka o trefnej kasecie wideo, której obejrzenie skutkuje zgonem? Jeśli nie, to macie małe szanse, by zrozumieć, co gra w duszach gospodarzy obecnych igrzysk olimpijskich. Francuscy autorzy serii krótkich filmów, opatrzonych wspólnym tytułem „Paranormalne Tokio", próbują zgłębić fenomen japońskiego umiłowania makabry, maglując przed kamerą historyków kultury, reżyserów J-horrorów, twórcę przerażającej mangi, tropicielkę upiorów oraz aktorów, którzy sztukę straszenia opanowali do perfekcji. Tropy prowadzą do teatru nō i kabuki. Duchem o najdłuższym stażu jest Oiwa, mściwa żona samuraja. Sadako z „Ringu" i Kayako z „Klątwy" to jej następczynie. Japończycy po prostu boją się kobiet.

ŻYCIE JAK ROWEREK

KINO

★★★☆☆☆
REŻ. LAURENT TIRARD
„WESELNY TOAST" („LE DISCOURS")
FRANCJA 2020
wyst. Benjamin Lavernhe, Sara Giraudeau, Julia Platon

Francuzi przegrali z Anglosasami wojnę o kulturę m.in. dlatego, że za bardzo zadzierali nosa. Tymczasem największą ze sztuk jest umiejętność śmiania się z siebie. Film Laurenta Tirarda świadczy, że trójkolorowi próbują (choć nieśmiało) wyciągnąć wnioski z porażki. Główny bohater to hipochondryk i panikarz. Choć stuknęła mu trzydziestka, to wciąż ma gigantyczny problem z asertywnością. Prośba o wygłoszenie mowy na weselu siostry spada nań jak grom z jasnego nieba. Adrien otrzymał właśnie kolejny cios od losu: jego dziewczyna zażyczyła sobie „przerwy" i wyprowadziła się ze wspólnego mieszkania. Załamany monologuje, rozpamiętuje przeszłe niepowodzenia (zaczynając od podstawówki) i snuje czarne scenariusze. Życie jako ciąg znienawidzonych rytuałów, narzuconych przez rodzinę i społeczeństwo – skąd my to znamy? Adaś Miauczyński serdecznie pozdrawia francuskiego kuzyna. ©℗

recenzuje Wiersław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „THE LEGEND OF ZELDA: SKYWARD SWORD HD"

★★★★★☆

Wydany przed 10 laty „Skyward Sword" był popisem sterowania ruchowego na Nintendo Wii. Remaster na Switcha też najlepiej sprawdza się wtedy, gdy – ku uciesze domowników – zaczynamy machać rękoma przed telewizorem. Podnosimy rękę nad głowę i opuszczamy – wyprowadzamy morderczy oberhau, poprzeczny ruch ręki – sieczemy zwerchau itd. Gestów używamy zresztą nie tylko podczas starć. Co prawda, dostajemy możliwość sterowania „klasycznego", ale wtedy walka staje się mniej wygodna. Odświeżona oprawa nie zdziała cudów – czuć, że „Skyward Sword" ma już swoje lata, ale to nadal naprawdę bardzo dobra gra. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcja, TPP*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl 6a7b48717c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Klęcząc na grochu

Ta książeczka ma zaledwie 70 stron, ale mieści w sobie treści tyle, ile znajdujemy w najgrubszych tomach. I to z gatunku tych najważniejszych, jak choćby dzieła Sołżenicyna, nieprzypadkowo przywoływane już we wstępnym słowie Piotra Wierzbickiego, poprzedzającym „Bez honoru", rzecz o tej samej, niesłychanie wysokiej temperaturze wewnętrznej. I tej samej świadomości wagi poruszanych spraw.

Autor „Archipelagu GUŁ-ag" pisał o Rosjanach i Rosji, bo był rosyjskim patriotą; Piotr Wierzbicki pisze o Polsce, tej widzianej codziennie z okna, jednocześnie wolnej i pogubionej, biednej i bogatej, konserwatywnej i zrewoltowanej, suwerennej i pouczanej z lewa i prawa.

Któż nie pamięta słów Jarosława Marka Rymkiewicza:

„Polska – mówią – wspaniale
lecz trzeba po trochu
Ją ucywilizować – niech klęczy
na grochu
Niech zmądrzeje niech zmieni
swoje obyczaje…".

Autor – przypomnę – tak ważnych książek, jak „Myśli staroświeckiego Polaka", „Traktat o gnidach", „Cyrk", „Bitwa o Wałęsę", nie użala się na Unię Europejską ani nie szydzi z jej, najdziwniejszych nawet, pomysłów, ale pyta wprost, dlaczego premier grzmi w Psiej Wólce, a nie w Brukseli, gdzie zapewnia – czytamy – „o naszym bezgranicznym przywiązaniu do idei zjednoczonej Europy".

Spyta ktoś: A czy można inaczej? To tak jak z naszymi sąsiadami; trudną mamy z nimi historię, ale przecież musimy z nimi żyć, i to możliwie jak najlepiej. Na przykład z Niemcami, podtrzymując sławny uścisk Tadeusza Mazowieckiego z kanclerzem Kohlem. Mamy zresztą interesy. Tylko czy aby na pewno wspólne? „Niemcy, ze swą dalekowzroczną polityką historyczną,

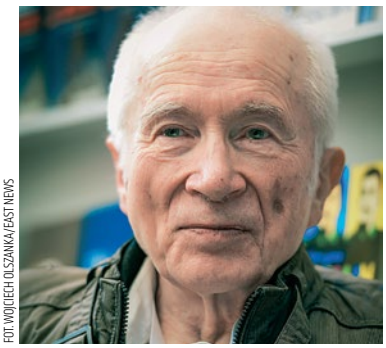

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

polityką zagraniczną i dyplomacją – pisze Piotr Wierzbicki – uczyniły po roku 1989 wszystko, byśmy mieli tu, w Polsce, współrodaków, i to współrodaków ważnych, mających wobec tego państwa dług wdzięczności. Stypendia, nagrody, odznaczenia, tłuste posady w Brukseli, a – jak słychać – jest cała polityczna formacja mająca wobec subwencji zaodrzańskich dług wdzięczności. Rzecz jasna, wdzięczność (zdolność jej odczucia) to raczej cnota niż grzech, nieszczęście bierze swój początek dopiero w chwili, gdy w rewanżu ktoś podnosi rękę na swój kraj. Nie pamiętam już szczegółów, ale lata temu, chyba jeszcze przed czasami »pisu« i »po«, ktoś zapytał pewnego zagranicznego dyplomatę czy też eksperta, która partia jest dziś najsilniejsza w Polsce, i odpowiedź brzmiała: partia niemiecka (małymi literami, on nie nazwę wskazał, lecz istotę)".

Autor „Bez honoru" nie zapomina też o innej partii, zakładanej za pieniądze, jeszcze sowieckiego, KGB, której „byli liderzy zasiadają dziś w Parlamencie Europejskim z list tamtej pierwszej, głosując solidarnie przeciw Polsce. Długi wdzięczności całkowicie harmonijnie się wspierają".

Piotr Wierzbicki nie oszczędza nikogo: nie tylko zaprzańców z opozycji, lecz także rządzących, którym wypomina i podwójne standardy, i nachalną propagandę, prężenie muskułów i nadużywanie wielkich słów. Naprawdę społeczeństwo zapomina o Bogu, ojczyznę wspomina 11 listopada. A honor? „To, co robimy – powiada autor wyjątkowo niepoprawnej politycznie książki – i w czym siedzimy po uszy, niewiele ma wspólnego z honorem". Jeśli zaś chodzi o społeczeństwo polskie, to warto zakonotować sobie zdanie: „Naród, ze swą historią, mentalnością i kulturą, jest czymś więcej niż jakieś tam zastraszone czy znęcone kiełbasą społeczeństwo". Otóż to. I na pewno więcej znaczy niż unijne dopłaty, ciepła woda w kranie i uśmiech Ursuli von der Leyen.

Może i jesteśmy przeczuleni na punkcie naszej suwerenności, ale nie dzieje się tak bez przyczyny. Mamy po temu powody, nie wyłącznie natury historycznej, choć te pewnie przede wszystkim. Wierzbicki nie szuka łatwej pociechy, przeciwnie – akcentuje, że lepiej nie będzie, a prezentowany przez nas „odruch nieposłuszeństwa, odrębności, buntu godzi w samo serce unijnego organizmu oraz jego działań i zamysłów". Co więc robić? Trzasnąć drzwiami i dać sobie spokój z całym tym unijnym przedsięwzięciem? Może nie dziś jeszcze, ale jutro, gdy – być może – „oddziały żandarmerii Europejskich Sił Zbrojnych (na które bezmyślnie się zgodzono) zaczną grasować w polskich miastach", a „unijny minister spraw zagranicznych zaprosi do Polski – w ramach przyjacielskiej wymiany doświadczeń – dywizję rosyjskich wojsk pancernych". Co zrobimy wtedy? Czy będziemy wciąż jeszcze deliberowali o prawach człowieka, czy może przypomnimy sobie i o ciążących na nas obowiązkach?

Każda strona „Bez honoru" budzi emocje, skłania zarówno do polemik, jak i rozwijania poruszanych w niej kwestii. Przy czym Piotr Wierzbicki nie kryje, że wiele spraw, z unijnymi na czele, widział w przeszłości inaczej. A dlaczego? Odsyłam do lektury. ©℗

★★★★★☆

PIOTR WIERZBICKI „BEZ HONORU" SIC!, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 6a7b48717c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wiatr historii

W książce „Dzieci ziemi i nieba" powracamy do ulubionego świata Kaya, który wykorzystując motywy historyczne, utkał z nich własną fantastyczną opowieść. Zamiast Bizancjum mamy w niej Sarancjum, zamiast chrześcijan – dżadytów, a zamiast muzułmanów – aszarytów. Akcja „Sarantyńskiej mozaiki" (dwa tomy) toczyła się w Sarancjum u szczytu potęgi, „Lwy Al-Rassanu" inspirowane były hiszpańską rekonkwistą, a „Ostatnie promienie słońca" – wikińskim podbojem Brytanii.

Teraz oglądamy ów fantastyczny, ale w pełni wiarygodny świat w czasach, które są odpowiednikiem naszego XV stulecia. Ćwierć wieku przed początkiem „Dzieci…" Sarancjum upadło, podbite przez brodatych religijnych fanatyków (tak jak nasz Konstantynopol), i przemianowane zostało na Aszarias. Jego kalif, śniący o panowaniu nad światem, co roku przypuszcza coraz groźniejsze ofensywy przeciw niewiernym.

Na tym tle obserwujemy dzieje licznych intrygujących bohaterów: lekarza wykonującego misję szpiegowską z fałszywą żoną u boku, młodej i dzielnej mieszkanki maleńkiej pirackiej republiki, ambasadora wysłanego z Seressy (odpowiednik Wenecji) na dwór cesarza Rodolfa – długo by wymieniać. Warto zauważyć, że Kay ma świetną rękę do mocnych, ciekawych kobiet. Ale w ogóle z konstruowaniem postaci radzi sobie świetnie, przypomina mi w tym dwóch tuzów współczesnej fantastyki naukowej: Kima Stanleya Robinsona i Orsona Scotta Carda. Łączy ich to, że dbając o wiarygodność fantastycznego świata przedstawionego, jeszcze bardziej dbają o psychologiczną wiarygodność bohaterów.

Jednocześnie prawdziwymi bohaterami książek Guya Gavriela Kaya są czas i historia. Czas nazwany został zresztą w jednej z poprzednich powieści „władcą cesarzy", gdyż największa nawet ziemska potęga, najwyższa władza nic nie znaczą wobec powolnego obracania się żaren czasu. No i historia: biegnie w tych książkach własnym rytmem, jakby była żywą istotą, na której wyczyny nie mają wpływu nawet najbardziej ambitni bohaterowie. Kay nigdy nie oferuje łatwych wytłumaczeń, tanich pocieszeń i szczęśliwych zakończeń. Nawet gdy jakieś przedsięwzięcie udaje się doprowadzić do udanego końca, zaraz za zakrętem czekają jeszcze większe wyzwania. A najlepsze plany myszy i ludzi rozsypują się w proch przy lekkim nawet powiewie wiatru dziejów. Tak jak w prawdziwym świecie. ©℗

★★★★☆☆

GUY GAVRIEL KAY „DZIECI ZIEMI I NIEBA" ZYSK I S-KA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Esej o kłopotliwej radości", czyli teologiczne rozważania filozofa francuskiego, „Żyda z arabskim nazwiskiem katolickiego wyznania", jak sam mówi o sobie. Znamy go z książek „Zmartwychwstanie" czy „Apostolat czasu apokalipsy".

FABRICE HADJADJ „RAJ ZA DRZWIAMI" PIW

Stan wojenny: mniejsze zło czy wojna z narodem? Pierwsze lata po 1945 r.: wojna domowa czy nowa okupacja? Czy PRL przyniósł skok cywilizacyjny? Zbiór kilkunastu tekstów znanych historyków. Pod redakcją Roberta Spałka.

AUTORZY RÓŻNI „SPRZECZNE NARRACJE…" IPN

Polityka, mafia, handel dziełami sztuki, kłopoty w związku z Livią, inna piękna kobieta na horyzoncie – oto 19. już tom opowieści o komisarzu Montalbano i jego Sycylii. Idealna lektura na wakacje.

ANDREA CAMILLERI „ŚWIETLNE OSTRZE" NOIR SUR BLANC

Klasyka literatury japońskiej. Imponujący stylem i mądrością zbiór nowel pisarza żyjącego na przełomie XVIII i XIX w. Ubrane w kostium opowieści niesamowitych dialogi o społeczeństwie, kulturze i ludzkim losie. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

AKINARI UEDA „PO DESZCZU, PRZY KSIĘŻYCU" WYDAWNICTWO KIRIN

KOMIKS TYGODNIA: „DOM"

„Jedynym tematem literatury jest upływ czasu" – pisze w posłowiu Fernando Marias (historyk sztuki, brat pisarza Javiera). „Dom" dotyka tematu w sposób wzruszający i piękny: troje rodzeństwa przy okazji spotkań w domu zmarłego ojca wspomina dzieciństwo, dokonuje rachunku sumienia. Nie jest to jednak ponury rodzinny melodramat, lecz opowieść o tym, jak to, co ważne, przecieka nam przez palce. I o tym, że pewne lekcje rozumiemy zbyt późno – co nie znaczy, że nie powinniśmy ich byli otrzymać. Wybitne osiągnięcie hiszpańskiego komiksu, w USA uznane za najlepszy album roku. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

PACO ROCA „DOM" KULTURA GNIEWU 2021

eprasa.pl 6a7b48717c

Początek drogi

FOT. MARZENA ARCISZEWSKA

– Po tylu dobrych recenzjach bardzo uwierzyliśmy w siebie – mówią muzycy zespołu Liver, mając na myśli recenzje ich ubiegłorocznej epki „#1". – Dla nas jest to podsumowanie kilku lat naszego życia i tego, czym nasiąkaliśmy przez te lata. Chcieliśmy nagrać szybkie demo, okazało się, że piosenki się podobają, i poszliśmy za ciosem. Wydaliśmy epkę. Wielkie dzięki dla Dominika Cynara z Dirty Sound Records, bo to on zobaczył w tym potencjał. Myślę, że to dopiero początek naszej drogi – dodają. Kolejnym krokiem był wydany niedawno singiel „Talia nowych kart".

Liver tworzą: wokalista i gitarzysta Szymon Grela, basista Mirek Grela oraz perkusista Robert Winczowski. Dwóch pierwszych łączą więzy krwi – Szymon jest synem Mirosława. Wszystkich trzech łączy zamiłowanie do klasycznego, dobrego grania z pogranicza rocka i bluesa. – Muzyka, którą gramy, nie jest w dzisiejszych czasach szczególnie popularna, ale ma swoich odbiorców. Super, że w muzyce jest różnorodność, każdy może znaleźć coś dla siebie. Z biegiem lat zauważyłem, że rock, blues i inne pokrewne gatunki nie są czarno-białe, mają wiele barw i to jest w tym wszystkim piękne – mówi Mirosław Grela.

Najnowszy singiel zespołu to muzycznie utwór bardzo reprezentatywny dla zainteresowań grupy („Trudno zdefiniować, w jaką szufladę nas wrzucić. W naszej muzyce można usłyszeć trochę country bluesa, funky reggae. Po prostu rock z subtelnie dodanymi różnymi wpływami, rzeczami, które nas inspirują"). A przy okazji jest to nostalgiczna opowieść o tym momencie życia, gdy człowiek opuszcza swój rodzinny dom, miejsce, w którym się wychowywał i dorastał. Z kolei epka „#1" to sześć anglojęzycznych piosenek. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Bomby zagłady i miłości

Jest już tradycją, że kolejne rocznice Powstania Warszawskiego upamiętniają albumy muzyczne. Inspiracją dla tegorocznego wydawnictwa były fotografie Eugeniusza Lokajskiego ps. Brok. Każda z ośmiu piosenek Tomasza Organka komentuje inną z nich.

„Z jego zdjęć, paradoksalnie dla czasu powstańczej pożogi, bije życie" – tłumaczy Tomasz Organek. „Roześmiane młode kobiety, pary łączące się w małżeństwie, aż Bóg ich nie rozłączy, mężczyźni silni w swej wierze w zwycięstwo. Jest w tym wszystkim jakaś porywająca poezja. Teksty bezpośrednio inspirowane jego zdjęciami dosłownie pisały się same".

Zespół Ørganek doskonale wywiązał się z zadania. Piosenki cechuje lekkość, która idealnie obrazuje młodzieńczą naiwność wobec nadchodzącej tragedii. Lider grupy, inspirując się zdjęciami, napisał teksty, które zamiast przytłaczać patosem spod znaku Bóg, Honor i Ojczyzna w krótkich historiach opowiadają o młodych ludziach, którzy nie tylko nie czują strachu, lecz także kochają i marzą o przyszłości. Te słowno-muzyczne miniatury doskonale portretują chwile zatrzymane na zdjęciach uwidocznionych w książeczce do płyty. Dodam, że na płycie pojawią się znakomici goście: Magda Umer, Ralph Kaminski i Klaudia Szafrańska. ©℗

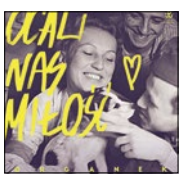

★★★★★★
ØRGANEK
„OCALI NAS MIŁOŚĆ"
MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

★★★★★★
HANIA RANI
„MUSIC FOR FILM AND THEATRE"
GONDWANA

Ambientowe „ćwiczenia z wyobraźni" teatralno-filmowej wypadają nad wyraz intrygująco. Album rozpoczyna mgławicowa elektronika, następnie dominuje fortepian, który uzupełniają żeńskie głosy, by pod koniec zabrzmiał mroczny kwartet smyczkowy ze spektaklu „Pradziady".

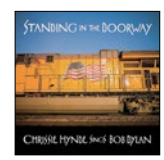

★★★★★★
CHRISSIE HYNDE
„STANDING IN THE DOORWAY"
BMG

Liderka The Pretenders sięga po mniej znane utwory Boba Dylana. Aranżacje są proste i często ograniczające się do głosu Chrissie Hynde i gitar Jamesa Walbourne'a. Wokal jest mocny i sugestywny, co działa na korzyść tekstów, a zarazem niektóre interpretacje mają wręcz epicki charakter. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Moc „Don Giovanniego", moc Ryszarda Peryta

Grzegorz Kondrasiuk

Na zakończenie festiwalu Mozart 2021 do Pomarańczarni w warszawskich Łazienkach powrócił „Don Giovanni" w wykonaniu Polskiej Opery Królewskiej

Chociaż od ponad dwóch lat nie ma już z nami Ryszarda Peryta, to wypielęgnowana przez niego formuła prezentowania oper wciąż emanuje swoim przedziwnym urokiem. Gra już samo wnętrze: kameralna (patrząc z dzisiejszej perspektywy), XVIII-wieczna sala Teatru Stanisławowskiego. Zachowała się tu oryginalna, zupełnie niedzisiejsza architektura sceniczna: układ kwadratowej widowni z parterem, bocznymi lożami, kanałem i głęboką, ale maleńką jak na dzisiejsze potrzeby teatrów muzycznych sceną. Historyczne wnętrze niebywale wzmacnia Ryszarda Peryta rozumienie „przedstawiania" (jak mówił i pisał) dzieł dawnych mistrzów.

Jego postawę wobec arcydzielnej klasyki – utrwaloną także w „Don Giovannim" – w wielkim skrócie określić można jako podróżowanie do źródeł, poszukiwanie esencji kunsztownych dzieł, nieprzysłanianie muzyki nadmiarem pomysłów inscenizacyjnych. Taki też jest jeden z ostatnich spektakli dyrektora, reżysera i twórcy Polskiej Opery Królewskiej. Pod kierownictwem muzycznym Łukasza Borowicza i batutą Zbigniewa Gracy inscenizacja ta została oparta, jak mówią mądrzejsi ode mnie i potrafiący głębiej słyszeć, na pierwszej, praskiej wersji. Odsiewając balast romantycznej tradycji wykonawczej – sięga do źródła, do żywiołu mieniącej się kontrastami tempa i nastroju XVIII-wiecznej opery buffa. Pisał swego czasu najtrafniej Piotr Kamiński o życiu „Giovanniego" na dzisiejszych scenach: „Nasza epoka, z jednej strony, próbuje oczyścić utwór ze stylistycznych naleciałości wieków minionych [...]. Z drugiej strony jednak, ta zdrowa tendencja zderza się z ekscesami »Regietheater« (»teatru reżyserskiego«) niemieckiego chowu, który przypisuje sobie nieograniczone prawa do ingerencji". I jeszcze: „Od 200 lat każde pokolenie wykonawców próbuje odsłonić przed nami oryginalność, wieloznaczność i ludzką prawdę tej partytury, każde ściąga ją jednak w istocie do swych własnych pojęć i przekonań". Robił to także Peryt – reżyser absolutnie zanurzony w sakralnych fascynacjach, głęboko wierzący oblat redemptorysta, który wcale nie ukrywał, że poprzez „Giovanniego" chciał wypowiedzieć własną prawdę o świecie. A jednak – choć wierzył w moralny wymiar sztuki – powstrzymał się od łatwego moralizatorstwa. Dał wersję opery inscenizacyjnie wyczyszczoną, nie szukał zgrzytliwych i często niestrawnych kontrastów pomiędzy tym, co widzimy na scenie, a tym, co słyszymy, nie kreślił ideologicznych bohomazów na tej wyrafinowanej partyturze. Wystarczyło mu oddanie głosu kompozytorowi i libreciście, odegranie fabuły do końca i na serio.

Pisząc dla Mozarta libretto tej opery, Lorenzo Da Ponte zaczerpnął od Tirso de Moliny i Moliera stary, wędrujący mit hedonisty i uwodziciela, drwiącego z zasad moralnych i przykładnie ukaranego. Giovanni to libertyn opętany seksualną obsesją, zwodzący i zdobywający (Donna Anna – Ewa Tracz, Donna Elwira – Tatiana Hempel-Gierlach, Zerlina – Marta Boberska). W tercecie z końca II aktu Giovanni ginie, zmrożony kamiennym uściskiem Komandora – wciąż nieustępliwy, do końca nie uznając porządku moralnego. Znakomicie wykonujący tą partię Wojciech Gierlach był odpowiednio patetyczny, dobitny, był przegraną wielkością. Pozostał tajemnicą, zagadkową postacią, symbolem człowieczeństwa „wyzwolonego". Człowieka, który dokonał wyboru, wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami. Cała groza tego wyboru zmieściła się w muzyce, w przeszywającym, miażdżącym wręcz swoją mocą pojedynku wokalnym Giovanniego i Komandora (Robert Gierlach), przeplatanym partiami chóru i lękliwym lamentem służącego Leporella (Andrzej Klimczak). A po wszystkim następuje wzruszająco naiwny finał (sekstet z pierwszej, praskiej wersji), który, jak to w dawnym teatrze bywało, dopowiada losy postaci i zamyka wszystkie wątki.

„Takiego świata, jaki reprezentował Ryszard, będzie brak. Bo ten świat jego, duchowy, katolicki, ma swoje miejsce w naszej kulturze, w naszym teatrze, w myśleniu o Polsce. Nie wiem, kto mógłby go zastąpić. Nie wiem, gdzie są ci ludzie, którzy kontynuowaliby, rozwijaliby tę myśl o teatrze jako miejscu świętym, miejscu, gdzie dokonują się bardzo tajemnicze, a ważne procesy". Kto mógł takie słowa wypowiedzieć w 2019 r., żegnając Ryszarda Peryta? Otóż – Andrzej Seweryn. ©℗

„Don Giovanni" W.A. Mozarta; inscenizacja, scenografia, reżyseria: Ryszard Peryt; kierownictwo muzyczne: Łukasz Borowicz; dyrygent: Zbigniew Graca; premiera 5–10 lipca 2018 r. na scenie Polskiej Opery Królewskiej; pokaz w ramach Festiwalu Mozart 2021

eprasa.pl 6a7b48717c

Sanitaryzm 2021

Łukasz Warzecha

Narasta radykalizm zwolenników selekcji ludzi na zaszczepionych i niezaszczepionych. Wyrastają nowi „oświeceni", którzy gardzą „ciemnym ludem"

FOT. ADOBE STOCK

Rzeczywistość sanitarystycznej ofensywy latem 2021 r. oscyluje pomiędzy groteską a powagą. Do dziedziny groteski należało odznaczenie przez ministra zdrowia Adama Niedzielskiego „ofiar ataku" na punkt szczepień w Grodzisku Mazowieckim. Napisać tego bez cudzysłowu się nie da, bo ów atak (a tak naprawdę prowokacja) był autorstwa wrogiej wobec obecnej władzy grupki niegdyś związanej z ruchem Pawła Tanajny, nazywającej się Polskimi Żółtymi Kamizelkami. Członkowie grupy początkowo próbowali wyegzekwować to, co faktycznie powinno być dostępne dla każdego mającego wątpliwości pacjenta: konsultacji lekarskiej i wglądu w oryginalną informację o składzie szczepionki. O tym, że konsultacja jest fikcyjna, a informacja dla szczepiących się zdawkowa – mówiono wiele razy i nie jest to żadną tajemnicą. Wie to również każdy, kto na szczepienie trafił.

Ostatecznie puściły emocje, a fizyczne starcie zaczęło się od próby sforsowania stojących w drzwiach dwóch ochroniarzy przez kobietę z grupy Polskich Żółtych Kamizelek, skończyło się zaś szarpaniną z ochroną, ze strażą miejską i z policją.

Jasne jest, że celem prowokatorów nie było zaszczepienie się, można sobie jednak zadać pytanie, co by się stało, gdyby dostali to, czego żądali, a więc drobiazgową konsultację lekarską oraz do wglądu oryginalne opakowanie szczepionki podawanej w punkcie? Tak czy owak, odznaczanie ochroniarzy czy pracowników punktu to komedia, której celem jest zbudowanie narracji: bohaterscy obrońcy szczepionek kontra ciemny, tępy, agresywny tłum. Bardzo przydatne dla rządzących, jeśli więc prowokatorzy chcieli pokazać wady systemu, to skutek osiągnęli raczej przeciwny, dając drugiej stronie świetną okazję do lansowania własnej narracji.

Tak czy owak, dalszy ciąg był łatwy do przewidzenia. Grupkę marginalnych radykałów, pod których działaniami nie podpisałaby się z pewnością ogromna większość osób sceptycznych wobec szczepień na COVID, szybko połączono z każdym, kto sprzeciwia się już choćby jedynie segregacji sanitarnej. Zresztą w retoryce rządzących i opozycji od dawna już to utożsamienie nastąpiło. Każdy sceptyk, niezależnie od stopnia i zakresu sceptycyzmu, jest szufladkowany jako „antyszczep" albo „proepidemik".

NARASTAJĄCE WZMOŻENIE

Tutaj zaczyna się drugi, mniej zabawny aspekt sytuacji: narastające wzmożenie sanitarystyczne. Natężenie presji związanej ze szczepieniami, nacisku na wprowadzenie jakiejś formy selekcji obywateli i utrudnienia życia niezaszczepionym zbiega się, co ciekawe, ze spadkiem

eprasa.pl 6a7b48717c

zakażeń do najniższych wartości od roku. Jarosław Gowin otwarcie opowiada się za rozwiązaniami francuskimi, które oznaczałyby po prostu odebranie nieszczepionym obywatelom znacznej części ich praw. Pomija przy tym całkowicie prawny, w tym konstytucyjny problem z takimi regulacjami. Duże organizacje biznesowe, takie jak Konfederacja Pracodawców „Lewiatan", nie tylko nawołują do wprowadzenia sanitarnej selekcji oraz wyposażenia pracodawców w jak najdalej idące kompetencje względem pracowników, lecz także mają czelność wypowiadać się jako przedstawiciele wszystkich przedsiębiorców. Tymczasem mniejsze firmy doskonale zdają sobie sprawę, że ograniczenie dostępu dla niezaszczepionych oznaczałoby dla nich olbrzymie straty finansowe. Do Sejmu ma jednak trafić poselski projekt ustawy uprawniającej pracodawców do przesuwania niezaszczepionych pracowników na inne stanowiska, co rodziłoby zagrożenie dyskryminacją, a także byłoby w konflikcie z prawem pracy i prawdopodobnie RODO.

Retoryka zwolenników selekcji staje się coraz bardziej radykalna. Poseł Lewicy Tomasz Trela pisze na Twitterze, że „antyszczepionkowcy to bestie w ludzkim ciele", i specjaliści od mowy nienawiści jakoś nie spieszą się z potępieniami. Aktywista Bart Staszewski w sprawie represji wobec niezaszczepionych mówi niemalże jednym głosem z publicystą katolickim Tomaszem P. Terlikowskim. Ten pierwszy domaga się przymusu szczepień i „surowych kar" dla niezaszczepionych, ten drugi – natychmiastowego wprowadzenia w wewnętrznym obiegu „paszportu covidowego" i „radykalnych działań". Publicyści lewicowych mediów prześcigają się w wymyślaniu, jak źle należałoby potraktować nieszczepiących się. „Dopóki się nie zaszczepicie, rząd powinien wam odebrać cały smak życia" – zwraca się do nich Michał Wilgocki, publicysta „Gazety Wyborczej". Właściwie przekaz dużej części elit dotyczący niezaszczepionych można już porównać do tych momentów z naszej – i nie tylko naszej – historii, za które powinno nam być wstyd, jak za getto ławkowe.

Dzieje się to bez śladu refleksji nad długoterminowymi skutkami wprowadzania kolejnego podziału, innego niż wcześniejsze, bo w dużej mierze idącego w poprzek granic politycznych. Tymczasem badania pokazują, że Polska jest przeorana niemal na dwie połowy, a emocje towarzyszące tematowi są porównywalne z tymi, jakie wywołuje choćby temat aborcji.

Bardzo ciekawie wypadło w tej kwestii niedawne badanie opinii publicznej dla portalu Wirtualna Polska. Na poziomie ogólnego pytania – czy niezaszczepionych nie powinny spotykać żadne ograniczenia – większość, czyli 53,7 proc., uznaje możliwość ich wprowadzenia, a przeciwnego zdania jest 41 proc. Jednak gdy zadawano pytania szczegółowe o konkretne możliwe restrykcje, ich zwolennicy w żadnym przypadku nie byli w większości. I tak przeciwko zakazowi wstępu do restauracji i kawiarni było 54,6 proc., za – 40,1 proc. Przeciw zakazowi wstępu do centrów handlowych opowiedziało się 58,6 proc., za – 34,1 proc. Aż 76,3 proc. nie chce ograniczenia dla niezaszczepionych we wstępie do placówek medycznych, a jedynie 20,8 proc. byłoby za. 61,7 proc. nie życzy sobie zakazu podróżowania niezaszczepionych pociągami, za byłoby 30,2 proc. 56,7 proc. nie chce ograniczać dostępu do parków rozrywki i placówek kultury, 36,6 proc. jest za.

Wynika z tego, że trochę ponad połowa mogłaby, owszem, zaakceptować jakąś formę restrykcji dla niezaszczepionych, ale właściwie nie wiadomo jakich. Z pewnością bardzo łagodnych, bo żadna z najczęściej pojawiających się możliwości nie wchodzi zdaniem większości w grę.

JAKĄ DROGĘ WYBIERZE WŁADZA?

Rządzący są w tych sprawach w potrzasku. Najmniej zaszczepionych jest w tych regionach Polski, gdzie PiS notuje największe poparcie. Relatywnie wielu sceptyków wobec szczepień jest wśród ich własnych zwolenników, a tę postawę trzeba z kolei odróżnić od sprzeciwu wobec samej selekcji sanitarnej, co nie równa się przecież sprzeciwowi wobec szczepień. W tej chwili jedynym politycznym reprezentantem tych grup jest Konfederacja, która może na tym zyskać – tym więcej, im brutalniejsza będzie sanitarystyczna presja.

Z obozu władzy dobiegają różne głosy. Wicepremier Gowin twierdzi, że jest przeciwnikiem obowiązku szczepień, z Kancelarii Prezydenta płyną podobne deklaracje, rzecznik rządu nie wyklucza żadnego wariantu, a posłowie tacy jak Anna Siarkowska czy Janusz Kowalski są w ogóle przeciw jakiemukolwiek zróżnicowaniu sytuacji zaszczepionych i niezaszczepionych. Gdyby Sejm przegłosował jakąś formę takiej selekcji, zagadką pozostałaby decyzja prezydenta co do złożenia swojego podpisu pod ustawą – choć akurat w tej sprawie bez trudu zebrałyby się w Sejmie dwie trzecie głosów potrzebnych do odrzucenia prezydenckiego weta. Pytanie, czy PiS zdecydowałby się tu na konfrontację z Andrzejem Dudą, a sam Andrzej Duda – na sprzeciw?

Partia rządząca jest zatem z jednej strony osaczona przez opozycję totalną, którą w postulatach sanitarystycznych trudno przebić, a z drugiej – przez Konfederację, która może zacząć przejmować wyborców.

Jest jednak jeszcze jeden element przekazu władzy, który idzie wbrew jej pieczołowicie budowanemu wizerunkowi. Ruch sanitarystów i segregacjonistów opiera się na bardzo złych emocjach, w dużej mierze typowych dotąd jedynie dla opozycji, w szczególności Platformy Obywatelskiej. To emocje wyższościowe, z jednej strony leczące kompleksy zwolenników tej opcji, z drugiej – dające miłe poczucie moralnej przewagi. PiS w 2015 r. dobrze wyczuł, że czułym punktem sporej części wyborców jest pogarda, którą odczuwali ze strony części elit. Na emancypacji tej pogardzanej grupy partia Kaczyńskiego zbudowała swoje powodzenie. Tyle że teraz, posługując się sanitarystycznym przekazem, zaczyna tej narracji zaprzeczać.

W tekstach w „Gazecie Wyborczej", w słowach covidowych celebrytów, takich jak doktorzy Gut, Szczeklik czy Grzesiowski, albo w wypowiedziach polityków oraz zwolenników opozycji – lecz dokładnie tak samo w wypowiedziach wielu prorządowych komentatorów, a i części polityków koalicji – pobrzmiewa identyczna pogarda dla „ciemnego luda", który odrzuca szczepienia lub segregację sanitarną. My, oświeceni – mówią jednym głosem publicyści „GW" i „Gazety Polskiej" – jesteśmy po tej lepszej, szczepiącej się stronie, oni, nieszczepiący się albo sprzeciwiający się ograniczeniom dla niezaszczepionych, są po stronie ciemnogrodu i głupoty. Platformie taka narracja z pewnością nie zaszkodzi – to dla jej zwolenników po prostu kolejna odmiana tej samej terapii leczenia kompleksów. Ale dla części zwolenników PiS może to być kropla przelewająca czarę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Z Małgorzatą Jankowską, psycholog, psychoterapeutą, nauczycielem, autorką listu otwartego do osób wykonujących zawody zaufania publicznego w sprawie COVID-19
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wymuszanie szczepień prowadzi do totalitaryzmu

RYSZARD GROMADZKI: Czy możemy pokusić się już o bilans polityki realizowanej przez rząd wobec COVID-19 dla zdrowia psychicznego Polaków?

MAŁGORZATA JANKOWSKA: Możemy oprzeć się na badaniach, które już są, np. na tych, na które powołuję się w moim liście otwartym, przeprowadzonych przez Wydział Psychologii UW. Wynika z nich, że ok. trzech czwartych osób dorosłych doświadcza dotkliwych dla swojego zdrowia psychicznego skutków polityki covidowej. W tym raporcie jest to szczegółowo opisane, ale ponad 70 proc. badanych dorosłych zadeklarowało zmaganie się z trudnościami psychicznymi związanymi ze stresem wynikłym z obecnej sytuacji. Warto też zapoznać się z raportem Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii „Etat w sieci", z którego dane dotyczące dzieci i młodzieży są porażające: średni wzrost czasu ekranowego wzrósł od lutego do maja 2020 r. ze średnio pięciu godzin dziennie do średnio dziewięciu godzin dziennie. W maju 51 proc. nastolatków zgłaszało problemy ze snem, w grudniu tego samego roku już 62 proc. zgłaszało ten problem. 40 proc. zgłaszało uzależnienie od nowych mediów, 70 proc. zwiększoną nerwowość i rozdrażnienie, a 75 proc. martwiło się o przyszłość. I to widać w gabinetach – pracuję z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, widać duże nasilenie lęków, stanów depresyjnych i zaburzeń odżywiania. Bardzo dużo jest uzależnień zarówno od przeróżnych środków psychoaktywnych, jak i tych behawioralnych; dzieci mają zaburzony rytm dobowy (o czym także mówi ten raport). Rodzice, którzy towarzyszą dzieciom, często także wymagają wsparcia psychologicznego.

Czy w okresie epidemii COVID-19 odnotowano w Polsce większą liczbę prób samobójczych?

Z wymienionego już raportu wynika, że 43 proc. badanych dzieci myśli o śmierci. W Polsce w roku szkolnym 2020/2021 próby samobójcze deklarowało 2,9 proc. nastolatków w wieku 15–17 lat. To średnio jedno dziecko na klasę. Uświadommy sobie skalę problemu! Jak powiedziała ordynator oddziału pediatrycznego jednego z warszawskich szpitali – zwiększyła się tam liczba przyjęć po próbach samobójczych dzieci i młodzieży z jednej próby na dwa tygodnie do jednej próby dziennie. To coś absolutnie alarmującego. Redaktor naczelny niemieckiej gazety „Bild" wystosował poruszające wystąpienie: „Przepraszamy dzieci". Wszyscy powinniśmy to zrobić.

Jakie skutki ma cały pakiet restrykcji zastosowanych w związku z COVID-19 dla naszych relacji społecznych, więzi rodzinnych, relacji w związkach?

Te skutki także są dramatyczne. To problemy, których doświadczają zarówno dorośli, jak i dzieci. Samo przebywanie wśród przerażonych i zamaskowanych wokół dorosłych, co przecież miało miejsce przez większą część roku, jest dla dziecka straszne w odbiorze i szkodliwe w skutkach. Lekarze mówią m.in. o tym, że zaburzony zostaje rozwój obszaru fuzji twarzy w mózgu. To bardzo ważny czas w rozwoju małego dziecka.

To czas, w którym dziecko uczy się czytać uczucia wyrażane na przykład przez mimikę. Jak ma czytać uczucia, kiedy rodzice przez większą część dnia są w maskach? Ten łańcuch uczuć w tym momencie się zrywa...

Tak. Zrywa się też kontakt. Nie zapominajmy o tym, że ważnym źródłem kontaktu i komunikacji jest komunikacja niewerbalna. I kiedy mamy do czynienia z rozdźwiękiem między przekazem niewerbalnym i werbalnym, opieramy się na przekazie niewerbalnym, on jest szalenie ważny. Być może także z tego względu, że trudniej jest go kontrolować, dlatego jest on bardziej wiarygodny. Tutaj jesteśmy tego pozbawieni, dzieci zostały pozbawione ważnego kanału komunikacji.

Czy można zaryzykować twierdzenie, że z punktu widzenia psychologii obowiązek maskowania twarzy wprowadzony podczas epidemii przez rządy doprowadził do okaleczenia relacji społecznych?

Oczywiście, to coś nieporównywalnego z niczym. Byliśmy całymi miesiącami oddzieleni od siebie – i fizycznie z powodu zakazu kontaktów, i niejako psychicznie z tego powodu, że po założeniu masek nasze kontakty upodobniły się do kontaktów między robotami. Dodajmy do tego liczne podziały ideologiczne, które w związku z COVID-19 i nie tylko wytworzono w społeczeństwie. Oddzielono nas od siebie emocjonalnie: zaczęliśmy się siebie nawzajem bać. Ludzie zaczęli postrzegać siebie jak wrogów i traktować jako zagrożenie. Bardzo utrudnione zostało wzajemne wspieranie się, co jest przecież podstawą łączących nas

eprasa.pl 6a7b48717c

więzi. A przecież bardzo ważną rzeczą dla naszego zdrowia i odporności jest nasza kondycja psychiczna – stres bardzo negatywnie wpływa na odporność.
Z kolei nic nie jest ważniejsze dla naszej psychiki niż dobry kontakt z drugim człowiekiem. Kontakt wspierający, rozumiejący, otrzymywanie troski, dawanie troski. Tego wszystkiego nas pozbawiono.

Jak wytłumaczyć łatwość, z jaką większość Polaków uległa psychozie strachu wywołanej w związku z COVID-19? Dlaczego tak wielu ludzi przyjmuje narrację opartą na wątpliwym kodzie liczb, którą nawet bardzo powierzchowna analiza stawia pod ogromnym znakiem zapytania?

Jestem porażona tym, w jakim stopniu ludzie poddali się tej narracji. Jestem wstrząśnięta tym, jak poddała się jej inteligencja, czyli wykształcona część społeczeństwa, która powinna być wyczulona na absurdy, na brak logiki.

... czy prymitywną propagandę...

Tak. Nie jestem statystykiem ani lekarzem, a liczby, o których pan wspomniał, już na samym początku, kiedy to wszystko zaczęło się dziać, były podawane bez kontekstu. Zaczęłam więc sama sprawdzać, co one właściwie oznaczają, docierając do ogólnie dostępnych danych, żeby zrozumieć, z czym naprawdę mamy do czynienia, co to znaczy, że zmarło X osób dziennie, miesięcznie – porównywać dane, a potem czytać wypowiedzi niezależnych lekarzy i naukowców. Każdy mógł i może to zrobić, to jest wiedza ogólnie dostępna. Ale tak się nie stało, nie na skalę masową. I jest to zjawisko absolutnie alarmujące, wskazujące, że coś niedobrego dzieje się z naszym społeczeństwem, że jego duża część nie myśli logicznie. Nie reaguje też na przemoc i cenzurę.

Tę bierność można przypisać uzależnieniu od mediów sączących przekaz o zabójczym koronawirusie 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu?

Myślę, że to jedna z podstawowych przyczyn. Przed nachalną propagandą, w której tak dużo jest manipulacji i oddziaływania na emocje, ludziom, którzy stale się z nią stykają, trudno się obronić. Dzięki Bogu mamy tę możliwość, że możemy te media po prostu wyłączyć. Możemy szukać wiarygodnych informacji w mediach niezależnych; czytać książki, w których wypowiadają się eksperci światowej sławy. To możemy zrobić.

Po założeniu masek nasze kontakty upodobniły się do kontaktów między robotami

Jeszcze... Tymczasem mamy do czynienia z procesem kreowania wroga publicznego na użytek kampanii szczepień. W tej roli obsadza się wszystkich, którzy kwestionują szczepienia przeciw COVID-19. Kilka dni temu minister zdrowia grzmiał, zwracając się do przeciwników szczepień, że „nie będzie tolerancji wobec zabobonu i agresji". Czy takie nawoływania ze strony funkcjonariusza państwa nie będą prowadzić do przemocy wobec ludzi, którzy korzystając ze swoich praw, nie będą chcieli się szczepić?

Do czego to może prowadzić, powinniśmy doskonale wiedzieć, ponieważ to wszystko już było. Ta historia już się wydarzyła. Już wskazywano na grupy, które stanowią zagrożenie dla innych ludzi; grupy, którym odbierano prawa. To nie jest nic nowego. Wstrząsające jest to, że ludzie tego nie widzą, nie pamiętają. Polecam wrócić do wystąpienia Mariana Turskiego. Tam to wszystko jest opisane.

A młodzieńczy potencjał buntu przeciw paraliżującym życie i relacje nakazom sanitarnym. Tego, nie licząc pojedynczych inicjatyw w rodzaju Warszawskiego Buntu, właściwie nie ma. Dlaczego?

Myślę, że może to wynikać z tego, że młodzi ludzie nie byli tak „blisko" straszliwego doświadczenia drugiej wojny światowej. Ja od dziecka stawiałam sobie pytania: Jak to możliwe, żeby doszło do tak potwornych zbrodni, jakich dokonano na Polakach, Żydach, Romach i innych? Jak to się stało, że ludzie na to pozwolili? To dotknęło pokolenia moich dziadków. Dla młodych to „historia". Jeśli nie mieli okazji zetknąć się z pielęgnowaniem nie martyrologii, ale pamięci o tej części naszej przeszłości, to mogą nie być wyczuleni na prawdziwy charakter tego, co się teraz wokół nas dzieje. Natomiast w wypadku ludzi dojrzałych czy starszych czymś niebywałym jest dla mnie, że to ich nie porusza, nie przywołuje wspomnień. Myślę, że wytworzono w nas poczucie pozornego bezpieczeństwa. Jak bardzo złudne było to poczucie, pokazuje czas, który przeżywamy.

Jaki wpływ na bezkrytycyzm i bierność dużej części społeczeństwa wobec polityki realizowanej w związku z COVID-19 ma postępujące wykorzenienie z wartości takich jak religia czy rodzina?

Myślę, że to bardzo ważny aspekt. Doświadczamy deficytu wartości związanych z człowieczeństwem. W ostatnich latach mamy do czynienia z tak dużym rozprężeniem obyczajowym, że właściwie wszystko wolno. Panuje powszechny relatywizm moralny. Wartości gdzieś nam uciekają. Wartościami posługujemy się marketingowo. Wielu ludzi na zewnątrz obnosi się zasadami, których nie stosuje w życiu prywatnym, i w niczym im to nie przeszkadza. To wszystko sprawia, że jesteśmy zagubieni i bardzo podatni na manipulację. A myślenie krytyczne konsekwentnie wykorzeniane w procesie wychowawczym jest w głębokim odwrocie.

Dokąd prowadzą strategia wymuszania szczepień i towarzyszące jej procesy agresywnej cenzury i kontroli społeczeństw?

Odpowiedź jest prosta. Prowadzi to wprost do totalitaryzmu. Jeżeli mamy w tej chwili jedną obowiązującą narrację, jeżeli ogranicza się wolność słowa i odbiera ludziom wolność decydowania o czymś najbardziej prywatnym, czyli o naszym ciele, i jest na to przyzwolenie społeczne, jest przyzwolenie na działanie przemocowe, to jest to prosta droga do całkowitego zniewolenia. Obserwujemy to już na świecie, a także w Polsce wiele rzeczy powinno nas bardzo niepokoić. A tak się nie dzieje.

Przyszłość, która nas czeka, znaczona będzie permanentnymi szczepieniami, kontrolą, izolatoriami dla niepokornych, a może jeszcze czymś gorszym? Wszystko w myśl zasady„ w trosce o wasze zdrowie niszczymy wasze życie"...

Oczywiście wszystko dla naszego dobra pod auspicjami nadopiekuńczego państwa, które będzie z buciorami wchodziło do naszych domów, w nasze prywatne życie... Mam głęboką nadzieję, że tak się jednak nie stanie, że ludzie na to nie pozwolą. Ale na pewno potrwa to tak długo, jak długo będzie na to przyzwolenie społeczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Małgorzata Jankowska
– psycholog, psychoterapeuta, nauczyciel.

eprasa.pl 6a7b48717c

Apologia biskupa Barrona

FOT. WORD ON FIRE

ks. Przemysław Artemiuk

Biskup Robert Barron broni chrześcijaństwa i demaskuje stare chwyty stosowane przez nowych ateistów

Biskup Robert Barron od lat zajmuje się działalnością apologetyczną. Hierarcha zyskał światową popularność dzięki serii filmów zatytułowanych „Katolicyzm". Jego aktywność naukowa, publicystyczna i medialna nosi wyraźne znamiona apologijne. Amerykański biskup w swoich tekstach wskazuje na pilną potrzebę obrony chrześcijaństwa. „Jestem […] przekonany – stwierdza – że zadaniem, przed jakim stoi przyszłe pokolenie katolickich intelektualistów, jest zaproponowanie przekonującej apologetyki dla podstawowej narracji wiary. Konieczne jest pokazanie kulturze żyjącej naukami ścisłymi, że jedynie transcendentalna i rozumiejąca przyczyna jest w stanie wyjaśnić to, co przypadkowe i dające się zrozumieć z naszego skończonego świata". Najważniejszym wątkiem obecnym w esejach bp. Barrona jest obrona chrześcijaństwa wobec nowego ateizmu. Sięgnijmy do kilku wybranych argumentów amerykańskiego hierarchy.

MIT WALKI RELIGII I NAUKI

Czy istnieje realny konflikt między nauką i religią, czy może zmagania te są jedynie pozorne? Zdaniem bp. Barrona, cała rzecz zasadza się na starym micie, który ponownie został przywołany przez nowych ateistów. Hierarcha, od lat badający to zagadnienie, zauważa, że zwolennikom konfliktu towarzyszy herezja, którą można określić mianem scjentyzmu. Jest to założenie filozoficzne głoszące, że „rzeczywistość jest redukowalna do tego, co sprawdzić lub opisać mogą nauki empiryczne". Głosiciele tego poglądu uważają, że „wszystko, co istnieje po tym, co empiryczne i mierzalne, jest po prostu fantazją, przesądem i prymitywnym wierzeniem". Trudno im przyjąć, że przecież może istnieć jeszcze inny wymiar rzeczywistości, który człowiek ma szanse poznać w nienaukowy, ale racjonalny sposób. Poza empirią, rozumianą scjentystycznie, nie rozciąga się próżnia. „To uprzedzenie – zauważa bp Barron – ta ślepota wobec literatury, filozofii, metafizyki, mistycyzmu i religii to właśnie ów scjentyzm, nad którym ubolewam".

Zwolenników scjentyzmu cechuje także przekonanie, że nauka i religia są w sposób nieunikniony nastawione na konflikt. Jest to założycielski mit nowożytności i oświecenia. Dlatego konflikt między religią i nauką „musi być wciąż powtarzany i ożywiany jako akt rytualnego odgrywania początkowej historii". Według amerykańskiego hierarchy ten mit jest nonsensowny. Wystarczy przecież przywołać wielkich badaczy nowoczesnej nauki, Kopernika, Newtona, Keplera, Pascala, by przekonać się, że byli to ludzi głęboko religijni. W kolejnych wiekach również spotykamy niezwykle pobożnych fizyków, by przywołać chociażby Faradaya, Maxwella czy Polkinghorne'a. Według tego ostatniego „rozwój nauk fizycznych stał się możliwy dzięki kręgom religijnym, z których się wyłoniły. To nie przypadek,

eprasa.pl 6a7b48717c

że nowoczesna nauka pojawiła się właśnie w chrześcijańskiej Europie, gdzie prym wiodła doktryna stworzenia". Wystarczy się jej dokładniej przyjrzeć, by zrozumieć, że „świat stworzony jednak nie jest boski z definicji. Jest czymś innym niż Bóg i w tej inności naukowcy mają wolność działania. Jednocześnie, gdyby wszechświat był niepoznawalny, żadna nauka nie mogłaby być zapoczątkowana, skoro wszystkie oparte są na założeniu, że naturę da się poznać, że ma formę. Świat przecież, właśnie dlatego, że stworzony jest przez boską inteligencję, jest całkowicie poznawalny i stąd naukowcy czerpią możność poszukiwania, badania i eksperymentowania". Zdaniem bp. Barrrona chrześcijanie muszą zwalczać ten niebezpieczny mit, który głosi nieuchronność starcia między nauką a religią. Przecież „wiara i rozum – podkreśla hierarcha – są wzajemnie uzupełniającymi się i zgodnie współistniejącymi drogami do poznania prawdy".

STARE ARGUMENTY PRZECIWKO RELIGII

Nowi ateiści odważnie podejmują krytykę religii. Wydaje się, że to oni inspirowali akcję propagandową, w której autobusy miejskie od Londynu do Genui poruszały się obklejone hasłami: „Bóg nie istnieje; to jest zła wiadomość. Nie potrzebujesz go: to jest dobra wiadomość". Była ona częścią zdecydowanie większej kampanii. W działaniach tych chodziło o obalenie idei Boga, wykpienie religii, a przede wszystkim chrześcijaństwa. Dawniejsi ateiści, Sartre czy Camus, nigdy nie zdecydowali się na takie kroki. Byli bowiem zbyt inteligentni. „Nawet zaprzeczając istnieniu [Boga], wiedzieli, że jest [On] tym, którego z definicji potrzebuje serce człowieka". Współcześni ateiści z kolei, o czym świadczą ich działania, „bawią się w ateizm, nie spoglądając w głąb". A przecież wystarczy otworzyć Biblię, by odnaleźć drogę prowadzoną przez ateizm. Najlepszym tego przykładem jest historia Hioba czy też Księga Koheleta. „Doświadczamy – wyjaśnia amerykański apologeta – dojmującego poczucia niekompletności, gdy nam się coś nie udaje, gdy cierpimy, gdy czegoś pragniemy, lecz jeszcze większego, gdy odnosimy sukces, radujemy się czy coś osiągamy. Dzieje się tak dlatego, że w czasach powodzenia uświadamiamy sobie dotkliwie [...] rozpaczliwą potrzebę Boga. I właśnie świadomość tej potrzeby wypycha nas poza ateizm".

Zdaniem bp. Barrona ludzkie „pragnienia dóbr i prawd wznoszących się ponad ten świat dowodzą, że jest w nas więcej niż tylko zwierzęca natura", jak sugerują ateiści. To „sam nasz niepokój [...] dowodzi istnienia jakiegoś przyciągającego i transcendentnego Dobra, które nazywamy Bogiem". Dlatego też ateistyczne slogany pojawiające się na autobusach europejskich miast zarówno obrażają wierzących, jak i świadczą o poziomie inicjatorów akcji, którzy stosują tanie metody agitacyjne.

NEGACJA ISTNIENIA BOGA

Zdaniem bp. Barrona negacja istnienia Boga należy do żelaznych tematów podejmowanych przez nowych ateistów. Jednak polemika z nimi posiada także wymiar pozytywny. Wyostrza bowiem zmysł apologetyczny amerykańskiego hierarchy. Szukając argumentów, które skutecznie odparłyby ateistyczną negację, biskup proponuje najpierw dostrzeżenie prostej analogii. „Choć nauki ścisłe mogą być w stanie wyjaśnić skład chemiczny farby drukarskiej i papieru, to nigdy nie zdołają wyjaśnić znaczenia książki; i choć mogą zrozumieć biologię ludzkiego ciała, nigdy nie odpowiedzą na pytania, dlaczego jakiś ludzki czyn jest moralny lub niemoralny; i choć mogą wyjaśnić strukturę komórkową oleju i płótna, nigdy nie orzekną, dlaczego obraz jest piękny". Zaproponowany przykład jednoznacznie wskazuje na istotną kwestię poznawczą. „Metoda naukowa nie może zbadać takich kwestii, które należą do zupełnie innej jakościowo kategorii bytu niż sam przedmiot badania naukowego. Twierdzenie, że nauka mogłaby kiedyś całkowicie wyjaśnić rzeczywistość, całkowicie mija się z dość jaskrawym faktem, że sens, prawda, piękno, moralność, celowość etc. są składnikami wszechświata".

Niestety, nowi ateiści całkowicie pomijają te dystynkcje i zaproponowany podział poznawczy, na który wskazuje bp Barron. Starają się przy tym wyeliminować z każdego poważnego dyskursu słowo „Bóg". Nie zauważają przy tym zupełnie, co znaczy termin ten w języku biblijnym i jak go rozumieli ludzie Biblii. Zdaniem ateistycznych krytyków „wraz z rozwojem nowoczesnych nauk fizycznych pozostaje coraz mniej miejsca na działanie Boga, i stąd coraz mniej konieczności odwoływania się do Niego jako przyczyny wyjaśniającej". Powtarzają oni w ten sposób twierdzenie Laplace'a, który wyrzucił Boga z mechanistycznego świata, stwierdzając, że ta hipoteza nie jest już człowiekowi oświecenia potrzebna. Należy jednak dostrzec lukę w tego rodzaju argumentacji. Bóg, „w rozumieniu klasycznej katolickiej tradycji intelektualnej, nie jest jedną, choć wielką, z wielu przyczyn; nie którąś z kolei przyczyną, ubiegającą się o pierwszeństwo pośród innych konkurencyjnych przyczyn".

Kim jest w takim razie Bóg? Amerykański hierarcha przywołuje myśl św. Tomasza z Akwinu. Ten wielki teolog scharakteryzował Boga jako ipsum esse. Oznacza to, że Bóg jest „samym w sobie aktem istnienia – mocą we wszechświecie i mocą, dzięki której istnieje cały wszechświat". Biorąc pod uwagę to Tomaszowe twierdzenie, należy podkreślić, że „żaden rozwój nauk fizycznych nie może nigdy wyeliminować Boga ani wykazać, że nie jest On dłużej potrzebny jako przyczyna wyjaśniająca, gdyż nauki ścisłe mogą jedynie badać przedmioty i zdarzenia w obrębie skończonego kosmosu".

Zdaniem bp. Barrona, związek pomiędzy Bogiem i wszechświatem najlepiej jest widoczny w argumencie warunkowości. Wszystko, co istnieje, łącznie z człowiekiem, jest uwarunkowane, zależne, potrzebuje innego bytu do istnienia. Jest jednak rzeczywistość całkowicie wolna, samodzielna i niezależna, na której wszystko się opiera. Jej naturą jest bycie. Teologia katolicka definiuje ją słowem „Bóg". Nie jest On, dodaje amerykański hierarcha, „zrzędliwą przyczyną we wszechświecie czy też istniejącą obok niego; jest natomiast przyczyną istnienia tego wszechświata, przyczyną, dlaczego w ogóle jest, jak mówi słynne powiedzenie, »coś zamiast niczego«".

Biskup Barron uważa, że argument z warunkowości jest nadzwyczaj skuteczny w potyczkach intelektualnych z nowymi ateistami. Pokazuje bowiem, że przyczyną istnienia wszechświata nie może być nic, co jest w nim samym, ani też on sam. „Musi nią być rzeczywistość, której esencją jest »bycie«, zatem której doskonałość jest bezgraniczna".

Eseje bp. Barrona, nasycone apologijną retoryką, stanowią interesujący przykład współczesnej obrony chrześcijaństwa. Amerykański hierarcha, rozpoznając obecny kontekst chrześcijaństwa, uprawia kompetentną i ciekawą apologię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem na Wydziale Teologicznym UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.

eprasa.pl 6a7b48717c

Z Timem Marshallem, brytyjskim dziennikarzem, autorem książki „W teatrze cieni. Historia ostatniej europejskiej wojny"
rozmawia Piotr Włoczyk

Południe wciąż niespokojne

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego, wznawiając swoją książkę, wraca pan do konfliktu sprzed 20 lat?

TIM MARSHALL: Niedawno obchodziliśmy 20. rocznicę zakończenia tej krwawej wojny. Taka okazja to dobry czas, by z namysłem spojrzeć na tamte wydarzenia i wzbogacić książkę o nowe spojrzenie na napięcia etniczne, które nie do końca przeszły do historii. Niestety, my, mieszkańcy Zachodu, zbyt często zapominamy o Bałkanach. Za każdym razem, kiedy to robimy, na południu naszego kontynentu dzieje się coś bardzo niedobrego. Dziś znów przestajemy zwracać uwagę na Bałkany i obawiam się, że może się to źle skończyć.

Jak napięta jest tam obecnie sytuacja? Raz na jakiś czas słychać o kolejnych tarciach, jak choćby próba wjazdu do Kosowa serbskiego pociągu z hasłem „Kosowo to Serbia".

Kiedy patrzymy na zachodnią Europę, to żaden szanujący się analityk nie powie, że w ciągu dekady wybuchnie u nas wojna. Niestety tego samego nie sposób powiedzieć o Bałkanach, o czym świadczy choćby przywołany przez pana incydent.

Serbia cały czas ma napięte stosunki z Kosowem, ale to nie koniec problemów w tamtym regionie. Serbia ma też spory graniczne z innymi krajami, np. z należącą do UE Chorwacją. Jeżeli społeczność międzynarodowa opuściłaby dziś Bośnię, to bylibyśmy na prostej drodze do otwartego konfliktu. Nawet mimo obecności sił międzynarodowych temperatura sporu jest tam bardzo wysoka. Nie zapominajmy przy tym, że w Republice Serbskiej w Bośni [jedna z dwóch części składowych federacji – przyp. red.] Rosjanie zbudowali bardzo mocny przyczółek, dostarczają broni policji serbskiej i na całego mieszają w tamtym kotle. Z kolei Kosowo to tak naprawdę czarna dziura na kontynencie europejskim, w której gangi narkotykowe mają olbrzymią władzę. Jeżeli dodamy to wszystko do siebie, to otrzymamy bardzo niepokojący obraz. Ten region Europy nie idzie w kierunku, w którym podąża niemal cała reszta państw europejskich – powiększania strefy stabilności. I dlatego nie można spuszczać z oczu Bałkanów. Tymczasem UE jest skupiona głównie na sobie i nie za bardzo ją interesuje sytuacja na południu. To wielki błąd.

Wejście Serbii do Unii Europejskiej może bardzo wiele zmienić. Tylko pytanie, na ile to dziś realny scenariusz.

Przyznam, że 20 lat temu byłem bardzo naiwny, gdy mówiłem mojemu serbskiemu przyjacielowi, że jego kraj dołączy do wspólnoty w ciągu 10 lat. Ale to było jeszcze przed zabójstwem premiera Zorana Đinđicia, prawdziwego demokraty, który przekazał Slobodana Miloševicia w ręce Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii i zapłacił za to własnym życiem. Dziś wciąż mogę powiedzieć, że członkostwo w unii to dla Serbii perspektywa 10 lat. Niestety coraz większe wpływy zyskują w tym kraju Rosjanie i Chińczycy, co nie ułatwia procesu integracji z Zachodem.

Nie pomaga też stosunek Serbów do Kosowa. Chociaż od połowy XX w. Albańczycy stanowią większość mieszkańców Kosowa (dziś Serbów żyje tam mniej niż 10 proc.), to Serbowie wciąż widzą w tym niewielkim terytorium kolebkę swojego narodu. Jak najlepiej wytłumaczyć znaczenie Kosowa dla Serbów?

To dla nich święta ziemia, trzon ich dziedzictwa historycznego. Serbska tożsamość krąży wokół Kosowa. Tysiąc lat temu zasiedlili te ziemie i zbudowali tam swoje najważniejsze świątynie. Kosowo wryte zostało w ten sposób w serbską psychikę. W czasach komunistycznej Jugosławii Serbowie absolutnie zdominowali albańską większość w Kosowie i wydawało im się, że taki stan będzie trwał w nieskończoność. Odcięcie się Kosowa od Serbii było dla nich szokującym wydarzeniem. I dlatego stwierdzili, że trzeba za wszelką cenę walczyć o te ziemie. Nawet gdyby oznaczało to konflikt z NATO…

Serbowie zrobili coś, co nawet w realiach drugiej wojny światowej zdarzało się bardzo rzadko

eprasa.pl 6a7b48717c

Niedziela 1 listopada 1998 r. Żołnierze Armii Wyzwolenia Kosowa (KLA) zajmują punkt kontrolny wzdłuż drogi w centrum Kosowa FOT. DAVID BRAUCHLI/GETTY IMAGES

– wyrzucili z Kosowa prawie wszystkich albańskich mieszkańców.

Rząd Miloševicia postanowił rozwiązać problem za pomocą młota. To była spektakularna akcja. W momencie, gdy zobaczyłem zdjęcia tysięcy Albańczyków z Kosowa wyrzucanych przez Serbów, wiedziałem już, że Serbia musi przegrać tę wojnę. To był olbrzymi błąd, PR-owska katastrofa dla Serbów. Chcieli błyskawicznie przejąć ten teren na własność i nie dali wyboru Zachodowi.

20 lat później wciąż nie widać na horyzoncie końca serbsko-kosowskiego sporu...

Słychać wprawdzie o planie wymiany najbardziej spornych ziem między Serbią a Kosowem, ale mam olbrzymie wątpliwości, czy to przyniesie koniec sporu. Lubimy zakładać, że każdy problem ma swoje rozwiązanie, ale wydaje mi się, że w sprawie Serbii i Kosowa takiego dobrego rozwiązania po prostu nie ma. Nie sposób bowiem wymienić wszystkich ziem, ponieważ i tak pozostaną jeszcze enklawy. Ten konflikt, choć przygaszony, wciąż ma niebezpieczny potencjał.

Serbowie i Rosjanie przedstawiają Kosowo jako kraj mafijny. Czy taki obraz jest daleki od prawdy?

Kosowo to demokracja jedynie pod tym względem, że tamtejsza ludność może głosować. To kraj przeżarty przez korupcję, w którym handel narkotykami to potężna branża. „Czarna dziura" to chyba najlepsze określenie Kosowa.

Jak Serbowie patrzą dziś na NATO, 20 lat po zabójczych nalotach?

Zachód chyba nie docenił szoku, w jaki Serbowie wpadli po tamtych nalotach. Serbowie od czasów drugiej wojny światowej byli święcie przekonani, że Zachód jest po ich stronie. Poczuli się zdradzeni i zwrócili się bardziej w stronę Rosji. Młodzi Serbowie chcą być częścią UE i mają szansę zepchnąć na trwałe ultranacjonalistyczną ekstremę do narożnika, ale nie powinniśmy się czarować: skrajna prawica, dla której Milošević to bohater, a NATO to bandyci, jest wciąż znaczącą siłą.

Na ile mogą sobie tam pozwolić Rosjanie?

To dla nich wielka szansa na wypchnięcie Zachodu, choć powiedzmy sobie szczerze, że Rosjanie nie potrzebują Bałkanów pod kątem strategicznym. Historia pokazała nam aż nazbyt dobrze, że wszędzie tam, gdzie Zachód przestaje być uważny, momentalnie wchodzą Rosjanie i się rozpychają. Trzeba przyznać, że Moskwa jest w tym świetna, czy to na Bliskim Wschodzie, czy w Afryce, czy wreszcie na Bałkanach. Dziś Rosjanie przede wszystkim mają na oku Republikę Serbską w Bośni. I my, Zachód, dajemy im tam wolną rękę. Rosyjskie władze mają prostą zasadę: zawsze przyda się odrobina niestabilności na kontynencie. Wygląda na to, że Europa zapomniała już, że w 2016 r. Rosjanie chcieli dokonać w sąsiedniej Czarnogórze zamachu stanu. Im więcej niestabilności w Europie, tym lepiej dla Rosji. Niestety dotyczy to również Zachodu. Dlaczego rosyjska agencja informacyjna Sputnik otworzyła właśnie swój odział w Edynburgu? Moskwa dałaby bardzo wiele, żeby Szkocja odłączyła się od nas. Z drugiej strony Rosjanie zrobią wszystko, by Bośnia i Serbia nie dołączyły do UE. Im słabsza unia, tym dla nich lepiej. Im więcej słabych państw europejskich, które można łatwo rozgrywać, tym lepiej dla Moskwy.

Co przede wszystkim wryło się panu w pamięć w czasie tamtego konfliktu?

Dwa obrazy. Pierwszy to Belgrad. Siedziałem w moim pokoju hotelowym na siódmym piętrze, w ręku miałem lampkę z winem i przez wielkie okna miałem doskonały widok na miasto. Widziałem, jak ogień obrony przeciwlotniczej podąża za samolotami NATO, które zrzucały bomby. To nie był pierwszy raz, kiedy na żywo widziałem wojnę, bo wcześniej byłem m.in. w Sarajewie. Jednak taki widok w stolicy europejskiego państwa... To było surrealistyczne. Przecież moje pokolenie uważało, że wojna w Europie nie ma prawa się powtórzyć!

Drugi niezapomniany moment to dzień, gdy NATO pojawiło się w Kosowie. Tego dnia widziałem, jak w jednej z serbskich wiosek w Kosowie dziesiątki kobiet stały przy drodze i rzucały kwiaty na pancerze wycofujących się serbskich czołgów. To był koniec tysiąca lat serbskiej obecności w Kosowie. Te kobiety doskonale wiedziały, co przyjdzie za moment – zemsta. Tym razem to kosowscy Albańczycy przeprowadzili czystkę etniczną, choć na mniejszą skalę, a wiele serbskich kobiet zostało wówczas zgwałconych.

To niemal kompletnie zapomniany rozdział tej wojny.

Zachód praktycznie w ogóle tego nie potępił, a media w znacznej mierze zignorowały tragedię serbskiej ludności cywilnej w Kosowie. Tego wszystkiego nie można było sprowadzić do hasła: „To tamci zaczęli. To tamci byli gorsi". To oczywiście prawda, ale ci cywile nie zasługiwali na taki los. Serbskie ofiary nie pasowały do obrazu Serbii, który dominował wówczas w mediach. To wciąż aktualna lekcja dla dziennikarzy – nie można za bardzo przywiązywać się do jednej wizji świata, bo rzeczywistość potrafi się zmienić z dnia na dzień i musimy być na to gotowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Operacja „Trust”

Wreszcie! Wreszcie do rąk masowego polskiego czytelnika trafiła nowoczesna monografia dotycząca „Trustu”. Największej bolszewickiej akcji dezinformacyjnej, która uznawana jest za „matkę wszystkich tajnych operacji”. I od 100 lat powtarzana jest w rozmaitych wariantach przez służby sowieckie, a obecnie rosyjskie.

Marek Świerczek przedstawia tę koronkową i zapierającą dech w piersiach swoim rozmachem operację w sposób niezwykle kompetentny. Z wykorzystaniem archiwów i najnowszej światowej literatury przedmiotu. Ale również ze znajomością „kuchni” działania służb specjalnych. Ta książka to nie tylko odtworzenie faktów, to również brawurowa analiza.

Pomysł „Trustu” był genialny w swojej prostocie. Otóż sowieckie służby przekonały służby państw zachodnich, że na terenie Rosji bolszewickiej działa potężna, podziemna organizacja antysowiecka MOCR. W rzeczywistości była to kreacja GPU. Miraż. MOCR był tworem oficerów sowieckiej tajnej policji.

Państwa zachodnie dały się jednak złapać na ten lep. Piękna wizja pozyskiwania tajnych informacji z samego serca Sowietów uśpiła ich czujność i wyłączyła instynkt samozachowawczy. W efekcie przez całe lata Sowieci infiltrowali, penetrowali i inspirowali służby Zachodu. Wyciągali od nich niemałe pieniądze i informacje.

Niestety, największą ofiarą operacji „Trust” padł polski wywiad. Daliśmy się rozegrać Sowietom jak dzieci. Czy była to tylko naiwność czy też skutek działania wysoko postawionych czerwonych kretów? Wnioski Marka Świerczka mogą dla wielu czytelników być mocno szokujące. Ocena polskiego wywiadu przedstawiona przez autora jest druzgocząca.

„Oddział II – pisze autor – niedysponujący odpowiednim kapitałem ludzkim, organizacyjnym i logistycznym oraz doświadczeniem w szpiegowskim rzemiośle, stał od początku na straconej pozycji, gdyż stykał się ze zjawiskiem absolutnie nowym i realizowanym przez ogromną machinę sowieckich służb”.

Operacja „Trust” była tą tytułową „Największą klęską polskiego wywiadu”. Słoną cenę za tę klęskę II RP zapłaciła 17 września 1939 r. ©℗

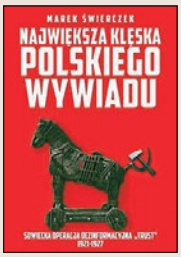

★★★★★★

MAREK ŚWIERCZEK
„NAJWIĘKSZA KLĘSKA POLSKIEGO WYWIADU”
FRONDA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Oblężenie Malborka

To, co wydarzyło się bezpośrednio po bitwie pod Grunwaldem, do dzisiaj wzbudza namiętne spory wśród historyków. Nagle jakby coś się zacięło w sprawnie działającej polsko-litewskiej machinie militarnej. Wprawdzie armia nie obozowała zbyt długo na polu bitwy, ale bardzo wolno wędrowała pod Malbork. Niecałe sto kilometrów przebyto w dziewięć dni, podczas gdy wcześniej zbliżoną odległość pokonywano w czasie trzykrotnie krótszym. Najwyraźniej Jagiełło nie był zainteresowany zdobyciem krzyżackiej stolicy i ostatecznym zniszczeniem zakonu krzyżackiego.

W tym czasie w Malborku panowała panika podsycana relacjami uciekinierów z pola bitwy. Jednak gdy przybył komtur Świecia, Henryk von Plauen, to rozpoczęto przygotowania do obrony. Krzyżacki dostojnik nie był jednak dobrej myśli, gdyż pod Grunwaldem stracono armię i zginęli niemal wszyscy zakonni przywódcy. Dlatego chciał za wszelką cenę uniknąć oblężenia, które zakończyć się musiało zdobyciem zamku przez Polaków i Litwinów. Z tego powodu, gdy Jagiełło wreszcie nadciągnął (25 lipca 1410 r.), zaproponował oddanie Polsce Pomorza w zamian za pokój.

Rada królewska odrzuciła jednak ofertę krzyżacką, żądając bezwarunkowej kapitulacji, i von Plauen, nie mając wyboru, bronił Malborka. Nie miał z tym większych problemów, oblężenie prowadzono bowiem wyjątkowo nieudolnie, a Jagiełło sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zależało mu na zdobyciu zamku.

Na pewno nie chciał tego Witold, którego zadowalało złamanie siły ofensywnej zakonu. Po kilku tygodniach leniwie prowadzonego oblężenia postanowił wrócić na Litwę, a Jagiełło nie oponował. Wkrótce potem król nakazał powrót do kraju i rozpuścił armię. Henryk von Plauen twierdził później, że gdyby Jagiełło przedłużył oblężenie o dwa tygodnie, to Malbork skapitulowałby z braku żywności.

Zapomina się jednak o dodatkowych elementach tej układanki. Polsce cały czas groził najazd ze strony sojusznika zakonu, króla Czech i Węgier, Zygmunta Luksemburczyka, który nigdy nie zgodziłby się na całkowite zniszczenie Krzyżaków. Na osłabienie jak najbardziej, ale likwidacja zakonu całkowicie zmieniłaby sytuację polityczną w tej części Europy. Jagiełło zdawał sobie z tego sprawę i nie zamierzał rzucać polskiego rycerstwa w kolejną ciężką wojnę. Ponadto warto pamiętać, że pod Grunwaldem nie walczyła inflancka linia zakonu, która była zajęta tłumieniem powstania na Żmudzi. Rozejm z nimi właśnie wygasał, o czym dobrze wiedział Witold. Jagiełło zresztą też. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. JULIAN FINNEY/GETTY IMAGES

MASECZKI NA PODIUM MOŻNA ZDJĄĆ

Japończycy na igrzyskach zaaplikowali wszystkim – sportowcom, lecz także dziennikarzom czy działaczom – całą grubą księgę obostrzeń, z którą trzeba się zapoznać. Obostrzenia okazują się jednak płynne. Po tygodniu olimpiady uznano bowiem, że jednak dobrze by było pokazać, kto odbiera medal i jaką ma minę. Dlatego zdecydowano, że zwycięzcy na podium będą mogli zdjąć maseczki. Ale dopiero po odegraniu hymnu. Podczas hymnu maseczki muszą być.

SEKSUALNA EDUKACJA SZEŚCIOLATKÓW

Socjalistyczny rząd hiszpańskiej Walencji przyjął „Strategię przeciwko przemocy seksualnej". Walka przeciw tej przemocy objawiać ma się tym, że w szkołach regionu zostanie wprowadzona obowiązkowa edukacja „afektywno-seksualna". Podlegać będą jej uczniowie od szóstego roku życia. Zajęcia będą szkolne i pozaszkolne. Regionalne ministerstwo ds. edukacji już pracuje nad materiałami do nauczania, które mają „zdekonstruować i atakować przemoc seksualną".

DOWODY NEUTRALNE PŁCIOWO

W Argentynie nowocześnie. Prezydent Alberto Fernández podpisał nowe prawo, które umożliwi wydawanie dokumentów osobistych „neutralnych płciowo". Ustawa o tożsamości płciowej pozwala bowiem Argentyńczykom, by identyfikowali się oficjalnie jako ci, którzy nie posiadają płci – ani żeńskiej, ani męskiej. W dokumentach „neutralnych płciowo" w miejscu płci będzie można umieszczać symbol „X".

UKARANE ZA BRAK BIKINI

Kiedyś noszenie bikini na plaży uznawano za nieobyczajne. Teraz karalny okazuje się brak bikini. Norweskie zawodniczki plażowej piłki ręcznej podczas mistrzostw Europy w Bułgarii wystąpiły w spodenkach. Każda z nich została ukarana przez Europejską Federację Piłki Ręcznej karą w wysokości 150 euro. Ponieważ przepisy Międzynarodowej Federacji Piłki Ręcznej zobowiązują zawodniczki do noszenia majtek od stroju bikini.

UKRADLI KABEL MINISTERSTWA

W centrum Moskwy złodzieje ukradli kabel. Wycięli akurat 475 m przewodu, który łączy jednostki wojskowe z tamtejszym ministerstwem obrony. Brak przewodu odkryto, gdy pracownik techniczny jednej z jednostek wojskowych zaraportował o problemach z łącznością. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Życie na podsłuchu

Sezon ogórkowy niby nie jest w tym roku dokuczliwy, bo tematów sporo, ale i tak media pasjonują się tym, że służby specjalne podsłuchują ludzi i czytają cudzą korespondencję.

Okazuje się, że tylko za pomocą izraelskiego Pegasusa służby ok. 50 państw podsłuchiwały kilkadziesiąt tysięcy numerów, w tym prezydenta Francji Emmanuela Macrona (który natychmiast zmienił smartfona i numer telefonu). Media żyją też e-mailami polskiego rządu.

Prawdę powiedziawszy, nieco to dziwne. Po rewelacjach Snowdena i ujawnieniu kilka lat temu, że Angela Merkel długo żyła na podsłuchu sojuszników Amerykanów, prawdziwym newsem byłaby informacja, że służby przestały podsłuchiwać, wykradać sekrety, szantażować, szpiegować, porywać, werbować etc. To zapewne byłby piękny świat, ale po ukończeniu szkoły podstawowej w jego istnienie już trochę wstyd jest wierzyć.

Znana widzom „Seksmisji" permanentna inwigilacja nie od dziś jest już faktem. Nasze rozmowy, e-maile, SMS-y bez trudu mogą przechwycić nie tylko podstępni agenci obcych wywiadów, lecz także operatorzy poczty elektronicznej (są tacy, którzy wprost informują o tym w swych regulaminach). Inwigilacji służyć mogą też rozbudowane systemy monitoringu miejskiego, kamery skanujące tablice przy drogach i nasze prywatne kamerki w smartfonach i laptopach (szef FBI już lata temu apelował, aby je zaklejać, bo podglądactwo stało się naprawdę łatwe). Szpiegowanie smartfonów jest już dostępne nie tylko dla najsprawniejszych służb, ale i dla lichych i niezbyt bogatych rządów.

Podsłuchy zdemokratyzowały się już tak bardzo, że szanującemu się politykowi czy dziennikarzowi może być wstyd, że nie ma go na liście celów. Ja pocieszam się tylko, że jak nie ci, to może inni... ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

Duhamel ma 70 lat, jest specjalistą w dziedzinie prawa konstytucyjnego i politologiem. Przed dymisją pełnił funkcję szefa organu nadzorującego prestiżowy Instytut Nauk Politycznych w Paryżu. Znany jest również z uczestnictwa w radiowych i telewizyjnych programach publicystycznych, w których dał się poznać m.in. z ostrzegania Francuzów – z pozycji lewicowego moralizatora – przed Frontem Narodowym (dziś Zjednoczenie Narodowe, RN). Był także przewodniczącym wpływowego klubu Le Siècle, który jest rodzajem francuskiej Grupy Bilderberg, organizującym comiesięczne spotkania francuskiego salonu.

W świetle prawa karnego nic Duhamelowi nie grozi, gdyż jego pedofilskie zbrodnie uległy przedawnieniu. Jednak wybuch skandalu, spowodowanego publikacją książki napisanej przez siostrę bliźniaczkę byłej ofiary Duhamela, odsłonił sieć powiązań chroniących wpływowych pedofilów – przeważnie lewicowych – na szczytach władzy Republiki Francuskiej.

WSZYSCY WIEDZIELI

Zarzuty zostały sformułowane w książce „La familia grande" autorstwa Camille Kouchner, biologicznej córki Bernarda Kouchnera, który był współzałożycielem Lekarzy bez Granic, a później ministrem z ramienia Partii Socjalistycznej i działaczem organizacji pozarządowych. Camille Kouchner napisała, że Duhamel znęcał się nad jej bratem bliźniakiem Antoine, który dziś ma 45 lat. Okazuje się, że wiele osób o tym wiedziało, łącznie z matką i ojcem bliźniaków. Według Camille Kouchner jej matka – Évelyne Pisier, lewicowa działaczka i była kochanka kubańskiego dyktatora Fidela Castro (zmarła w 2017 r.) – nie była zadowolona, kiedy Camille opowiedziała jej historię o wykorzystywaniu seksualnym brata przez Duhamela – jej drugiego męża. Miała powiedzieć córce, że nie ma potrzeby robić o to tyle hałasu, skoro nie doszło do żadnego gwałtu, a chodziło „tylko" o seks oralny. Ojciec ofiary lewicowego pedofila, Bernard Kouchner, też o wszystkim wiedział. – Trudna tajemnica, która ciążyła na nas zbyt długo, została na szczęście ujawniona – powiedział gazecie „Le Monde" po wybuchu skandalu.

To w jego domu na południu Francji działy się opisane w książce sceny. „W Sanary śmiejemy się, opalamy, dyskutujemy, malujemy świat na różowo. Wesołość i in-

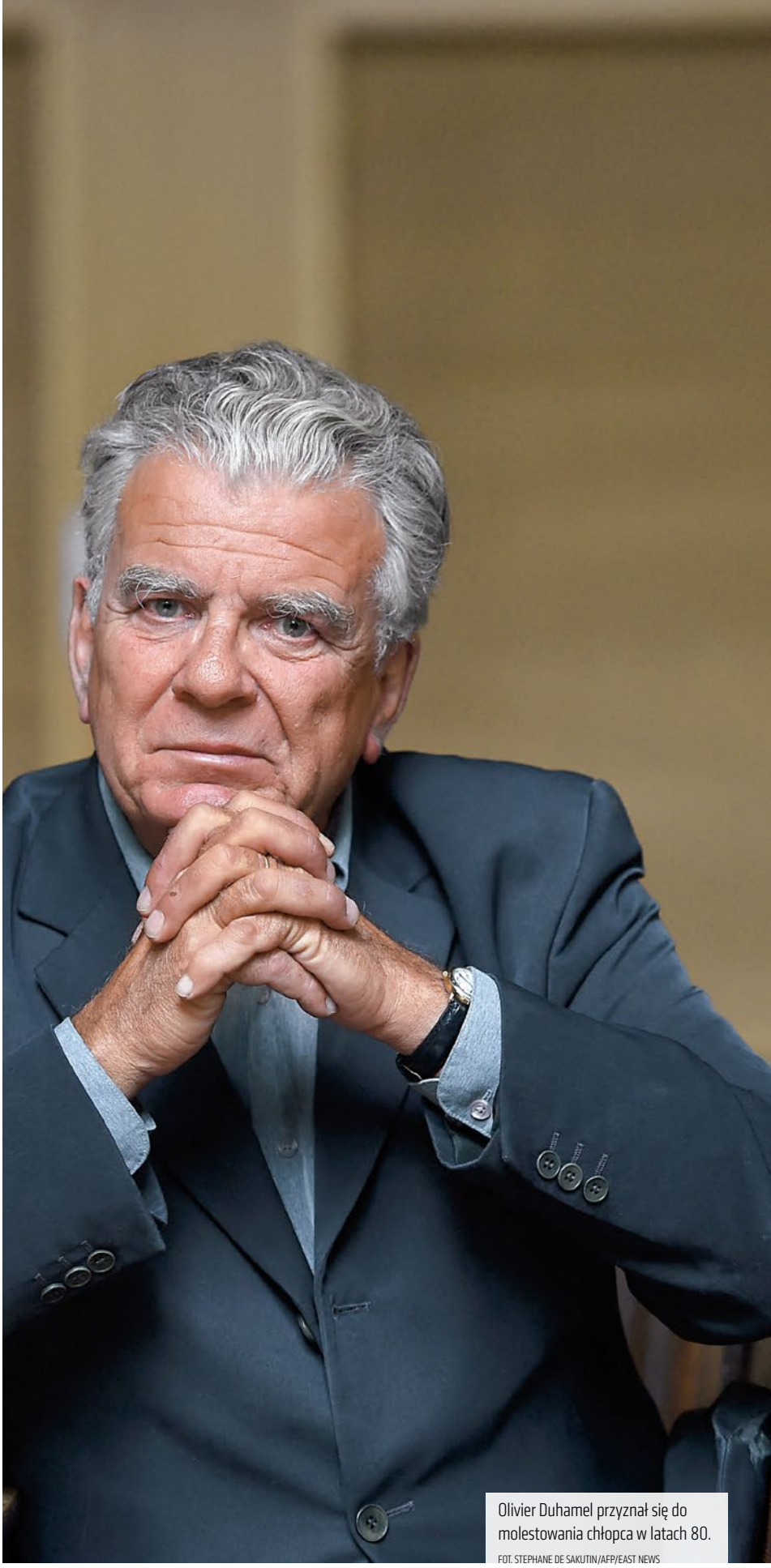

Olivier Duhamel przyznał się do molestowania chłopca w latach 80.

FOT. STEPHANE DE SAKUTIN/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7b48717c

Programowa pedofilia francuskiej lewicy

Olivier Bault

Agnieszka Golańska-Bault

Olivier Duhamel przyznał się do czynów lubieżnych dokonywanych na 13-letnim synu swojej żony w latach 80. To kolejny przedstawiciel francuskiej lewicowej inteligencji, który musi mierzyć się z oskarżeniami o przestępstwa związane z pedofilią

teligencja. Dzieci żyją jak dorośli i zwracają się do rodziców po imieniu" – można przeczytać w książce „La familia grande". Nagość i alkohol są na porządku dziennym, podobnie jak bardziej nielegalne substancje. Przyciąga to wielu intelektualistów i osobistości polityczne. Bywają tam m.in. przyszły minister edukacji Luc Ferry i przyszła minister sprawiedliwości Élisabeth Guigou, która w momencie publikacji demaskatorskiej książki kierowała misją represjonowania kazirodztwa (na którą przeznaczono roczny budżet w wysokości 4 mln euro). Mimo początkowego oporu w obliczu skandalu musiała w końcu podać się do dymisji.

Aby złagodzić szok wywołany faktami ujawnionymi przez Camille Kouchner, francuska prasa powtarza jak mantrę formułę, że afery pedofilskie dotyczą każdego środowiska, i z upodobaniem rozpisuje się o ustaleniach trwających jeszcze prac niezależnej komisji, której francuski episkopat powierzył śledztwo na temat przestępstw seksualnych dokonanych przez osoby duchowne na nieletnich od roku 1950 do dziś. Tyle tylko że w wypadku Kościoła można mówić, iż pedofilia stała się problemem instytucjonalnym dlatego, że próbowano zatajać i zamiatać pod dywan zachowania uznawane za karygodne, wstydliwe i gorszące. Natomiast w środowiskach francuskiej lewicy pokolenia '68 pedofilia była wpisana w program walki z tradycyjnym, burżuazyjnym społeczeństwem i jego wartościami. Była, a dla niektórych może i nadal jest, narzędziem budowy nowego świata bez jakichkolwiek ograniczeń. Przez wiele lat ideologiczni obrońcy pedofilii mogli również liczyć na wsparcie i promocję w lewicowych gazetach „Le Monde", „Libération" czy „Le Nouvel Observateur" oraz w innych mediach, które dziś najchętniej i najgłośniej mówią o przestępstwach seksualnych w Kościele katolickim.

OBRONA „TRZECH SATYRÓW"

Jednym z ulubionych ideologów pedofilskiej lewicy stał się na początku lat 70. Guy Hocquenghem. Zdeklarowany maoista, od 15. roku życia pozostający w homoseksualnym związku ze swoim nauczycielem filozofii, działacz m.in. Homoseksualnego Frontu Akcji Rewolucyjnej. Zaangażował się w walkę na rzecz prawa utrzymywania relacji seksualnych z nieletnimi i utworzył organizację Front Wyzwolenia Młodzieży, której celem było obalenie prawnych ograniczeń, uniemożliwiających seksualne relacje między dziećmi a dorosłymi.

Ten pupil francuskich salonów, okrzyknięty zdolnym pisarzem, felietonista i dziennikarz „Libération", od 1975 r. aż do swojej śmierci w 1988 r. (spowodowanej AIDS) stał za niemal wszystkimi inicjatywami i petycjami w obronie pedofilów, które podpisywali wielcy intelektualiści i artyści tamtych czasów, tacy jak Jean-Paul Sartre, Louis Aragon, Roland Barthes, Simone de Beauvoir czy wspomniany powyżej Bernard Kouchner.

Gdy w 1977 r. przed sądem w Wersalu stanęli trzej mężczyźni oskarżeni o seksualne wykorzystywanie nieletnich na kempingu naturystów w Meudon, do akcji wkroczyła inna ważna figura ruchu na rzecz legalizacji pedofilii – niejaki Gabriel Matzneff, przyjaciel Hocquenghema, pisarz, otwarcie przyznający się do swoich pedofilskich skłonności i opisujący je w swoich książkach. Rzecz jasna wziął w obronę oskarżonych, utrzymując, że tam, gdzie nie ma przemocy, lecz tylko obopólne przyzwolenie stron, nie można mówić o winie. Bo czyż „miłość jest zbrodnią?" – pytał w swoim artykule opublikowanym na łamach „Le Monde". Sam Matzneff, kojarzony zresztą z prawicą, ale utrzymujący nadzwyczaj przyjazne stosunki z najważniejszymi protagonistami po lewej stronie sceny politycznej, został potem oskarżony o pedofilię przez jedną ze swoich ofiar w 2019 r.

DZIENNIKARZE DAJĄ ŁAMY

Petycja w obronie „trzech satyrów" (skazanych ostatecznie na pięć lat więzienia) jest tylko jedną z wielu, którym miejsca udzielił na swoich łamach „Le Monde". W tym samym 1977 r. opublikował bowiem „Apel o zmianę prawa karnego w zakresie relacji między dorosłymi a dziećmi", który jest niczym innym jak wnioskiem o częściową depenalizację pedofilii, aby „zaktualizować teksty prawne, które nie uwzględniają szybkiej ewolucji obyczajów". Podpisało go 80 francuskich intelektualistów!

eprasa.pl 6a7b48717c

W roku 1979 dziennik „Libération" zaangażował się w obronę kolejnego pedofila – Gérarda Roussela. Wśród sygnatariuszy apelu widnieli m.in. słynny piosenkarz Georges Moustaki oraz prezes organizacji proaborcyjnej Planning Familial – Simone Iff. W tym samym czasie, w połowie lat 70., „Libération" zatrudnił w swojej redakcji pedofila Christiana Henniona, działacza Homoseksualnego Frontu Akcji Rewolucyjnej. Miał on zwyczaj przychodzić do pracy ze swoim 10-letnim niewolnikiem seksualnym, Franckiem Demules'em (który swój koszmar opisał po latach w książce „Un petit tour en enfer" – „Przechadzka po piekle"). Dziś dawni pracownicy dziennika mówią, że jego opowieści o pedofilskim pożyciu z „małym Franckiem" nie wzbudzały w nich oburzenia, a nawet wydawały się zabawne. Taki był bowiem „duch czasów". „Wszyscy o tym wiedzieliśmy mniej lub więcej, ale nic z tym nie zrobiliśmy" – powiedziała dawna koleżanka Henniona. We Francji nie spotkała go z tego tytułu żadna nieprzyjemność. Za swoje pedofilskie wyczyny w latach 90. trafił do khmerskiego więzienia w Kambodży.

Czyż może nas jednak choć trochę dziwić zmowa milczenia całej redakcji, gdy sięgniemy do archiwalnych numerów „Libération" i przejrzymy drobne ogłoszenia drukowane w dzienniku w końcu lat 70.? Czytamy tam na przykład: „Młody mężczyzna. 39 lat. Bardzo sympatyczny. Szuka chłopców 15–18 lat na weekend w Europie. Brak kosztów" czy „[…] uwolnij się seksualnie z 27-letnim biseksualnym mężczyzną. Seksualność u 10–12-latków. Napisz mi, jak ją przeżywasz".

Mówiąc o prominentnych pedofilach na lewicy, nie sposób nie wspomnieć o Tonym Duvercie, pisarzu kultowym wśród lewicowych środowisk, który oddawał się swoim pedofilskim praktykom w Maroku, gdzie mieszkał. Jak sam twierdził, miał seksualne relacje z „dobrym tysiącem chłopców w wieku od sześciu lat". O orgiach w jego domu wiedzieli wszyscy jego znajomi. Nigdy nie poniósł żadnej kary.

Zmowa milczenia francuskich elit zadziałała również w wypadku Pierre'a Bergé (zmarłego w 2017 r.), który jako właściciel gejowskiego czasopisma „Têtu", a później prestiżowego dziennika „Le Monde" walczył o prawne uznanie tzw. homomałżeństw z możliwością adopcji dzieci oraz o legalizację usług surogatek świadczonych na rzecz homoseksualistów. W książce opublikowanej w 2017 r. Fabrice Thomas oskarżył Bergé i jego życiowego partnera, a swojego byłego kochanka Yves'a Saint-Laurenta o organizowanie orgii z udziałem nieletnich chłopców w jego willi w Marrakeszu w latach 1984–1992.

Pedofil i gwałciciel Luc Tangorre w wyniku mobilizacji lewicy został nawet uniewinniony przez prezydenta Mitteranda

Mniej szczęścia do wymiaru sprawiedliwości miał Jacques Dugué, zatrzymany w 1978 r. przez policję w czasie kręcenia filmu pornograficznego z udziałem dzieci. W czasie, gdy przebywał w więzieniu, „Libération" opublikował jego tekst będący apologią stosunków analnych z dziećmi, do których się zresztą ochoczo przyznawał. Jednak pomimo zaangażowania wielu znanych obrońców pedofilów został skazany, i to po wielokroć, za gwałty na nieletnich.

Z kolei inny pedofil i gwałciciel kobiet, Luc Tangorre, w wyniku ogromnej mobilizacji francuskiej lewicy (petycje podpisały m.in. słynne pisarki Marguerite Duras i Françoise Sagan), został nawet ułaskawiony przez samego prezydenta Mitterranda. Sprawą żyła cała Francja, Tangorre wychodził z więzienia w świetle fleszy, ale już trzy miesiące później został ponownie aresztowany za gwałt. Jego historia to ciąg wyroków skazujących (ostatni w 2019 r., w wieku 60 lat), przedterminowych zwolnień i kolejnych przestępstw.

„Libération" brał również w obronę, i to jeszcze w 2001 r., znanego w Polsce niemiecko-francuskiego polityka Daniela Cohn-Bendita, który w swojej książce „Wielki bazar" z 1975 r. opisywał własne pedofilskie doświadczenia z dziećmi cztero- czy sześcioletnimi w eksperymentalnym przedszkolu w Niemczech, a w 1982 r. opowiadał o nich ponownie w programie telewizji publicznej „Apostrophes".

W roku 2013, po fali protestów zorganizowanych przez polskie środowiska prawicowe pod hasłem: „Stop pedofilii na Uniwersytecie Wrocławskim", Daniel Cohn-Bendit zrezygnował z udziału w Otwartych Debatach Europejskich. Z niechętnego mu Wrocławia udał się wprost do siedziby „Gazety Wyborczej", by wziąć udział w innej debacie, na temat integracji europejskiej, organizowanej przez wydawnictwo Michnika. Ci, którzy nie ustają w tropieniu pedofilii w Kościele, nie widzą niczego niewłaściwego w promowaniu polityka o pedofilskiej przeszłości, od którego zdystansowała się nawet jego partia, niemieccy Zieloni, próbujący odciąć się od swoich pedofilskich powiązań.

CZY TO TYLKO PRZESZŁOŚĆ?

Zasadne pytanie brzmi jednak, czy problem ten należy już tylko do przeszłości. Można w to wątpić po wyroku francuskiego sądu drugiej instancji w Metz w 2017 r., który odrzucił skargę stowarzyszenia AGRIF (Powszechne Przymierze przeciwko Rasizmowi i na rzecz Szacunku dla Francuskiej i Chrześcijańskiej Tożsamości) przeciw organizatorom „artystycznej" wystawy promującej najbardziej mroczne formy pedofilii. Wystawa zawierała m.in. 33 listy, które każdy – również osoby nieletnie wpuszczane na wystawę – mógł przeczytać. Oto fragment jednego z nich: „Dzieci, każemy wam jeść własne gówno, [...] będziemy was sodomizować i krzyżować, [...] wydłubiemy wam oczy, [...] odetniemy wam głowę [...], zabijemy was z zaskoczenia [...], otrujemy was [...], zdechniecie uduszone, [...], zarżniemy wasze psy [...], pokroimy was i zjemy [...], uczynimy was naszymi dziwkami [...], zgwałcimy was [...], wyrwiemy wam zęby [...], rozbijemy wam czaszki młotkiem [...], zaszyjemy wasze narządy płciowe [...], nasikamy wam na twarz [...], zakopiemy was żywcem [...]". Każdy taki wierszyk podpisany jest: „Jesteście naszym ciałem i naszą krwią, do zobaczenia, Tata i Mama".

Po wcześniejszym wyroku sądowym wydanym w pierwszej instancji, na mocy którego zasądzono symboliczną karę pieniężną dla organizatorów wystawy, wpływowy lewicowy portal internetowy Mediapart napisał: „Jest to zwycięstwo stowarzyszenia bliskiego skrajnej prawicy i ten fakt jest w równym stopniu niepokojący, co milczenie mediów na temat tej decyzji sądu, która narusza wolność wypowiedzi artystycznej".

Niestety, nawet jeśli postulat legalnej pedofilii nie jest już podnoszony w debacie publicznej we Francji, to duch rewolucji obyczajowej lat 60. wciąż jest w niej obecny, i to właśnie jej bohaterowie nadają tej debacie ton.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Z wyspy na wyspę

Teresa Stylińska

Wakacje na wyspach to dobry wybór. I zawsze ciekawy, zwłaszcza dla tych, którzy lubią czuć, że są w miejscu wyjątkowym, odmiennym, odizolowanym

Odizolowanym? Majorka i Ibiza, Mykonos i Santorini, Bali i Phuket, Seszele i Malediwy są przecież jak potężny magnes przyciągający tysiące ludzi. Wyspy są jednak tak różne, że każdy znajdzie tę ulubioną. Miłośnicy surfingu mogą wybrać się na Hawaje. Zamiłowani cykliści – na Bornholm. Ciekawi spotkania z białym niedźwiedziem – na Spitsbergen. Nudyści – na Sylt. Miłośnicy antyku – na Delos, maleńką (niespełna 3,5 km kw.) grecką wysepkę, która jest jednym wielkim wykopaliskiem, dlatego nie ma tam miejsca na hotele i każdy gość z końcem dnia musi ją opuścić. Polscy celebryci, łączący wypoczynek z rozkoszą chwalenia się przed światem – gdzież by jak nie na Zanzibar?

Lubię wyspy, szczególnie te niewielkie. Przyjemnie patrzeć, jak wzdłuż drogi przez gałęzie drzew przebłyskuje woda, a ze wzniesień widać morze nie tylko z jednej strony. Krzepiąca jest świadomość, że z dala od szaleństwa świata, od metropolii i wielkich ośrodków zasiedziała społeczność żyje swoim życiem. Wyspiarska egzotyka nie sprowadza się do odległości czy tropikalnej urody miejsca. Wyspy to wyspy – i tyle.

EGZOTYKA NA BAŁTYKU: RUGIA I GOTLANDIA

Potencjał niezwykłości kryją w sobie choćby bliskie nam wyspy bałtyckie. Oto niemiecka Rugia, łatwo dostępna, bo krótką drogą przez groblę. Zielona, uporządkowana, z wijącymi się wśród lasów drogami i nadmorskimi miejscowościami w klasycznym stylu niemieckich kurortów. Domy z wykuszami i werandami, bardzo na miejscu w wietrznym, chłodnym klimacie, porządne, zadbane wioski. Kameralne Bergen, stolica wyspy, i dwa wyjątkowe miejsca: Arkona i Prora.

W Arkonie z pradawnych czasów nie zostało nic. Magia miejsca i nazwy, znanej powszechnie, sprawia jednak, że warto odbyć dwukilometrowy spacer na przylądek, morskie urwisko, gdzie tysiąc lat temu w najsłynniejszej świątyni pogańskiej Słowiańszczyzny oddawano cześć bogu Świętowitowi.

Prora odwrotnie: znana nielicznym – i raczej nie przypadkiem. Bo Prora to wczasy pracownicze w wydaniu hitlerowskim. Wielki kompleks wakacyjny, przeznaczony dla 20 tys. ludzi, zaczęto budować na wschodnim wybrzeżu Rugii w 1936 r., z myślą o zapewnieniu masom wypoczynku, a zarazem zyskaniu ich przychylności. Wzdłuż brzegu, na długości 4,5 km, powstało więc osiem jednakowych budynków (do dziś przetrwało pięć, w sumie 3 km) – prostych, oszczędnych, funkcjonalnych, dużych, lecz nie przytłaczających. Gdyby nie wojna, byłby to największy na świecie kompleks wypoczynkowy.

Po wojnie budynki oddano wojsku, później stały puste i niszczały, wreszcie, pojedynczo, zostały kupione przez rozmaite firmy, które urządziły tu hotele i apartamenty na wynajem. I było to istne nieszczęście.

Zdążyłam obejrzeć Prorę – kwintesencję przedwojennego modernizmu – niemal w ostatniej chwili, zanim biznes przystąpił do akcji. Była jak nie z tego świata: wieczór, jasna linia budynków, których koniec niknął w oddali, ciemne tafle okien, wokół pustka. Dziś to kurortowy banał. Fasady upstrzono oszklonymi balkonami i może jest tam wygodnie, ale styl i urok modernizmu kompletnie się ulotnił. Czemu władze nie chroniły budowli, której projekt zdobył Grand Prix na Expo 1937 w Paryżu? O odpowiedź nietrudno.

Szwedzka Gotlandia jest długa, wąska, płaska i smagana przez wiatry, o czym świadczą fantazyjnie poskręcane sosny. Ma też perełkę: Visby, swą średniowieczną stolicę, hanzeatyckie miasteczko o wąskich uliczkach i małych kamieniczkach, zabytek z listy UNESCO. Byłam na Gotlandii w zimie i nigdy nie zapomnę ani kameralnych domów w bieli śniegu, ani lampek i światełek w każdym oknie każdego domu. Ten znakomity sposób na rozświetlenie ciemności długiej zimowej nocy przydaje Visby i gotlandzkim wioskom wyjątkowego uroku.

ZANURZONE W HISTORII: SYCYLIA I MALTA

Duża i mała, dwa kroki od siebie: Sycylia, największa wyspa Morza Śródziemnego, i przycupnięta u jej boku malutka Malta, mniejsza niż Warszawa. Obie dobrze znane i masowo, niestety, odwiedzane, obie zanurzone w historii.

Sycylia to skupisko miejsc tak dobrze znanych, że nie wymagają rekomendacji: Palermo z zamkiem normańskich królów, Taormina z greckim teatrem, Katania zbudowana na pokładach lawy, Syrakuzy, miasto Archimedesa, i Corleone, które już zawsze będzie się kojarzyć z cosa nostra. I oczywiście Etna. Plus mnóstwo godnych uwagi miasteczek w głębi lądu, takich jak Enna na wysokiej górze, z ryneczkiem z czasów Mussoliniego, i pobliska Piazza Armerina z rzymskimi mozaikami.

Malta natomiast odgrywa rolę dogodnego przystanku. Łatwo na nią trafić, trudniej ją opuścić. I mityczny Odyseusz, i św. Paweł, rozbitek z zatopionego statku, gdy już znaleźli się na wyspie, musieli bądź chcieli pozostać na dłużej. Odyseusz, usidlony przez nimfę Kalipso, spędził z nią siedem lat w jaskini na Gozo, drugiej co do wielkości maltańskiej wyspie, a św. Paweł w 60 r. przez całą zimę nauczał i nawracał.

eprasa.pl 6a7b48717c

Sycylia to największa wyspa Morza Śródziemnego FOT. ADOBE STOCK

Jeszcze dłużej zabawił tu zakon joannitów, którzy po tułaczce przez Cypr i Rodos zajęli Maltę na blisko 300 lat, zmieniając przy tym nazwę na zakon kawalerów maltańskich. Zostały po nich potężne mury obronne, szpital, z największą salą dawnej Europy, katedra – jakżeby inaczej! – św. Jana, z posadzką z herbów rycerzy zakonu, plus liczne tzw. zajazdy, czyli domy każdej z ośmiu zakonnych sekcji narodowych. Dziś mieszczą się w nich m.in. instytucje państwowe i muzea. Malta to także prehistoria, bo wyspa pełna jest megalitycznych wykopalisk.

Niewiele jest miejsc, które tak czytelnie jak Malta leżą na skrzyżowaniu szlaków i światów. 150 lat rządów angielskich pozostawiło ślady w architekturze. Wzdłuż wielu ulic ciągną się szeregi wiktoriańskich domów, żywcem przeniesionych z angielskich miast. Bliskość Włoch widać w kuchni. Bliskość Afryki i świata arabskiego – w języku, bo maltański jest językiem semickim, przy tym jedynym, który posługuje się alfabetem łacińskim. Czas joannitów – w wizerunku krzyża maltańskiego na prezydenckim sztandarze i obowiązkowo w pamiątkach.

GRECKIE MITY: KRETA, CYPR, SKOPELOS

Na Krecie, w jaskini na zboczu góry Ida, przyszedł na świat król bogów – Zeus. Na Cyprze, koło miasta Pafos, z piany morskiej wynurzyła się Afrodyta. Pierwszym mieszkańcem Skopelos, w archipelagu Sporady na Morzu Egejskim, był argonauta Stafilos, syn Dionizosa i Ariadny. Jego imieniem nazwano jedną z najładniejszych plaż.

Kreta i Cypr historię mają bogatą i wielowątkową. To widać. Kyrenia, najładniejsze miasto tureckiej części Cypru, nie różni się wcale od nadmorskich miasteczek części greckiej. Na Krecie meczety, łaźnie, kryte bazary w starej części Chanii i Rethymna przypominają o obecności Turków. Na obu wyspach byli Wenecjanie, na Cyprze również joannici. Jest i ślad literacki – w Famaguście, w tureckiej części Cypru, toczy się akcja „Otella". Można się tam wybrać, bo od kilkunastu lat granicę na podzielonej wyspie wolno przekraczać.

Dla większości turystów celem są morze i plaże, a że Kreta i Cypr mają ich niemało, przez cały sezon są oblegane. Dla zmęczonych słońcem nie brakuje jednak innych atrakcji, bo obie wyspy mają też góry. Samaria, najsłynniejszy z kreteńskich wąwozów, jest piękna i warta uwagi, pod warunkiem że turysta wytrzyma 16-kilometrowy, uciążliwy marsz po kamieniach.

Po górach Trodos na Cyprze raczej się jeździ, niż chodzi, zaglądając do malowniczych wiosek i starych kamiennych cerkiewek. Jedyny punkt naprawdę obowiązkowy to klasztor Kykkos, gdzie od ponad 800 lat przechowywana jest bezcenna ikona Matki Boskiej, namalowanej z natury przez św. Łukasza – nie do oglądania, bo okryta zasłoną. Legenda mówi, że trafiła tu z Bizancjum, jako dar cesarza Aleksego II Angelosa. W pobliżu klasztoru, na górze Throni, spoczywa w mauzoleum abp Makarios, pierwszy prezydent Cypru, który Kykkos darzył szczególną estymą, tu bowiem rozpoczął swą drogę duchowną.

Skopelos zaś jest miejscem mitu współczesnego. Gdy na ekrany wszedł film „Mamma mia", celem nieledwie pielgrzymek stała się maleńka cerkiew Agios Ioannis, położona na wysokiej, malowniczej i bardzo stromej skale, gdzie rozgrywają się ostatnie sceny. Sławę zyskała też plaża Kastani, jedno z miejsc akcji, oraz klapki Pierce'a Brosnana, wydobyte podobno z kosza na śmieci i traktowane jak kultowy artefakt. Na stateczku, którym płynęłam na wyspę, przeboje Abby leciały na okrągło, co budziło uzasadnione obawy, że na greckiej wyspie nie będzie ucieczki od szwedzkiego zespołu. Szczęśliwie nie. Skopelos pozostało sobą – wyspą sosen, drzew oliwnych i śliw, niewielką, zieloną, kameralną i – dzięki Bogu – wolną od tłumów

Nabycie wyspy to dobry sposób na nadmiar pieniędzy. Drogę przetarł Arystoteles Onassis, kupując maleńką wysepkę Skorpios

eprasa.pl 6a7b48717c

Egina, Poros i Hydra – wspomnijmy na koniec o trzech z Wysp Sarońskich, położonych blisko Aten i doskonałych na jednodniową wycieczkę (co nie wyklucza pozostania na dłużej). Kameralne porty z barami dookoła, ocienione uliczki, koty leniwie wylegujące się przed domami... A na Hydrze poczciwe, wyręczające auta osiołki – bo samochody są tu zabronione.

NANIZANE NA MOSTY: FLORIDA KEYS

Kilkadziesiąt raczej wysepek niż wysp, układających się w długi, niezwykły łańcuch, okalający południowo-wschodnie wybrzeże Florydy i ciągnący się dalej na południe, ku Kubie. Ich nazwa nie oznacza, jak można by sądzić, „kluczy do Florydy", choć po prawdzie taka interpretacja wcale nie byłaby pozbawiona sensu. Angielskie słowo „key" oznacza jednak także wyspę koralową.

Florida Keys to właśnie wyspy koralowe, duże i małe, zamieszkane bądź nie. Ze szmaragdowego morza wynurzają się jak prawdziwe klejnoty, różnej barwy i wielkości. Brzmi to banalnie – ale cóż, tak to właśnie wygląda. Bo jest to miejsce niezwykłe.

Florydzkie wyspy mogły przypominać wiele innych koralowych wysp, rozsianych po tropikalnych wodach świata. Wdał się w to jednak człowiek, łącząc je wyjątkową siecią mostów – najpierw kolejowych, później drogowych. Efekt jest wspaniały: drogą ponad morzem wprost płynie się, w regularnym rytmie: wyspa – estakada – wyspa – estakada. Droga nie jest monotonna, bo co krok coś przyciąga wzrok: ładne domy, widoczne w oddali mniejsze wysepki, żaglówki jak dziecięce zabawki, wędkarze zarzucający wędki z dawnych mostów kolejowych, zniszczonych w 1935 r. przez potężny huragan, zachowanych jednak z myślą o takich właśnie rekreacyjnych rozrywkach.

Tak, pokonawszy 200 km od krańca półwyspu Floryda, dociera się do słynnej, największej w archipelagu, choć przecież i tak małej (11 km kw.) wyspy Key West, najbardziej wysuniętego na południe punktu USA. Z morskiej bajki wracamy do świata. Pełno tu ludzi, barów i sklepów z pamiątkami, galerii sztuki i pięknych domów wśród tropikalnych kwiatów, gwaru i nastroju zabawy. Key West już dawno temu upodobali sobie ludzie zamożni, ale także znani i wybitni, tacy jak prezydent Harry Truman, który urządził tu zimową rezydencję prezydencką, i pisarze Tennessee Williams i John Dos Passos. Najbardziej znanym wśród stałych mieszkańców był jednak Ernest Hemingway i to przed jego domem, dziś muzeum, ustawiają się najdłuższe kolejki.

NAJWIĘKSZA I TYSIĄCE MAŁYCH

Jaki byłby świat bez wysp? Bezmiar wód, z których nigdzie nic się nie wyłania – żadna skała, żadne palmy, żadna rafa okalająca lagunę. Ileż problemów by z tego wynikło! Jak poskromić wrogów, skoro nie da się wyekspediować ich na stałe gdzieś z dala od lądu – vide Napoleon, zesłany aż na dwie wyspy. W jakie kłopoty popadliby miliarderzy! Nabycie wyspy to dobry sposób na nadmiar pieniędzy. Przed ponad półwieczem drogę przetarł Arystoteles Onassis, kupując maleńką, niespełna kilometrową, wysepkę Skorpios na Morzu Jońskim. Okazało się to bardzo inspirujące, bo parę lat temu, gdy Grecję pogrążył kryzys, władze w Atenach rozważały, czy w celu podreperowania finansów państwa paru pomniejszych wysp nie wystawić na sprzedaż.

A wojny? Bitwy o wyspy znakomicie urozmaicają przebieg konfliktów i zapadają w pamięć – dowodem choćby Kreta, a także Guadalcanal czy Midway, prawdziwe ikony zmagań na Pacyfiku. Nie każda wyspa, tak jak Malta, zyskała wyjątkowe miano „niezatapialnego lotniskowca", ale wiele zapewniło sobie trwałe miejsce tyleż w historii wojen, co w historii sztuki filmowej.

Na koniec trochę liczb. Ile jest wysp na świecie, tego nikt chyba nie wie. Każdy jednak pamięta, że największa jest Grenlandia, zajmująca ponad 836 tys. km kw. A najmniejsza? O palmę pierwszeństwa żadna się nie ubiega, bo małych wysp są tysiące. Morze Egejskie czy Bałtyk u wybrzeży Szwecji pełne są szkierów, wystających z morza skał – a one też bywają uważane za wyspy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Z Robertem Gwiazdowskim, prawnikiem, ekspertem podatkowym
rozmawia Jakub Wozinski

Najwyższa w historii

podwyżka podatków dla mikrofirm

JAKUB WOZINSKI: Ogłoszony projekt zmian w systemie podatkowym to łącznie 255 stron. Jak to w ogóle możliwe w XXI w., gdy tyle się mówi o konieczności tworzenia jasnego i przejrzystego prawa?

ROBERT GWIAZDOWSKI: Komisja Kodyfikacyjna Ogólnego Prawa Podatkowego powołana przez Platformę Obywatelską przygotowała ordynację podatkową, która liczyła jeszcze więcej stron. Wydaje się, że w Ministerstwie Finansów po prostu inaczej nie potrafią, bez względu na to, kto rządzi. Tak więc to akurat wcale mnie nie dziwi.

Mimo wszystko tym razem pojawiło się coś, co chyba przebiło wszelkie dotychczasowe wyczyny. Odnoszę się tu oczywiście do robiącego furorę w mediach społecznościowych przelicznika służącego do obliczania podstawy opodatkowania, który przyjął postać skomplikowanego wzoru.

Tak, oczywiście, widziałem go, ale jeszcze na jego podstawie nie liczyłem. Cóż, algorytm algorytmem. To jest PR. Problem leży gdzie indziej. PiS głosi, że na proponowanych zmianach skorzysta 18 mln osób, ale nie pokazuje niestety, kto straci. Tracą prywaciarze. Z PiS wychodzą bolszewicy, którzy mówią: „Będziemy rozkułaczać kułaków" i którzy będą grabić zagrabione. Nie ma oczywiście dyskusji co do tego, że podniesienie kwoty wolnej od podatku jest bardzo dobrym rozwiązaniem. Osobiście uważam nawet, że podatek dochodowy w ogóle należy zlikwidować, ale skoro go nie likwidujemy, to należy podnieść kwotę wolną od podatku. My, jako Centrum im. Adama Smitha czy też Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, apelujemy o to od lat, praktycznie od początku swojego istnienia. Kłopot polega jedynie na tym, skąd weźmiemy pieniądze na pokrycie różnicy. Sytuację, w której rząd z jednej strony deklaruje, że gwarantuje ulgi podatkowe dla zagranicznych inwestorów, a nie dla polskich, i jednocześnie zmienia przepisy polskim przedsiębiorcom (małym i średnim), można rozpatrywać jedynie w kategoriach rozgrywki politycznej. Z jednej strony mamy rozgrywkę polityczną między Kaczyńskim a Gowinem, z drugiej między Kaczyńskim a Tuskiem. Wprowadzając tego typu przepisy, PiS stawia Tuska i Platformę Obywatelską „na musiku". Jeśli PO zacznie protestować przeciwko tym rozwiązaniom, to PiS powie: „Proszę bardzo, nie dawaliście i teraz też nie chcecie, żebyśmy dali". Jeżeli natomiast Platforma nie chce podryfować razem z PiS i Czarzastym, to musi wyrazić sprzeciw wobec opodatkowania małych i średnich przedsiębiorstw, które są najczęściej prowadzone na podstawie wpisu do ewidencji działalności gospodarczej. Powieszenie całego ciężaru reformy podatkowej na sklepikarzach, piekarzach, właścicielach warsztatów samochodowych, czyli na małych i średnich

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. ADOBE STOCK

przedsiębiorcach, świadczy o kompletnej ignorancji ekonomicznej. Te właśnie podmioty, czyli mali i średni przedsiębiorcy, którzy są na liniowym podatku, wytwarzają aż 65 proc. polskiego PKB, zatrudniają 70 proc. legalnie pracujących Polaków. Tę kompletną ignorancję ekonomiczną można tłumaczyć tylko w kategoriach bójki politycznej. Dlatego uważam, że przyłożenie „misiom" (czyli małym i średnim przedsiębiorcom) ma podłoże głównie polityczne. Mamy w nosie to, co się stanie z ich biznesami, uderzamy w nich, choć nie musimy. Wyższe opodatkowanie dla małych i średnich przedsiębiorstw i tak nie zapełni luki podatkowej – to mogłoby uczynić przeformułowanie całego systemu podatkowego.

Władza mówi, że firmy, którym obciążenia podatkowe wzrosną, i tak nie stracą, bo dzięki temu gospodarka przyspieszy i zwiększy się popyt konsumencki.

Będą sobie ci, do których trafią pieniądze, częściej samochody naprawiali w warsztatach? Częściej jeździli na wakacje w momencie, gdy jest pandemia? Proszę mi powiedzieć, co będą częściej robić? To zwykły nonsens. Poza tym nie można opierać wzrostu gospodarczego jedynie na rozruszaniu konsumpcji wewnętrznej. Tak czy inaczej będziemy musieli przecież zwiększyć zadłużenie. Po to przecież kazali „sprzątnąć" z ulicy Jakuba Banasia, żeby odwrócić uwagę od tego, że jego ojciec wytknął rządowi wykonanie budżetu. Prezes NIK zarzucił, że te 200 mld zł zostało gdzieś ukryte.

Jeżeli więc zwiększamy zadłużenie po to, żeby zwiększyć popyt wewnętrzny, to warto sobie zadać pytanie, jak długo to może trwać. Możemy ewentualnie kombinować, że przez kolejne dwa lata, do następnych wyborów, żeby PiS do nich dotrwał, ale na pewno nie w nieskończoność. Kiedyś trzeba będzie za to zapłacić.

Tutaj podstawowa różnica polega na tym, że gdy ktoś jest na umowie o pracę albo na umowie-zleceniu, to myśli od pierwszego do pierwszego. Natomiast gdy ktoś prowadzi przedsiębiorstwo, to myśli w kategoriach 10 lat. Na tym polega przecież cała istota przedsiębiorczości, że trzeba planować. O ile poważny przedsiębiorca musi się zastanawiać nad poziomem stóp procentowych, o tyle zwykły pracownik nie musi. Nie musi przejmować się tym, że np. Węgrzy podnoszą stopy procentowe, żeby walczyć z inflacją, więc w Polsce pewnie stanie się podobnie. Konsumenci biorą kredyty hipoteczne, choć ostatnio mniej, bo banki im nie dają, natomiast firmy biorą kredyty inwestycyjne. To są dwie zupełnie inne rzeczywistości. Natomiast PiS pokazuje, że kompletnie nie rozumie, na czym polega prowadzenie działalności gospodarczej, i generalnie koncentruje się na tym, że przyjdą pieniądze z Unii. Cały kraj jest obwieszony plakatami z napisem: „770 mld zł dla Polski". Czy dostaną te 770 mld zł, jeśli uchwalą „lex TVN", to się jeszcze okaże. Jednak nawet jeśli je dostaną, to przecież większość z tych pieniędzy trzeba będzie kiedyś oddać. Kto je odda? Zabiorą je tym, którzy dostali „500+"? No przecież nie zabiorą. Będą musieli zabrać tym, którzy prowadzą działalność gospodarczą, płacą wyższe podatki, żeby było na to „500+".

Uderzanie w nich jest bardzo krótkowzroczne, szczególnie w obecnej sytuacji.

Jarosław Kaczyński bardzo liczy na Lewicę, która również nie rozumie, czym jest prowadzenie działalności gospodarczej. Im się wszystkim wydaje, że pieniądze bierze się ze ściany. Istnieje jednak dramatyczna różnica między przedsiębiorcą, który prowadzi firmę i osiąga dochód 10 tys. zł miesięcznie, a jakimś asystentem pana Obajtka, który tyle samo zarabia w państwowej firmie. Prowadzenie firmy to praca 24 godziny na dobę.

eprasa.pl 6a7b48717c

Wiceminister finansów Piotr Patkowski stwierdził niedawno, że klasa średnia zaczyna się powyżej 4 tys. zł brutto. Co pan o tym sądzi?

Wygaduje po prostu głupoty. Po pierwsze, klasa średnia to nie jest kwestia wysokości dochodów, tylko m.in. także źródeł przychodu. Klasa średnia to niezależność źródeł przychodu. Trudno mówić o przynależności do klasy średniej tylko dlatego, że posiada się określoną pensję, jeżeli ta pensja zależy od czyjegoś widzimisię, czy to polityka w administracji państwowej, czy też szefa w korporacji. Istotą przynależności do klasy średniej jest posiadanie majątku czy też aktywów pozwalających uniezależnić się od kaprysu rządzących.

Gdy po raz pierwszy ogłoszono zasady naliczania składki zdrowotnej, wydawało się, że przy tak wielu głosach krytycznych rząd będzie musiał przynajmniej częściowo wycofać się ze swoich propozycji. Tymczasem wychodzi na to, że rząd uparł się i nikogo nie słucha.

Uważam, że jest to tworzenie nowego frontu. O ile Gowin próbuje jeszcze oponować, o tyle to parcie ze strony PiS na przyjęcie tych rozwiązań oznacza, że muszą być już dogadani z Lewicą. Albo liczą, że Gowin pęknie w ostatniej chwili. Nie ulega jednak wątpliwości, że mamy do czynienia z najwyższą w historii podwyżką podatków dla mikrofirm.

Narracja ze strony PiS i Lewicy jest taka sama. Twierdzi się, że osoby będące na jednoosobowej działalności gospodarczej jedynie udają przedsiębiorców. Jeśli ktoś nie prowadził nigdy własnej działalności gospodarczej, to nie ma bladego pojęcia, jak to jest naprawdę. Zakłada się działalność gospodarczą najczęściej, korzystając z tego, że ma się jakiegoś klienta. Składkę na ZUS trzeba zapłacić nawet wtedy, gdy się jeszcze niczego nie zarobiło, więc najczęściej firmy są otwierane na zasadzie: zobaczymy, może się uda. Wiele osób zakłada firmę po odejściu z większej firmy lub korporacji i zaczyna pracować najpierw dla jednego klienta. Czyli zgodnie z tą narracją PiS-owsko-SLD-owską można powiedzieć, że to taki niepełny przedsiębiorca, gdyż wystawia jedną fakturę na miesiąc. Ktoś taki myśli wciąż o tym, jak wystawić drugą i trzecią fakturę kolejnym klientom. Większość zaczynających od jednoosobowej działalności gospodarczej wierzy w to, że ich interes przekształci się w wieloosobową działalność posiadającą wielu różnych klientów. Tak jak przez lata mówiłem o koalicji PO-PiS, tak ostatnio widać wyraźnie, że jeśli chodzi o uderzanie w przedsiębiorców, to funkcjonuje koalicja PiS-Lewica.

Od lat powtarzam, że należy znieść PIT, CIT i ZUS, a zamiast tego wprowadzić prosty podatek od funduszu wynagrodzeń

Jak więc pogodzić to, co pan powiedział, ze słowami ministra Tadeusza Kościńskiego, że Polski Ład to historyczna obniżka podatków?

Bo i ja mam rację, i rację ma pan minister. Jeżeli rząd podwyższa kwotę wolną od podatku, za co go chwalę, to jest to historyczna obniżka podatków dla ludzi mało zarabiających i będących na umowie o pracę. Równolegle mamy też niestety historycznie najwyższą podwyżkę dla mikroprzedsiębiorców. Czy te dwie rzeczy muszą ze sobą współistnieć? Ja twierdzę, że nie. Są zasoby finansowe, które do budżetu można dość łatwo wprowadzić. Te pieniądze są w dużych firmach. Tymczasem nie dość, że tych dużych firm nie opodatkowujemy, to jeszcze tym dużym firmom z kapitałem zagranicznym mówimy: „Spokojnie, my jako państwo damy wam gwarancję stabilności podatków. A jak się w przyszłym roku okaże, że podwyżka składki zdrowotnej dla prowadzących działalność gospodarczą była za niska, to ją podwyższymy jeszcze bardziej”.

Od lat popiera pan koncepcję podatku przychodowego. Także tym razem rząd nie zdecydował się na jego wprowadzenie, choć sytuacja teoretycznie temu sprzyjała. Jak pan sądzi, dlaczego?

Poprzednia władza również nie była tym zainteresowana. Tłumaczę to wszystko brakiem wiedzy, wyobraźni i obawami. Gdy coś się zmienia na zupełnie nowe, wówczas pada blady strach. Specjaliści od cen transferowych chodzą po mieście i opowiadają, że gdy będzie podatek przychodowy, to będą robili optymalizację – tak jakby jej nie robili do tej pory. Natomiast firmy wydają krocie na kupowanie benchmarków. Duże firmy działają w grupach kapitałowych, handlują między sobą. W związku z powyższym muszą udowodnić urzędom skarbowym, że ceny, które stosują w rozliczeniach wewnętrznych, są rynkowe. Zatrudnią więc firmy, które zaświadczą, że w tym czy innym kraju są takie właśnie ceny. Na tym można sporo zarobić, wiem coś o tym. Jeżeli ktoś żyje tylko z takich rzeczy, to zrobi wszystko, że móc to robić dalej.

Oprócz wspomnianego podatku przychodowego, co w obecnej sytuacji byłoby najbardziej pożądaną zmianą w systemie podatkowym?

Od lat powtarzam, że należy znieść PIT, CIT i ZUS, a zamiast tego wprowadzić prosty podatek od funduszu wynagrodzeń. On był już za Gierka, więc SLD powinien być z niego zadowolony. Był to dobry podatek, ponieważ był pobierany u źródła. Pracodawca, który zatrudniał x pracowników i płacił im globalnie kwotę y, odprowadzał od tej kwoty określony procent – i to wszystko. A dziś jesteśmy w sytuacji, że państwo wie, kto pracuje u kogo, ile zarabia, ile wydaje itd. Proszę zwrócić uwagę, że państwo coraz częściej mówi o tym, że trzeba wprowadzić obieg bezgotówkowy. Mamy spółkę specjalną Aplikacje Krytyczne, która przygotowała aplikacje do kas fiskalnych on-line, które są po to, żeby przedsiębiorcy nie oszukiwali na podatku VAT. Gdy dokonujemy płatności kartą kredytową, urzędnicy on-line wiedzą nie tylko, co sprzedaje Pipsztycki prowadzący sklepik, lecz także kto u niego kupuje. Ostrzegałem już dawno, że system kas on-line wraz z Pegasusem będą wykorzystywane do tego, żeby szukać haków. Podatek dochodowy progresywny jest jednym z najlepszych uzasadnień do wprowadzania coraz dalej idącej inwigilacji.

W Polskim Ładzie przewidziano niestety dalszą obniżkę limitu transakcji gotówkowych.

Argumentacja jest taka, żeby nie było przekrętów. Tak naprawdę władza chce coraz więcej wiedzieć o obywatelach i ich źródłach dochodu dzięki swoim aplikacjom. Tym bardziej jeśli chce się do kogoś konkretnie dobrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Robert Gwiazdowski *– prawnik, ekspert w dziedzinie podatków w Centrum im. Adama Smitha, wykładowca oraz profesor Uczelni Łazarskiego, adwokat oraz doradca podatkowy.*

eprasa.pl 6a7b48717c

Pałac Saski to inwestycja w narodową dumę

Piotr Hofman

Jego historia splata się z historią naszego kraju. Był – i w naszej wyobraźni wciąż jest – jednym z symboli stolicy. Symboli, których odbudowę winna jest następnym pokoleniom współczesna Polska. Mowa oczywiście o Pałacu Saskim. To tam w międzywojniu mieścił się Sztab Generalny Wojska Polskiego. To tam łamano sowieckie i niemiecki szyfry. To jego zniszczenie było jednym z symboli niemieckiego barbarzyństwa podczas drugiej wojny światowej. To wszak po upadku Powstania Warszawskiego mściwi niemieccy żołdacy wysadzili Pałac Saski, chcąc jeszcze bardziej upokorzyć i tak zrujnowane miasto.

Teraz odbudowa pałacu ma być jednym z najważniejszych zadań, kontynuacją budowy nowoczesnej stolicy, pamiętającej o swojej wspaniałej przeszłości, ciągiem dalszym powojennej odbudowy. Tolerujemy w centrum Warszawy pomnik komunizmu, którym jest Pałac Kultury i Nauki. Ten dowód obecności wschodniego okupanta nie został zburzony po upadku złowrogiego systemu przyniesionego do Polski przez sowieckich „wyzwolicieli". Przez 30 lat nie zrobiono natomiast zbyt wiele, aby przywrócić pięknemu parkowi Saskiemu jego wspaniałej ozdoby. Czemu? Nie chcę się zbytnio rozwodzić nad powodami. Jest w tym jednak coś symbolicznego i wymownego.

Jest jeszcze jeden aspekt całej sprawy. Pałac Saski nie zawalił się ze starości. Za jego wyburzenie odpowiadają Niemcy. Wciąż odpowiadają, ta wina nie uległa zatarciu, bo nie było zadośćuczynienia. Wydaje im się, że kruczkami prawnymi i niedorzeczną sofistyką wykpią się od odpowiedzialności. Łatwo przychodzą im słowa, dużo trudniej czyny. A prawdziwy żal wymaga naprawienia wyrządzonych krzywd. Bez tego jest tylko pokazówką, teatrem dla naiwnych. Chcesz przeprosić, dokonaj zadośćuczynienia. Jeśli nie chcesz tego uczynić, to nie udawaj, że żałujesz.

I tu dochodzimy do tematu reparacji za drugą wojnę światową. Tych Polska nigdy nie dostała. Wbrew absurdalnym tezom nigdy się też ich nie zrzekła. Nigdy! To trzeba mówić jasno i jednoznacznie. Niemcy zrujnowali nasze państwo, zatrzymali nasz rozwój na wiele dekad i teraz pozorują skruchę. Na to nie można się zgodzić. Walkę o prawdziwe zadośćuczynienie jesteśmy winni naszym przodkom. Tu nie może być kapitulacji. Dlatego wspierać trzeba starania takich polityków jak poseł Arkadiusz Mularczyk, który jest zaangażowany w przygotowanie raportu na temat strat wojennych, mającego być podstawą do wypłaty odszkodowań od Niemiec. Gdyby Rzeczpospolita Polska otrzymała te świadczenia, które należą jej się w wyniku zniszczeń wojennych, utraty 6 mln obywateli, ale też eksploatacji państwa polskiego, to byłyby to środki wielokrotnie wyższe, niż kiedykolwiek otrzymaliśmy z Unii Europejskiej – słusznie wskazuje poseł Mularczyk.

Gdyby nie druga wojna światowa Polska mogłaby być na zupełnie innym etapie rozwoju ekonomicznego, nie musielibyśmy gonić Niemiec czy Francji, jeśli chodzi o wartość PKB. Teraz stawia się nas w roli petentów, a to przecież nasi zachodni sąsiedzi odpowiadają za różnice gospodarcze, jakie występują między naszymi krajami.

Rację ma także poseł Mularczyk, kiedy wskazuje przykład Greków, którzy również nie odpuszczają kwestii reparacji. Grecy przygotowali raport i został on uchwalony przez tamtejszy parlament, następnie wystosowano notę dyplomatyczną do Niemiec. Jestem przekonany, że rząd polski również taką decyzję powinien podjąć, oczywiście wcześniej powinna mieć ona mandat parlamentu – wskazuje polityk Solidarnej Polski. My ponieśliśmy znacznie większe od Grecji straty, a wciąż jesteśmy za Helladą daleko w tyle, jeśli chodzi o dochodzenie swoich roszczeń wobec Niemiec. To musi się zmienić. Gdybyśmy wcześniej podjęli stosowne działania, być może Pałac Saski byłby odbudowany na koszt tego państwa, które odpowiada za jego wyburzenie.

Mówimy dużo o środkach z Unii. Może zamiast skupiać się tak bardzo na tych transferach, powinniśmy także postarać się, aby powstał inny fundusz. Fundusz zadośćuczynienia za zbrodnie i zniszczenia wojenne, z którego aktywów finansowane byłyby m.in. takie przedsięwzięcia jak odbudowa Pałacu Saskiego. Państwo niemieckie powinno zaś być sponsorem tego funduszu. Tego domaga się sprawiedliwość.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 6a7b48717c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ład Gowina czy Morawieckiego?

Polski Ład nie „sprzedaje się" w sondażach zbyt dobrze, a w każdym razie nie sprzedaje się tak dobrze, jak – jak zakładam – zakładano, więc też nie przysparza PiS nowych zwolenników. Ba, nie brakuje opinii, że po jego pojawieniu się w przestrzeni publicznej PiS zamiast zyskiwać nowych zwolenników, szybciej traci starych.

Co w tej sytuacji? Czyżby kolejny raz miało się okazać, że „ten straszny Gowin" – torpedując projekt (gdyby tak się stało) – w istocie przysłuży się PiS, wspomoże go, pozwalając wyjść z twarzą z kolejnej źle przyjętej propozycji i jeszcze dorzuci gratis możliwość obsadzenia go przez polityków PiS w roli ZŁEGO? W roli politycznego czarnego charakteru, który utrąca – jeden po drugim – świetne pomysły PiS na uzdrowienie Polski?

A tak właśnie – za sprawą Gowina i jego Porozumienia – było z nieszczęsnymi prezydenckimi wyborami kopertowymi w maju 2020 r., tak było z wcześniejszą próbą zlikwidowania limitu, powyżej którego nie płaci się składek do ZUS (a potem nie otrzymuje odpowiednio wyższej emerytury), tak było z próbą przeforsowania kolejnego podatku sektorowego – tym razem narzucenia go mediom jako podatku od reklam, tak było z próbą ograniczenia Polakom prawa do odmowy przyjęcia mandatu, tak jest z „lex TVN" itd., itp.

Choć, rzecz jasna, nie mam pewności, że liderzy PiS – choćby w głębi serca, choćby gdzieś na jego dnie – są dziś Gowinowi i jego ludziom choć odrobinę wdzięczni za – jak powiadają złośliwcy – „ratowanie PiS przed PiS". Mam raczej przypuszczenie – i to przypuszczenie graniczące z pewnością, że wielu liderów PiS, a w niektórych z powyższych przypadków także liderów Solidarnej Polski – nawet dziś, wiele miesięcy po zablokowaniu przez Gowina i jego partię forsowanych zmian, jest przekonanych, iż gowinowcy wyrządzili im niesłychaną krzywdę, nie popierając ich znakomitych pomysłów.

Jak będzie tym razem? Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że PiS z niezłomną determinacją forsuje Nowy Ład, publikując pierwsze projekty ustaw. Czy jednak w istocie nie jest tak, że liderzy tej partii po prostu nie mają innego wyjścia i muszą to czynić, bo przecież nie wycofają się – ot tak, z dnia na dzień – z realizacji owego Nowego Ładu? Programu ogłoszonego przecież przez nich z wielkim przytupem, w świetle jupiterów – jako filaru polityki rządu na najbliższe lata. Za to w głowie niejednego z polityków tego ugrupowania – po analizie wyników ostatnich sondaży opinii publicznej, tych przeprowadzonych po ogłoszeniu Nowego Ładu – być może właśnie kiełkuje nieśmiała myśl, a może jest to już myśl całkiem śmiała, że być może jednak lepiej by się stało, gdyby Gowin zablokował także tę zmianę forsowaną przez PiS… ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Armagedon dla przedsiębiorców

Po ust. 4 dodaje się ust. 4a i 4b w brzmieniu: »4a. Kwota ulgi dla pracowników, o której mowa w ust. 1 pkt 2aa, wynosi:

1) (A x 0,06684549 – 4572,00 zł) ÷ 0,17, dla A wynoszącego co najmniej 68 412 zł i nieprzekraczającego kwoty 102 588 zł,

2) (A x (- 0,07346090) + 9821,75 zł) ÷ 0,17, dla A wyższego od 102 588 zł i nieprzekraczającego kwoty 133 692 zł, gdzie A oznacza uzyskane przez podatnika w roku podatkowym przychody ze stosunku służbowego, stosunku pracy, pracy nakładczej i spółdzielczego stosunku pracy, które podlegają opodatkowaniu zgodnie z art. 27 ustawy, z wyłączeniem przychodów, do których mają zastosowanie koszty uzyskania przychodów, o których mowa art. 22 ust. 9 pkt 3".

To, rzec można, kultowy już fragment projektu ustawy podatkowej, która ma być pierwszym uchwalonym punktem Polskiego Ładu. Gdyby Państwo nie wiedzieli, opisuje ona tzw. ulgę dla klasy średniej. Jak widać, polski system podatkowy ma ulec znaczącemu uproszczeniu. Kolejnemu.

Na wszelki wypadek ostrzegam: jeżeli nie są Państwo prawnikami wyspecjalizowanymi w podatkach, to nie warto nawet zaglądać do wspomnianego projektu, ponieważ dla przeciętnego podatnika, nawet w miarę zorientowanego, jest on całkowicie nieprzejrzysty. W połączeniu z dwoma tygodniami, które dano na konsultacje publiczne ustawy, zakrawa to na kpinę.

Specjaliści już się jednak zaczęli przez ten gąszcz przedzierać. Obraz jest dramatyczny, ale też dokładnie tego można się było spodziewać: za prezenty podatkowe dla elektoratu zapłacą przede wszystkim mali i średni przedsiębiorcy, lecz również lepiej zarabiający etatowcy. Nie tylko dramatycznie wzrosną ich obciążenia, lecz także drobni przedsiębiorcy zostaną obarczeni obowiązkiem prowadzenia zaawansowanej księgowości – czego dotąd nie musieli robić – oraz, jak to ujęto, przesyłania co miesiąc danych w ustrukturyzowanej formie do urzędu skarbowego. To nie jest nawet rewolucja – to wstrząs, dla wielu bariera nie do przejścia.

Minister finansów w jednym z wywiadów stwierdził, że przecież przedsiębiorcom wyrównano uciążliwości, obniżając CIT i wprowadzając „CIT estoński". Przypomnijmy zatem: z tego ostatniego rozwiązania, tak hucznie reklamowanego przez rządzących, skorzystało w Polsce niespełna 340 firm. Słownie: trzysta czterdzieści. W kategorii klęsk rządowych programów estoński CIT może śmiało konkurować z „Mieszkaniem Plus".

„Jest to najwyższa w historii podwyżka podatków dla mikrofirm i małych firm" – mówi Cezary Kaźmierczak, szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. Wielkie korporacje właściwie nie stracą. Wnioski proszę wyciągać samemu. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

HORYZONT

NARAMOWICE

NOWA INWESTYCJA

w Poznaniu

Grupa Inwest

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 6a7b48717c

Jastarnia '61

Plaża w Jastarni w latach 60.
FOT. LECH CHAREWICZ/EAST NEWS

Joanna Bojańczyk

Panie opalały się, smarując wzajemnie masłem kakaowym i brązowoczerwonym olejkiem do opalania. Do dziś pamiętam ich zapach, zapach lata

Co rok pod koniec czerwca w domu zaczynała się mobilizacja. Przygotowanie do wakacji. Wyjmowano walizki i tzw. bajbok, czyli wojskowy wór, do którego ładowano rzeczy. Wyprawiałam się z mamą do Warszawy, żeby kupić tzw. letnią sukienkę i kostium kąpielowy. Wyjazd z Milanówka był przeżyciem – wielkie, ruchliwe miasto trochę mnie przerażało, choć wtedy Warszawa była jeszcze pełna ruin i parterowa, z zabudowaną barakami Marszałkowską i niewielkim ruchem samochodowym. Przyjeżdżałyśmy kolejką EKD, wysiadało się na Nowogrodzkiej, potem tramwajem Alejami do centrum. Kolejka (dzisiaj WKD) w latach 50. miała jeszcze przedwojenne wagony żółto-niebieskie, drewniane ławki i mosiężne lśniące okucia. Jazda trwała długo, ale zawsze miałyśmy miejsce siedzące, bo Milanówek był stacją początkową.

W KOLEJCE POD ORBISEM

Wakacje dziecko powinno spędzać częściowo nad morzem, częściowo w górach, tak uważali rodzice, wierząc w ideologię przedwojennych „kuracji" klimatycznych, które zalecały długie pobyty. W XIX w. i jeszcze na początku XX w. w sanatoriach i „u wód" spędzano miesiące. Wierzono, że sama aklimatyzacja w nowym miejscu trwa co najmniej tydzień, jeśli nie więcej, a dopiero potem pojawiają się korzyści zdrowotne. – Jechać na dwa tygodnie to nie ma sensu – mówiła mama.

Wyjeżdżaliśmy zatem nie na jeden tydzień, jak dzisiaj, lecz na cały miesiąc, oszczędzano na to cały rok. Nad morze – do Jastarni, pociągiem oczywiście. Kto miał wtedy samochód? W Milanówku samochodów w latach 60. było może 10...

Nieprzypadkowo Jastarnia – jak i w ogóle Półwysep Helski – była przyczółkiem wakacyjnym przedwojennej inteligencji. Polskie Wybrzeże, jak wiadomo, miało 30 km długości i kończyło się w Dębkach. Najwcześniejsze moje wspomnienia z tych podróży – musiałam być wtedy bardzo mała – jestem wrzuca-

eprasa.pl 6a7b48717c

na przez okno do potwornie zatłoczonego pociągu na Dworcu Wschodnim, a potem leżę na półce pod sufitem. Padał deszcz i sufit przeciekał, ale jakoś przeżyłam.

Potem było lepiej. Jeździliśmy czasami „slipingiem", do którego bilet tata wystawał w kilometrowej kolejce pod Orbisem na Brackiej już w maju. Trzeba było stać pół nocy. Dodatkowo bilet był drogi, więc bardzo długo dzieliłam jedno miejsce leżące z mamą, która usiłowała przekonać konduktora, że mam trzy lata, chociaż miałam 10 i należałam do kategorii raczej większych dziewczynek…

Ale moment, gdy o świcie pociąg wjeżdżał na Hel, był bezcenny. Tata budził nas już za Władysławowem i można było wyglądać przez okno, gdzie z jednej strony raz po raz błyskała zatoka, z drugiej ciągnęło się pasmo lasu, a za nim morze. Samochodów może parę na dobę… W latach 60. Półwysep Helski zabudowany był głównie przedwojennymi domkami rybaków. Zabudowa letniskowa istniała tylko w Juracie, jeszcze przedwojenna. Stacyjki w Kuźnicy, Chałupach wyglądały jak opustoszałe wioski.

POKOJE OD RYBAKÓW

Na stacji Jastarnia-Bór, przed właściwą Jastarnią, stacjonowały wczasy wagonowe, taki pomysł władzy, żeby z braku bazy turystycznej dać ludowi miejsce nad morzem, choćby w starych wagonach. Zawsze to było coś, zanim w latach 70. masowo wybudowano tzw. ośrodki wczasowe. Jeden wagon, zdaje się, służył jednej rodzinie, na szczęście, ale i tak wyglądało to jak obozowisko dla uchodźców, z rozwieszonymi na sznurach i gałęziach ubraniami i rozstawionymi byle jak połamanymi krzesłami. To były takie jastarniane fawele. Sama osada też była skromniutka. Bardzo długo, aż do rozwoju masowej turystyki w latach 80., Jastarnia była po prostu wioską rybacką. Bez praw miejskich, elektryczność dotarła tu na krótko przed wojną.

Mieszkało się w pokoju wynajętym od rybaków, w jednym z kaszubskich domków z czerwonej cegły, niskich i pozbawionych wygód. Wygód w dzisiejszym sensie tego słowa. Bo któż dzisiaj pojechałby do pokoju bez łazienki? Wtedy to wystarczało. Pokój niski, z małymi okienkami, zagracony wielkim łóżkiem gospodarzy i szafą, malowany na niebiesko lub różowo we wzorek. Miska z wodą i dostęp do ogólnej toalety w domu, jeśli była. Jeśli nie, to przybytek z serduszkiem na podwórzu. Dzielony z gospodarzami i innymi lokatorami naturalnie. Ale kto by się przejmował? Tak było wszędzie. Na „wczasach" z zakładu pracy może warunki były lepsze, ale na wczasy nie jeździliśmy. Chyba tata, skromny redaktor, w dodatku bezpartyjny, był za mało zasłużony, żeby je dostać. Odpoczynek należał się bardziej klasie robotniczej niż „umysłowym".

Nie pamiętam, żeby plaże były zatłoczone. Każdy miał wykopany, jak się należy, własny grajdoł i w nim się kokosił na kocu, bo akcesoriów plażowych też jeszcze się nie używało. Panie opalały się, smarując wzajemnie masłem kakaowym i brązowoczerwonym olejkiem do opalania. Do dziś pamiętam ich zapach, zapach lata. Oczywiście w latach 60. nikt nie słyszał o szkodliwości promieni UV, raku skóry, filtrach i produktach do smarowania się przed opalaniem, w jego trakcie i po nim. Wielkim szykiem było z urlopu wrócić w kolorze złotobrązowym. (Zresztą dziś też tak jest mimo ostrzeżeń lekarzy...). Czasem można było wynająć kosz, ale sądzę, że to musiało być w Międzyzdrojach, bo w Jastarni koszy nie pamiętam. To, co zapamiętałam, to mękę taty, który nie znosił upału, plaży, piasku i w ogóle urlopu. Na plażę wyruszał w długich spodniach, koszuli, kapeluszu i krawacie, wprawdzie luźno zawiązanym, ale jednak, oraz nieodzownej kamizelce. Pod pachą dzierżył papierową teczkę z tzw. pracami zleconymi. Były to korekty tekstów książek technicznych i naukowych, jego praca. No i czekał, aż ta wakacyjna tortura się skończy.

Po plaży szło się na obiad do jadłodajni Wawrzyniaków, a potem na lody do kawiarni Maleńka, tuż obok stacji. To było urocze miejsce. Prywatna kawiarnia, która jakimś cudem oparła się bierutowskiemu, a potem gomułkowskiemu upaństwowieniu. Zgodnie z nazwą maleńkie wnętrze przesycone słodkim zapachem ciastek i kawy, na zewnątrz kilka okrągłych stolików, gdzie można było zjeść lody ze srebrnych pucharków. Jastarnia w latach 60. już stawała się modnym kurortem, może nie tak jak sąsiednia Jurata, przyjeżdżała tu mniej snobistyczna inteligencja i część warszawskiej bohemy. Poza wagonowymi nie było tu wczasów FWP.

Kiedyś w Maleńkiej upadł mi na ziemię żółty sweter i podniósł go Andrzej Łapicki! Byłam dumna i przeżywałam to jak dotknięcie boskiej ręki, a sweter dotknięty przez idola traktowałam jak relikwię.

W Domu Zdrojowym, okrągłym pawilonie w lesie na wydmie, odbywały się tzw. fajfy. Rodzice chodzili tam tańczyć, nawet moi, wcale już nie tak młodzi, widocznie znajomi ich zaciągali. To musiała być męka dla ojca, który tańczyć nie znosił. My, dzieci, nie mogliśmy wchodzić do środka, zabawę oglądaliśmy przez szybę, zazdroszcząc. Panowie w garniturach wirowali na parkiecie z paniami w sukniach na sztywnych halkach. Te suknie były ostatnim kręgiem fali, którą zataczała moda Diora New Look – wąska talia, szeroka spódnica, szpilki. Spódnica zawrotną szerokość zawdzięczała sztywnej halce. Moja przyjaciółka Ewa miała taką przysłaną z Anglii – utrzymywała sukienkę w pożądanym kształcie dobrze nadmuchanej bombki. Marzyłam o takiej; moja ze zwykłego wykrochmalonego płótna nie mogła się równać z tamtą, zagraniczną.

ZIELONY KIOSK

Rozrywki? Dla nas, dzieci, nie było oferty. Pograć w klasy albo w ciupy na podwórzu, liczyć przejeżdżające skody i wartburgi. Kto naliczy więcej. Po południu można było iść nad zatokę albo na spacer lasem do Juraty. Drogą przez las, tą, którą dzisiaj pędzą samochody, wtedy spacerowało się jak po parku. Wielką atrakcją w Juracie był drewniany zielony kiosk, w którym sprzedawano już pierwsze plastikowe badziewie: piłki, klapki.

Atrakcją towarzyską była wizyta w Morzanach, w pensjonacie, który przed wojną należał do rodziny Szczepkowskich, znajomych rodziców z Milanówka. Modernistyczny niewielki budynek leżał nad zatoką, blisko Juraty. Przyjeżdżali tam w lecie liczni przyjaciele i znajomi rodziny Szczepkowskich. Jan Szczepkowski – świetny rzeźbiarz – już nie żył, żyła wdowa po nim, znana przedwojenna aktorka Maria Morozowicz-Szczepkowska. Ich córka Hanna Mickiewicz i jej mąż Adam byli przyjaciółmi rodziców z czasów powstania. Do tego grona należała Monika Żeromska, także bywalczyni Morzan. Grali w brydża, kłócili się, czy Matejko jest dobrym malarzem. Wspominali czasy powstania. Ale mnie wtedy dorośli specjalnie nie interesowali, nawet o znanych nazwiskach.

Wieczorem kolacja w pokoju – pomidory, herbata, chleb z serem. I czytanie, kiedy padał deszcz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

Oskarek Małkowski z siostrą Zosią

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Rower zamiast wózka

eprasa.pl 6a7b48717c

Katarzyna Pinkosz

Polska jest liderem w Europie, jeśli chodzi o leczenie rdzeniowego zaniku mięśni. – Ten program to ogromny sukces polskiej medycyny – mówią eksperci. Efekty widać po dzieciach, które bez leczenia nie miałyby szans żyć, a dziś śmieją się, a niektóre nawet... jeżdżą na rowerze

Oskarek Małkowski był wcześniakiem, dlatego początkowo lekarze uspokajali rodziców, że „ma jeszcze czas" na zdobywanie umiejętności ruchowych: siadania, wstawania, chodzenia. Rodziców niepokoiła postępująca wiotkość chłopca, który, gdy miał rok, nie był w stanie podeprzeć się rękoma, nie siedział, nie raczkował, nie próbował chodzić. Badanie EMG (przewodnictwa nerwowo-mięśniowego) wykazało nieprawidłowości. Chłopiec został skierowany na badanie genetyczne, po którym padła diagnoza: SMA, czyli rdzeniowy zanik mięśni.

Monika, mama Oskara, była wtedy w 23. tygodniu ciąży z Zosią. – Na zaproszenie Fundacji SMA mąż poszedł na konferencję dotyczącą tej choroby. Tam dowiedział się, żeby od razu po urodzeniu zrobić Zosi badania genetyczne, gdyż być może uda się zakwalifikować ją do leczenia za granicą. Był rok 2016, leczenie w Polsce nie było jeszcze dostępne – opowiada Monika. Badania genetyczne potwierdziły, że Zosia również choruje na SMA.

LEK, KTÓRY ZMIENIŁ ROKOWANIE

– Zanim pojawiły się leki (obecnie są już zarejestrowane trzy terapie), SMA to była najczęstsza genetycznie uwarunkowana choroba prowadząca do śmieci noworodków i niemowląt – wyjaśnia prof. Katarzyna Kotulska-Jóźwiak, kierownik Kliniki Neurologii i Epileptologii Instytutu „Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka". Przyczyną choroby jest uszkodzenie genu, który koduje białko odpowiedzialne za pracę mięśni. Następuje stopniowa utrata ich sprawności: słabną mięśnie rąk, nóg, głowy, pojawiają się problemy z przełykaniem, oddychaniem, mówieniem, a także zmiany kostne, w tym przede wszystkim skolioza. Bez leczenia choroba jest nieuchronnie postępująca, niezależnie od tego, kiedy pojawią się pierwsze objawy. – Najczęstszy jest SMA typ 1: już w pierwszym półroczu życia pojawiają się objawy, a bez leczenia 90 proc. dzieci przed ukończeniem drugiego roku życia musi być podłączona do respiratora lub umiera. W typie 2 choroby pierwsze objawy pojawiają się, gdy dziecko już samodzielnie siedzi; w typie 3, gdy samodzielnie chodzi; w typie 4 u osoby dorosłej – wyjaśnia prof. Kotulska-Jóźwiak.

Dzięki pomocy Fundacji SMA udało się zorganizować konsultację siedmiotygodniowej Zosi w Paryżu. – Pojechałam z córeczką do Francji, profesor powiedział, że przy dwojgu chorych dzieci najlepiej postawić wszystko na jedną kartę: przeprowadzić się do Francji, uzyskać ubezpieczenie, wtedy Zosia będzie mogła dostać lek, a lekarze zrobią tu wszystko, żeby mógł być leczony także Oskar – opowiada Monika. W ciągu dwóch tygodni całą rodziną spakowali się i przeprowadzili do Francji. Monika: – Jechaliśmy w ciemno, nie wiedzieliśmy, jak będzie z mieszkaniem, pracą.

Zosia zaczęła dostawać nusinersen: pierwszy lek, który został zarejestrowany na świecie w SMA. Nie miała jeszcze objawów choroby: to czas, kiedy najlepiej jest zacząć leczenie. Niedługo potem leczenie zaczął dostawać także Oskar. – Przez wiele lat, gdy diagnozowaliśmy SMA, nie mogliśmy dać rodzicom żadnej nadziei. Zmianę przyniósł 2016 r., kiedy to amerykańska FDA, a kilka miesięcy potem Europejska Agencja Leków (EMA) zarejestrowały nusinersen: pierwszy lek, który zmienił naturalny przebieg choroby – opowiada prof. Kotulska-Jóźwiak. – Badanie rejestracyjne tego leku zostało przerwane (co rzadko się zdarza), ponieważ była tak duża różnica między dziećmi, które dostawały lek, a otrzymującymi placebo. Lek nie przekracza bariery krew-mózg, jest podawany co cztery miesiące do kanału rdzenia. Działa tylko tam, dlatego w zasadzie nie ma toksycznego wpływu na pozostałe narządy. Celem leczenia jest zahamowanie postępu choroby, dlatego tak ważne jest wczesne rozpoczęcie terapii. W wielu przypadkach jednak uzyskuje się znaczącą poprawę, często już od samego początku leczenia, choć zdarza się, że widać ją nieco później. Najlepsze wyniki przynosi leczenie pacjentów, u których osłabienie mięśni nie jest jeszcze widoczne; można wówczas uchronić pacjentów przed ciężkimi objawami choroby – dodaje prof. Kotulska-Jóźwiak, która jako pierwsza w Polsce rozpoczęła podawanie dzieciom z SMA1 tego leku w Centrum Zdrowia Dziecka.

Z FRANCJI DO POLSKI

Gdy rodzice z Oskarem i Zosią jechali na leczenie do Francji, nie oczekiwali cudu. – Chcieliśmy, żeby choroba została zahamowana, żeby Zosia mogła sama jeździć na wózku inwalidzkim, przełykać, oddychać. Podobne marzenia mieliśmy co do Oskara: żeby żył – mówi Monika.

prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierownik Katedry i Kliniki Neurologii WUM

TSMA jest chorobą uwarunkowaną genetycznie, która może ujawnić się w każdym wieku, jednak w najcięższej, ostrej postaci (SMA1) rozpoczyna się w pierwszych miesiącach życia. To choroba rzadka; polskie badania epidemiologiczne wskazują, że występuje ona z częstością 1 na 8300 narodzin. Co roku rodzi się w Polsce 50–54 noworodków z SMA, większość z typem 1.

Polska dziś jest jednym z liderów w Europie i na świecie, jeśli chodzi o diagnostykę i leczenie SMA. Najmłodsze dziecko w Polsce zaczęło otrzymywać lek w pierwszej dobie życia, a mamy również pod opieką osoby w wieku 50–60 lat. Widzimy skuteczność leczenia: to jest najważniejsze.

Ze wszystkich badań klinicznych, które zostały opublikowane, wynika, że terapia rdzeniowego zaniku mięśni jest najbardziej skuteczna, jeśli rozpoczyna się ją przed wystąpieniem pierwszych objawów, dlatego tak cieszy nas wprowadzenie badań przesiewowych noworodków w kierunku SMA. „Złotym standardem" jest już dziś rozpoznawanie SMA i rozpoczynanie leczenia, zanim pojawią się objawy.

eprasa.pl 6a7b48717c

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Zosia pierwszą dawkę otrzymała w wieku pięciu miesięcy: nie miała jeszcze objawów choroby. Dziś ma cztery lata, cały czas jest leczona, a efekty są znakomite: nie jeździ na wózku inwalidzkim, tylko na dwukołowym rowerku. Chodzi do przedszkola, biega, skacze jak zdrowa czterolatka. – Miała już trzykrotnie powtarzane badania genetyczne; lekarze nie mogli uwierzyć, że jest tak dobrze; sprawdzali, czy przypadkiem nie leczą zdrowego dziecka! – opowiada Monika.

Oskar pierwszy raz dostał nusinersen, gdy miał 2,5 roku. Był już wtedy zupełnie wiotki, gdy położyło się go na łóżku, nie był w stanie nawet przekręcić głowy czy ruszyć nogami. Choroba zabrała mu wszystko, oprócz oddechu i przełykania, ale jadł już tylko papki, i to w bardzo małych ilościach, chudł, zanikał u niego odruch kaszlu. Mama zauważyła u niego poprawę już następnego dnia po pierwszym podaniu leku. – Dopytywałam, czy to może być prawda… Zwykle, gdy brałam rękę Oskara i kładłam na swojej, to leżała bezwładnie. Wtedy pierwszy raz ścisnął mój palec – opowiada Monika. Oskar ma za sobą już 17 podań leku, po każdym było widać poprawę, jednak po 13. dawce widać wręcz przełom: zaczął kolorować, rysować, pisać. Chłopiec samodzielnie porusza się na wózku, siedzi, posadzony na podłodze jest w stanie się przemieszczać. Chodzi do szkoły podstawowej (ma przydzielonego asystenta, który pomaga mu np. na stołówce czy w toalecie, ale generalnie radzi sobie sam). – Gdy ktoś pyta, czy Oskar będzie kiedyś chodził, mówię, że nie wiem. Kiedyś uważałam, że nie ma szans nigdy siedzieć, mówić, śmiać się, tymczasem to, co niemożliwe, okazało się realne. Jego stan wciąż się poprawia – mówi Monika.

Do Polski wrócili przed rokiem. Zdecydowali się na powrót, bo w Polsce już od marca 2019 r. wszyscy chorzy na SMA (niezależnie od wieku, stopnia rozwoju choroby) mają dostęp do leczenia. – Francja dała Zosi szansę na normalne funkcjonowanie, Oskarowi dała życie, jednak tu mamy dom, rodzinę. Przyjeżdżaliśmy tu cały czas, Oskar miał rehabilitację, i to znacznie lepszą niż we Francji. Zdecydowaliśmy się na powrót, bo leczenie SMA w Polsce jest na bardzo dobrym poziomie – opowiada Monika. – Ten program jest ogromnym sukcesem polskiej medycyny. To były „wszystkie ręce na pokład": staraliśmy się jak najszybciej włączyć do leczenia wszystkich chorych, zarówno nowo zdiagnozowanych, jak tych, którzy przez wiele lat czekali na leczenie – potwierdza prof. Kotulska-Jóźwiak. Obecnie w Polsce leczonych jest już ponad 700 osób z SMA w 29 ośrodkach (w tym 16 dla dzieci). – Skuteczność leczenia widzimy nie tylko w badaniach klinicznych, lecz także w naszej codziennej praktyce; żaden z pacjentów nie został wykluczony z leczenia z powodu braku skuteczności czy złej tolerancji leku – dodaje prof. Kotulska-Jóźwiak.

IM WCZEŚNIEJ, TYM LEPIEJ

Im wcześniej dziecko dostanie leczenie, tym lepiej: na razie nie ma terapii, która sprawi, że „ożyją" motoneurony, które zanikły. W najlepszej sytuacji są dzieci, które rozpoczęły leczenie w okresie bezobjawowym (jak Zosia). W badaniu NURTURE, w którym terapii nusinersenem poddano 25 niemowląt przedobjawowych z typem 1 i 2 choroby, wszystkie dzieci osiągnęły kamienie milowe rozwoju ruchowego, określane przez WHO jako nieosiągalne w naturalnym przebiegu SMA. – Aż 84 proc. dzieci osiągnęło maksymalną ocenę w teście CHOP INTEND. Rozwijają się one w sposób zbliżony do naturalnego, mają zachowane funkcje oddychania i połykania, wszystkie samodzielnie siedzą. Dla porównania: u pacjentów włączonych do leczenia już po pojawieniu się objawów ten efekt był osiągany u 30 proc. Zdecydowana większość dzieci włączona do leczenia przedobjawowo chodzi – podkreśla prof. Kotulska-Jóźwiak.

Do tej pory na leczenie, zanim pojawią się objawy, miały szansę tylko dzieci, których rodzeństwo choruje na SMA i wykonano u nich badania genetyczne. Od tego roku więcej dzieci w Polsce będzie mogło otrzymać leczenie w okresie bezobjawowym, dzięki włączeniu do badań przesiewowych noworodków badania w kierunku SMA. Obecnie jest ono już prowadzone w pięciu województwach, od 2022 r. będzie w całej Polsce. Wczesne włączenie do leczenia daje szansę na normalny rozwój dziecka: objawy mogą się nigdy nie pojawić. – Jak zaczynałam pracę, to rozpoznanie SMA było dla neurologa koszmarnym snem: patrzyło się w mądre oczy dziecka i przekazywało informację rodzicom o chorobie, która jest nieuchronnie postępująca i prowadzi w najcięższych postaciach do śmierci, i to szybko. Dziś przekaz jest zupełnie inny: to choroba możliwa do zatrzymania, a jeśli zrobi się to na etapie, kiedy nie daje jeszcze objawów, to może nie mieć negatywnego wpływu na jakość życia pacjenta. Oprócz nusinersenu są już zarejestrowane w SMA dwie kolejne terapie: doustna oraz genowa. To przełom, którego nie widzimy na razie w innych chorobach, daje ogromną nadzieję na przyszłość – mówi prof. Kotulska-Jóźwiak.

Dzięki badaniom przesiewowym już udało się zidentyfikować pierwsze dziecko z SMA. – Dzięki temu będzie miało szansę na bardzo wczesne leczenie, a co za tym idzie: najskuteczniejsze obecnie możliwe – dodaje prof. Kotulska-Jóźwiak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

TEST „DO RZECZY": ULTRABOOK MSI PRESTIGE 14 EVO

Niezła wydajność, dobry czas pracy na baterii, świetne kolory wyświetlacza oraz stosunkowo atrakcyjna cena – to największe zalety ultrabooka MSI Prestige 14 Evo wyposażonego w świetny procesor najnowszej linii procesorów Intel Evo.

Czy rzeczywiście jest prestiżowy? Na pewno dobre wrażenie robi aluminiowa, matowa obudowa. Konstrukcja jest sztywna i elegancka, choć pokrywa zbiera odciski palców sprawniej niż agenci CIA podczas akcji w Chinach. Jakość wykonania nie budzi zastrzeżeń. Dopracowane są również miły w dotyku gładzik oraz wygodna podświetlana klawiatura (chociaż niektórym użytkownikom przeszkadzać może dziwaczny układ klawiszy). Dla dbających o bezpieczeństwo producent w lewym górnym rogu gładzika zainstalował również czytnik linii papilarnych, za pomocą którego można szybko i sprawnie logować się do Windowsa, a także aplikacji zezwalających na korzystanie z zabezpieczeń biometrycznych.

Ogromnym plusem ważącego 1,29 kg ultrabooka jest jakość 14-calowego ekranu. Panel IPS ma rozdzielczość 1920 x 1080 pikseli, a odwzorowanie kolorów wynosi według producenta 100 proc. pokrycia w palecie sRGB. Kolory rzeczywiście są żywe i wyglądają naturalnie. Zaletą są też szerokie kąty widzenia. Wadą zaś nieco za mała maksymalna jasność.

Certyfikat Intel Evo sugeruje m.in., że mamy do czynienia z baterią, która powinna wystarczyć na „cały dzień pracy" oraz bardzo wydajnym sprzętem, zwłaszcza w wersji z najpotężniejszym procesorem i7-1185G7. My do testów otrzymaliśmy wersję podstawową z procesorem i5-1135G7, 16 GB pamięci RAM oraz dyskiem o pojemności 512 GB. Pod względem wydajności nie ma jednak powodów do narzekania. Nie jest to oczywiście laptop gamingowy, ale spokojnie może służyć jako przenośny sprzęt dla grafika czy fotoedytora, który śmiało może konkurować z takimi modelami jak MacBook Air lub Asus Zenbook 14.

Dobrze sprawdza się też akumulator, który powinien wystarczyć na mniej więcej 6,5 godziny pracy non stop. To przyzwoity wynik, ale wspomniani wyżej konkurenci dają użytkownikowi więcej czasu pracy na jednym ładowaniu.

Minusy? Laptop potrafi mocno się zagrzać – w takiej sytuacji układ chłodzenia chodzi na pełnych obrotach i Prestige 14 Evo zaczyna generować sporo hałasu. Zazwyczaj ultrabook jest jednak niemal bezgłośny.

W codziennej pracy przeszkadzać może też niewielka liczba portów. Fajnie, że są dwa USB typu C oraz wejście na karty microSD, ale brakuje m.in. klasycznego HDMI. Na szczęście jest chociaż jeden port USB typu A, ale po pierwsze, przydałyby się co najmniej dwa, a po drugie, USB w przestarzałym standardzie 2.0 prestiżu na pewno nie dodaje. Po stronie minusów można też zapisać słabiutkie głośniczki, które nie dość, że grają cicho, to dodatkowo są niemal zupełnie pozbawione basów.

Podsumowując, MSI Prestige 14 Evo A11M-018PL nie jest może aż tak bardzo prestiżowy, jak sugerowałaby nazwa, ale jeśli ktoś szuka wydajnego, lekkiego ultrabooka z dobrym wyświetlaczem, np. do wideokonferencji, obsługi arkuszy kalkulacyjnych, prostej obróbki zdjęć czy materiałów wideo, to może śmiało wpisać go na listę modeli do sprawdzenia. Zwłaszcza że cena jest stosunkowo atrakcyjna jak na laptopa z procesorem Evo. Za testowanego laptopa trzeba zapłacić 3999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

GRAJĄCE UFO

W USA odbyła się narada NASA z grupą zadaniową Departamentu Obrony w sprawie UFO. Tymczasem Louis Vuitton wyprodukował bezprzewodowy głośniczek Bluetooth, który wyglądem przypomina właśnie niezidentyfikowany obiekt latający. Inspirowany designem jednej z torebek głośnik Horizon Light Up według producenta oferuje wysokiej jakości przestrzenny dźwięk. Bardzo wysoka jest również cena. Za grający gadżet od francuskiego modowego giganta trzeba zapłacić 2,98 tys. dol., czyli równowartość ok. 11,6 tys. zł. Model wszedł na rynek 31 lipca.

MASECZKA OD LG

Czwarta fala koronawirusa jest już niemal pewna. Jest więc wielce prawdopodobne, że jesienią wróci też moda na maseczki (w której kreowaniu znów mogą pomóc rządy w wielu krajach świata). Południowokoreański producent ulepszył więc swój projekt maseczki dla fanów technologii. Model PuriCare Wearable Air Purifier oprócz trzech wiatraczków oraz dwóch filtrów HEPA H13, filtrujących 99 proc. szkodliwych cząsteczek, został również wyposażony w głośniczek, mikrofon i wzmacniacz wypowiadanych słów. Producent zwiększył również pojemność baterii z 820 do 1000 mAh, co ma wystarczyć na osiem godzin pracy. Maseczka nie jest jeszcze dostępna w Polsce. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6a7b48717c

Burzliwe dzieje

Jacek Komuda

Zamek w Czorsztynie, położony nad Dunajcem, był jednym z dwóch bliźniaczych po obu stronach rzeki. Od dawien dawna stanowił nierozłączną parę z fortecą w Niedzicy, już na terenie Węgier

Jak pokazują badania archeologiczne, pierwszy gród w tym miejscu istniał w drugiej połowie XIII w., wzniesiony z inicjatywy św. Kingi, księżniczki krakowskiej i sandomierskiej, żony księcia Bolesława Wstydliwego, a pod koniec stulecia wymurowano w nim okrągłą, kamienną wieżę. Czesław Deptuła, niestrudzony badacz tych stron, podaje, że fundatorkami rozbudowy były siostry klaryski, którym wspomniana księżniczka nadała po roku 1280 komorę celną w Rytrze przy szlaku ze Starego Sącza na Spisz. Prawdopodobnie wówczas też powstał wspomniany gród, początkowo zwany Wroninem, wymieniony w dokumencie z 1320 r. Wówczas właśnie nastąpiła kolejna faza rozbudowy – drewniano-ziemne wały zastąpiono kamiennym murem o grubości ponad 2 m, wzmocniono fortyfikacje, wydzielając zamek górny i średni.

RYS. J. DAŃSKI

Nazwa Czorsztyn pojawia się pierwszy raz dopiero w 1348 r., co należy łączyć z przejęciem zamku przez króla Kazimierza Wielkiego. Wcześniejsza nazwa – Wronin – była bowiem określeniem nie jednego obiektu, lecz kilku okolicznych wzgórz i ich drewniano-ziemnych umocnień. Warownia stała się graniczną twierdzą, komorą celną i ośrodkiem administracyjnym – starostwem niegrodowym dóbr królewskich. Dodatkowo władca kolejny raz przebudował zamek. W drugiej połowie XIV w. po wewnętrznej stronie południowego muru obwodowego wzniesiono piętrowy dom mieszkalny rozdzielony na trzy duże komnaty. Późniejsza rozbudowa – w XV w. – polegała na dobudowaniu po północnej stronie zamku górnego i średniego dodatkowej linii obronnej, muru o grubości ponad metra, który zamykał od północy i wschodu wjazd, wzmocniony dodatkowo nowym budynkiem bramnym. Było to już po czasach, kiedy starostą niegrodowym na zamku był Abraham z Goszyc, herbu Gryf. Za jego czasów dwukrotnie gościł tutaj król Władysław Jagiełło: w latach 1417 i 1423. Z kolei w 1440 r. w Czorsztynie przebywał Władysław Warneńczyk, który podążał na Węgry, aby objąć tron.

W drugiej połowie XV w. i na początku następnego zamek pozostawał w rękach rodziny Paniewskich herbu Godziemba. Zapewne wówczas doszło do kolejnej przebudowy. Tak powstał zamek dolny, otoczony kamiennym murem obwodowym ze skarpami i z furtą wiodącą do zamku. Odmieniono także zamek średni – zburzono najstarszą, okrągłą wieżę, na dziedzińcu wzniesiono kuchnię, piekarnię i ceglany ganek, a także pięcioboczną basztę przy północno-zachodnim narożniku muru zamku średniego.

W 1536 r. warownię przejął Piotr Kmita herbu Szreniawa, a po nim starostwem władali Dembińscy i od 1585 r. Jan Sienieński. Kolejne, ostatnie już przebudowy, nastąpiły za czasów, kiedy urząd starosty czorsztyńskiego sprawował Jan Baranowski. W okresie od 1630 do 1645 r. odmienił zamek, wznosząc istniejącą do dziś czworokątną, czteropiętrową wieżę bramy wjazdowej, przystosowaną do użycia artylerii. Do baszty tej dostawiono jeszcze jedną, której funkcja do dziś nie została wyjaśniona.

RABUSIE, KRZYŻACY I HUSYCI

Z mało którym zamkiem związanych jest tyle awanturniczych postaci, co z Czorsztynem. Według legendy przekazanej przez Długosza założycielem twierdzy był Piotr Wydżga, rycerz z Krakowa, właściciel zamków w Czorsztynie, Rytrze i Lemieszu. Ponoć poszukiwał w górach złota, które odnalazł dzięki czarnej magii, i kazał strzec go diabłom, z którymi ów człowiek pełen pychy, okrutny i chciwy podpisał zawczasu stosowny cyrograf. Zdobywszy bogactwa, Wydżga wymordował zatrudnionych przy poszukiwaniach kruszcu robotników. Ponieważ

eprasa.pl 6a7b48717c

Czorsztyna

FOT. ADOBE STOCK

zaś obawiał się, że jego skarby zostaną zagarnięte przez księcia Bolesława Wstydliwego, w roku 1245 kazał załadować je na szkuty i popłynął do Prus, gdzie ofiarował je Krzyżakom i sam wstąpił w szeregi zakonu. Wedle tych opowieści zamek istniałby już w 1240 r., co czyniłoby z niego najstarszy tego typu obiekt na ziemiach polskich. Niestety, przeczą temu badania naukowe. Ciekawe, że według podań i opowieści Wydżga ukrył część swoich skarbów w tajemniczym zamku Lemiesz, którego położenia nie udało się dotąd ustalić.

Kolejnym awanturnikiem działającym w pobliżu Czorsztyna był srogi husyta – książę Fedor Ostrogski, wsławiony napadem na Jasną Górę, w czasie którego sprofanowano obraz Matki Bożej. Przez długi okres przebywał w Czechach, a w 1434 r., po bitwie pod Lipanami i pokonaniu taborytów, uszedł z Moraw na czele oddziału rabusiów, aby w pobliżu Czorsztyna znaleźć sobie dogodne wilcze gniazdo. Jednak jego banda została rozbita wkrótce po pojawieniu się w Pieninach albo też jeszcze w trakcie pochodu na Czorsztyn. Husyci Ostrogskiego zamierzali zająć wspomniany wcześniej Wronin, pod którą to nazwą rozumieć należy zapewne resztki fortyfikacji jednego z istniejących wcześniej gródków. Być może jednak, jak zauważa Czesław Deptuła, chodziło o nieodległą górę Wdżar, gdyż trudno uwierzyć, że Ostrogski zamierzał założyć zbójecką warownię tuż obok potężnego zamku.

Kolejnym awanturnikiem, który skusił się na Czorsztyn, był wojewoda sieradzki Olbracht Łaski, alchemik, warchoł, który w 1598 r. wpadł do zamku i rządził się na nim jak we własnych dobrach, bezprawnie pobierając czynsze i zmuszając chłopów do dodatkowej pańszczyzny. Został jednak wkrótce przepędzony.

BUNT NAPIERSKIEGO

W 1651 r. Czorsztyn został zdobyty przez chłopów pod wodzą Aleksandra Leona Napierskiego, organizatora powstania na Podhalu. O nim samym wiadomo niewiele, gdyż zmieniał nazwiska jak rękawiczki, pisząc się raz Napierskim, innym razem zaś Kostką, wedle przekazów polecił zwać się także Bzowskim, a w czasie tortur przyznał, że jest nieślubnym synem króla Władysława IV. Wiadomo, że służył w armii szwedzkiej w czasie wojny trzydziestoletniej, później wrócił do Polski. W 1651 r., w czasie odnowionej wojny z Kozakami, pojawił się na Podhalu, występując jako Aleksander Lew ze Sztemberku Kostka, rzekomo w celu werbowania wojska. Jednak zamiast organizować oddziały do walki z Kozakami, skumał się z rektorem szkoły w Pcimiu Marcinem Radockim, pozyskał innych chłopskich watażków, takich jak Sołtysik z Sieniawy, Stanisław Łętowski z Czarnego Dunajca zwany Marszałkiem, a także dwaj zbójnicy – Sawka i Czepiec. 14 czerwca zajął zamek w Czorsztynie, gdzie zastał tylko dzierżawcę, Żyda Salomona Włochowicza, i jednego hajduka, którzy zaraz po prostu uciekli. Starosta Jerzy Platemberg przebywał zaś na wojnie z Kozakami. Ze zdobytego zamku Napierski vel Kostka rozpoczął agitację chłopów przeciwko szlachcie, podburzając ich do powstania. Do dziś nie wiadomo, w czyim imieniu występował – Chmielnickiego, Siedmiogrodu, Szwecji, a może tylko swoim własnym. Ta wersja wydaje się najprawdopodobniejsza, gdyż od podobnych awanturników i buntowników roiła się wówczas cała Europa.

Napierski, który z Czorsztyna wysłał do miejscowego podstarościego Wiktoryna Zdanowskiego wiersz wyszydzający szlachtę, a do chłopów uniwersały zapowiadające marsz na Kraków, został oblężony przez wojska pod wodzą Wilhelma Jarockiego. W ciągu dwóch dni rebelia padła, oblężeni w Czorsztynie chłopi wydali wodzów w zamian za obietnicę puszczenia wolno.

Napierskiego i jego zauszników przewieziono do Krakowa, gdzie 18 lipca 1651 r. zostali straceni po torturach. Niedoszłego wodza rebelii wbito na pal, przy czym stary kat Szymon nie bardzo sobie z tym radził – aż 10 razy powtarzał nawlekanie. Łętowskiego ścięto i poćwiartowano, a Radockiego tylko ścięto.

To był ostatni moment, kiedy zamek w Czorsztynie stał się świadkiem wydarzeń historycznych. Zrujnowany przez Kozaków w czasie wojny o polską sukcesję w latach 1734–1735 padł ofiarą pożaru, kiedy w 1790 r. uderzył weń piorun. Ostateczny cios zadali mu jednak nie Szwedzi ani Moskale, ale okoliczni dziedzice i mieszkańcy, rozpoczynając po 1811 r. rozbiórkę w celu pozyskania budulca dla pobliskiego folwarku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 6a7b48717c

PASZTET Z POKRZYWY? DLACZEGO NIE...

Dziko rosnące rośliny w wiejskiej kuchni były wykorzystywane od wieków. Stanowiły łatwo dostępne źródło witamin i wystarczyło po prostu wyjść z domu, by je zebrać. Nadal wystarczy, a moda na dzikość w kuchni wraca. W moim ogrodzie dzikie rośliny mają swoje miejsce. Mam zakątek pokrzywowy, rosną też podagrycznik, lebioda, bluszczyk kurdybanek i wiele innych. Przez większość ogrodników uznawane są za chwasty. Ale mają swoje miejsce i w ogrodowym ekosystemie, i w kuchni.

Pasztet z pokrzywy można zrobić na dwa sposoby: z cukinią i bez. Osobiście wolę wersję z cukinią, jest bardziej „soczysta" i taki właśnie przepis dzisiaj Wam przekażę.

Składniki:

(na jedną keksówkę 30 cm)

- 1 średnia cukinia
- 4–5 garści młodej pokrzywy (może być odrastająca po skoszeniu)
- szklanka kaszy manny
- 2 średnie cebule
- pęczek natki pietruszki
- sól, pieprz
- 15 dag sera (używam własnego sera żuławskiego, ale może być np. feta lub gouda)
- pół szklanki oleju lub pół kostki masła do zeszklenia cebuli
- bułka tarta do wysypania formy i posypania wierzchu pasztetu

Przygotowanie:

Młodej cukinii nie obieramy i nie wycinamy z niej pestek. Przerośniętą trzeba obrać i wyciąć z niej gniazda nasienne. Cukinię trzemy na tarce o grubych oczkach, wrzucamy na durszlak i posypujemy jedną łyżeczką soli. Musi puścić wodę. Zostawiamy na mniej więcej godzinę. W tym czasie kroimy w kostkę cebulkę i szklimy ją na maśle lub na oleju. Pokrzywę płuczemy (w rękawiczkach!) i przelewamy wrzątkiem. Teraz już nie parzy i możemy ją pokroić. Niezbyt drobno. Cukinię odciskamy, wrzucamy do miski. Dodajemy naszą pokrzywę, cebulkę wraz z tłuszczem, pokrojoną natkę pietruszki oraz kaszę (surową). Wkruszamy ser (lub – jeśli używamy żuławskiego albo goudy – ścieramy go na tarce). Mieszamy wszystko, próbujemy, doprawiamy pieprzem, ewentualnie solą. Rozgrzewamy piekarnik do 160 st. C. Formę smarujemy tłuszczem i wysypujemy bułką tartą. Przekładamy masę do formy, posypujemy bułką po wierzchu. I do piekarnika. Pieczemy ok. 45 min. Najlepiej smakuje z sosem czosnkowym.

Zamiast pokrzywy można użyć podagrycznika. ©℗

Joanna Włodarska – dziennikarka, serowarka, popularyzatorka tradycyjnej kuchni oraz... permaogrodnictwa. Autorka książek „Jak zrobić ser w domu" oraz „Samowystarczalność w domu i w ogrodzie". Twórczyni Akademii Siedliska pod Lipami, w której uczy, jak robić sery, prowadzi warsztaty wędliniarskie, zielarskie, ogrodnicze.

FOT. ARCHIWUM JOANNY WŁODARSKIEJ

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na wsi

JOANNA BOJAŃCZYK

Więc jesteśmy tu znowu. Wakacje numer 30, że też nam się nie znudzi. Ten sam widok z okna; nie – gorszy, bo w międzyczasie drzewa urosły. W domu ciemno, ale wyciąć nie daje obrońca przyrody w osobie pana Bojańczyka, który woli palić światło przy śniadaniu, ale zdziczałych śliwek, klonów, które same się rozsiały i wyrosły na wysokość trzeciego piętra, ściąć nie da.

Drzewa rosną, my się starzejemy, dom się psuje. Tynki się sypią, belki nad tarasem podziurkowane – czy to kornik? Okna się wypaczyły. Rynny dziurawe. Na dach wlazło wino, które wygląda ślicznie, ale niszczy dachówkę.

Wiosną zdobyliśmy się na przełomowy remont. Stare szopy, które zbudował jeszcze w latach 60. poprzedni właściciel, używając do tego starych podkładów kolejowych (pracował na kolei oczywiście), zostały rozebrane. Powstała nowa budowla, ładna, ale jakoś razi nowością. Stary dom, starzy właściciele, nawet psa już nie mamy, bo Badyl nas opuścił jesienią zeszłego roku. I do tego te nowe szopy, które w miejscowym dialekcie nazywane są szauerkami. Może się zestarzeją. Oby.

Jesteśmy tu dawno, sąsiedzi nas znają i my znamy sąsiadów, ale po 30 latach wciąż nie jesteśmy swoi. I raczej nie będziemy. Tak jak górale ceprów nie uznają za swoich, choćby byli od lat zasiedziali, tak i my dla miejscowych wciąż jesteśmy „warszawiacy". Cwane gapy. Wiadomo.

FOT. ADOBE STOCK

Nasza wioska jest mała i biedna. Ziemia podła, piach, tylko krajobrazy piękne. Ale to nie żaden płaski stół mazowiecki „długo płasko daleko" (Baczyński). O nie. My jesteśmy górzyści. U nas jak w Bieszczadach. Wielki obszar leśny z pagórkami, wąwozami, skarpami, wszystko poprzetykane polodowcowymi jeziorami. Jeziora leśne, cudne i zimne. Niejeden tu był przybysz z krainy zagranicznych pięknych jezior, ale takich jak nasze nie widział. Nasze są jedyne. Nawet Mazury takich nie mają – jeziora może i duże, ale płasko. Na Warmii łąki i wzgórza, ale nie ma lasów. Co to za krajobraz bez lasu? Gdzie iść na spacer?

Nie powiem, gdzie to jest. Tu u nas jeden człowiek przypada na dużo hektarów, nie można się budować, hoteli nie mamy i mknących po leśnych traktach mercedesów na razie też nie. Tylko czasem wiejski rajdowiec po paru piwkach przemknie drogą. Na razie drzwi zamykamy na taki klucz, co go można kupić w sklepie żelaznym za 5 zł. A jak kostium kąpielowy powiesiłam na płocie w październiku, to do marca wisiał. ©℗

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dobre intencje w służbie korpo

Ostatnio nadszedł piątunio wieczorową porą i po ciężkim tygodniu zalatania w pracy udałem się do poddomowej Żabki. Chciałem sobie kupić małpeczkę łyskacza z małą kolą i zasiąść przed TV z dobrym filmem. Niestety – uszczęśliwiacze mnie na siłę wycofali sprzedaż małych buteleczek i skończyłem na flaszce. I oczywiście zamiast dwóch drineczków przed snem trochę się zaciągnęło i wyszły cztery. A tak by wyszły dwa. Ja tam nałogowy nie jestem, stojąca, niedopita butelka mnie nie przyzywa, ale jakoś tak wyszło. A z małpką by nie wyszło. Przypomnę, że entuzjaści tego rozwiązania walczyli z alkoholizmem Polaków, a mnie wyszła z tego podwojona konsumpcja. Wierzę w szczere intencje regulatorów, ale wydają mi się trochę naiwne. Gdybym był lobbystą gorzelników, to chyba bym był za wprowadzonym rozwiązaniem, bo taki Jerzyk wypije dwa razy więcej.

Cały czas się zastanawiam, czy ci rządzący, którzy takie numery robią, to czynią to z naiwnych intencji naprawy świata, czy wiszą nad nimi niezauważenie jakieś lobby, które im wręcz podsuwają takie rozwiązania

Zakaz sprzedaży w niedzielę. Sztandarowy postulat PiS, co prawda czekał ci on ze trzy lata od zwycięskich wyborów na wprowadzenie w życie. Intencje? Znowu szlachetne. W dodatku wspomagane przez związkową Solidarność, co to walczyła o prawo do odpoczynku w niedzielę swoich pracowników. Ale głównym argumentem było to, żeby dać szanse małym sklepom, których zakaz miał nie dotyczyć. Te miały się w niedzielę odkuć, gdy wielkie sklepy będą zamknięte. Po krótkim pacie niektóre sieci wzięły się na sposób i pootwierały punkty pocztowe u siebie, bo zakaz poczt nie dotyczył. Właściwie skorzystało na tym wiele osób, bo nie trzeba się było tarabanić do niewydolnych punktów Poczty Polskiej, w dodatku zamkniętych w niedzielę. Ale wiadomo było, że tak to się skończy, że Polacy – mistrzowie w obchodzeniu przepisów, w tym własnych – znajdą zaraz lukę w systemie i będą dwie rzeczywistości – oficjalna i ta naprawdę.

Ale ofiarą padły małe sklepiki, które i wcześniej nie miały za dobrze. Już wcześniej zaczął się niepowstrzymany pochód wielkich sklepów i dyskontów, zaś po wprowadzeniu zakazu handlu niedzielnego wszystko przyspieszyło. Odbył się marketingowy atak reklam, by „kupować więcej" na weekend, na zapas i taniej. W związku z tym naród się obkupował na weekend, jak jacyś Amerykanie. Zmieniły się zwyczaje: taktyczne zakupy codzienno-impulsowe w okolicznych dyskontach, które cenami i dostępnością wykosiły „osiedlówki", i duże zakupy w hipermarketach na weekend. W rezultacie w małych sklepach, które miały dostać impuls po zakazie, kupuje dziś tylko 12 proc. Polaków. Reszta to dyskonty, hiper- i supermarkety. I znowu na dobrych (mam nadzieję) intencjach skorzystali ci, przeciwko którym zostały wprowadzone przepisy, stracili ci, w imieniu których władza wzięła się do regulacji.

Najlepsze jest z podatkiem cukrowym. Podobny modus. Były zaklęcia, że to ma spowodować spadek konsumpcji niezdrowego cukru, ba – nawet się bąkało, że zarobione na podatku kwoty przeznaczy się na leczenie i edukowanie antycukrowe. Ale intencje fiskalne były oczywiste. I znowu miało być dobrze, a wyszło jak zawsze. Po wprowadzeniu podatku cukrowego podrożała… woda mineralna. Tak, ta, do której przepędzony podatkami były konsument „cukru w cukrze" miał się ozdrowieńczo zwrócić. Mechanizm tego cudu jest ciekawy. Otóż większość producentów napojów słodzonych to również producenci wód mineralnych. I aby ulżyć (konsumentowi, rzecz jasna) w cenie na napoje słodzone, część tych kosztów przerzucono na wzrost cen wody mineralnej.

Cały czas się zastanawiam, czy ci rządzący, którzy takie numery robią, to czynią to z naiwnych intencji naprawy świata, czy wiszą nad nimi niezauważenie jakieś lobby, które im wręcz podsuwają takie rozwiązania, które na pozór wydają się prospołeczne i prozdrowotne, a de facto napędzają kasę i tak już spasionym gigantom?

Nie wiem, jak rozwiązać ten dylemat. Chyba przed jego rozwiązaniem wzmocnię się trzema rzeczami nielegalnymi, przed którymi mnie rząd chciał uchronić. Napiję się łyskacza z kolą kupionymi w niedzielę. Tyle że alko będzie 0,7 l. Cóż, trzeba potrenować silną wolę, która i tak robi ze mną, co chce. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Prawie Utopia

W drodze na południe słuchaliśmy sobie w samochodzie polskich piosenek z lat 90. Trochę rocka, trochę alternatywy, pierwociny swojskiego hip-hopu. Straszny obraz się z tych utworów wyłaniał. Kraju bezkarnych karków, terroryzujących spokojnych obywateli. Może nie jak w Detroit, ale prawie. Bezsilna policja, gangi, dilerzy i zwykła łobuzerka, agresywni nastolatkowie w dresach, którzy mogli ci dać po pysku, jeśli krzywo na nich spojrzałeś. I faktycznie, tak było.

Naszpikowani taką muzyką i wspomnieniami zatrzymaliśmy się w Czechach na nocleg. Przystanek zrobiliśmy sobie w małym miasteczku. Wieczorem poszliśmy na kolację i w restauracyjnym ogródku konsumowaliśmy knedliczki. Było pusto, cicho i spokojnie. I nagle…

Nagle zza roku wyszła solidna ekipa młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn. Niektórzy byli mocno wytatuowani. Niektórzy byli łysi. Szli szybko w naszą stronę. Stężeliśmy z widelcami w dłoniach. Teksty, których słuchaliśmy cały dzień, nagle się zmaterializowały. Mimo piwa sucho nam się w ustach zrobiło.

Faceci podeszli do nas i chóralnie powiedzieli: „Dobri wiecier!", po czym weszli do restauracji, zamówili drinki i pogrążyli się w rozmowach. Potem przychodzili jeszcze kolejni muskularni młodzieńcy i wszyscy grzecznie witali się z nami tym rozbrajającym „dobri wiecier". I w ogóle byli bardzo mili, kulturalni i spokojni.

Kiedy to się stało? I jak? Po upadku komunizmu i rozpadzie tamtego porządku Europa Środkowa stała się Dzikim Wschodem, gdzie rządzili łysi goście z bejsbolami. Większość moich kolegów z podwórka zajęła się kradzieżą samochodów lub handlem prochami. A jak monter od wind zostawił na chwilę kurtkę na klatce, to ktoś wyszedł z mieszkania i natychmiast mu ją buchnął. Jeszcze pod koniec lat 90. znakiem czasu w Polsce było zabójstwo komendanta głównego policji. I minęło zaledwie 20 lat, co w życiu narodów jest mgnieniem oka, i nagle żyjemy w najbezpieczniejszym zakątku Europy, a może i świata. Ludzie nie tylko nie kradną kurtek monterom, lecz także poszukują właścicieli zgubionych portfeli.

To fascynująca przemiana, którą warto by opisać. Dotyczy to zresztą nie tylko Polski, lecz także chyba całego naszego regionu. W 2006 r. jeździliśmy przez Rumunię i w każdej, dosłownie w każdej knajpie chcieli nas naciągnąć, okraść albo oszukać. Trzy lata temu jeździłem po Rumunii i wszędzie witali mnie ludzie świetnie mówiący po angielsku, którym do głowy by nie przyszło robić machlojki przy rachunkach.

Oj, chyba się zapędziłam. W zeszłym roku ktoś mi zakosił rower spod bloku, więc nie żyjemy jeszcze w Utopii. Ale żyjemy w świetnym zakątku świata, gdzie ludzie są uczciwi i przyjaźni. Warto to doceniać. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Pastowane barany

Małgośka, mówią mi, co taka markotna chodzisz? Bo mnie boli Polska. Gdy jestem w Hiszpanii, to mnie figę obchodzi, że wokół mnóstwo lewaczków, ale gdy siedzę w kraju i patrzę na moją „warszafkę", to już zagryzam wargi, bo mi się ciśnie na usta to i owo, a przecież damie nie przystoi. I tylko powtarzam za S. Lecem: „Wynaleźć lewatywę dla mózgu". Skoro dla wielu rodaków PRL nie zadziałał na zasadzie szczepionki, to może zadziała jakaś wlewka do mózgu, żeby im przeczyścić szare komórki?

A przecież Wy i ja robimy, co w naszej mocy, żeby przekonać zabłąkane… no nie tyle „owce", ile – powiedzmy sobie szczerze – barany! Nie, to nie jest język nienawiści, to sięganie do bogactwa języka bajek Krasickiego. A trawestując innego klasyka: „A kto mi zabroni z pastowanym kabanem po lesie spacerować?", a w felietonach o baranach pisać, hę?! Otóż pastowane barany nie widzą z bliska tego, co widzą Hiszpanie, co widzi z Włoch mój znajomy profesor Renato Cristin, którego przepiękny esej w obronie Polski właśnie skończyłam tłumaczyć. To on szykował z Władimirem Bukowskim „sąd nad komunizmem" i choć śmierć Bukowskiego przerwała pracę nad tą symboliczną Norymbergą dla komunistów, to przecież ten człowiek zadziwia rozpoznaniem naszej polskiej sytuacji i tym, że jesteśmy prześladowani przez KE właśnie za naszą z ducha europejską, bo chrześcijańską odmowę uczestniczenia w totalitarnych projektach.

Ale warszawskie barany – jako się rzekło – rozpoznają mleko sojowe czy krowie z lotu ptaka, ale pojęcia dobra – zła, sumienia narodu, tożsamości… o, to tu już się gubią, tu już im synapsy skwierczą z przeciążenia, bo o tym w telewizjach śniadaniowych się nie mówi, więc nie istnieje. I od dziś chyba wiem, jak z nimi gadać. Musiałam przełknąć po raz kolejny podrabiane hiszpańskie danie w kolejnej podrabianej hiszpańskiej restauracji, żeby ich zrozumieć: oni tak bardzo wstydzą się bigosu, że łudzą się, że tu może być kraj paelli i patatas bravas! A ja wam mówię: nie tutaj, nie z tym ryżem i nie z tymi kartoflami, nie w tym klimacie, nie pod tym słońcem! To się nie może udać, więc po co przepłacać?! Po co kopiujesz niekopiowalne, zamiast rozwijać to, w czym jesteś świetny! Ależ w kraju paelli wyrósł w latach 30. rasowy komunizm i „pobożny faszyzm", a w kraju bigosu – nie! W kraju pizzy zrodził się faszyzm, lecz w kraju bigosu – nie! Ci zaś od foie gras poddali się od razu, a ci od bigosu – nigdy! To bądź sobą, wybierz bigos! I nie pozwól, by kucharze z innych krajów pluli ci w talerz! ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Koniec pontyfikatu?

Co robi człowiek wracający ze szpitala po poważnym zabiegu chirurgicznym (pod pełną narkozą) i to w czasach pandemii? Zazwyczaj załatwia sprawy, które uważa za najpilniejsze i najważniejsze. Zwłaszcza jeśli jest postawiony na stanowisku kierowniczym w instytucji działającej w globalnej skali, gdzie sprawy pilne i ważne do załatwienia „na wczoraj" liczone są w tysiącach.

Papież Franciszek kilka dni po powrocie z kliniki Gemelli zajął się właśnie taką superważną dla niego sprawą, której poświęcił specjalny dokument. Czyżby chodziło o przekonanie amerykańskich biskupów, że jednak czymś niegodziwym jest udzielanie Komunii Świętej (Ciała Chrystusa) politykom popierającym zabijanie nienarodzonych ludzi na przemysłową skalę? A może papież poczuł się przynaglony okolicznościami, w których niedawno się znalazł (szpital), by ostrzec niemieckich biskupów, aby nie szli dalej drogą schizmy i herezji („droga synodalna")? Może stwierdził, że czas zweryfikować tzw. porozumienie z komunistycznymi Chinami, które jest wykorzystywane przez Pekin, by tym mocniej prześladować wiernych Rzymowi chińskich katolików i wspierać tzw. Kościół patriotyczny?

Otóż nic z tych rzeczy. Najbardziej pilną sprawą domagającą się natychmiastowej „weryfikacji" stało się motu proprio Benedykta XVI z 2007 r. („Summorum pontificum"), które potwierdzało obowiązywanie w całym Kościele powszechnym klasycznego rytu rzymskiego, który nigdy nie został zniesiony ani przez drugi sobór watykański, ani przez nauczanie kolejnych papieży. Benedykt XVI „uwolnił" tzw. Mszę trydencką sprawowaną wedle klasycznego rytu rzymskiego (sięgającego znacznie dalej niż do XVI-wiecznego soboru obradującego w Trydencie), zezwalając wszystkim katolickim kapłanom na jej odprawianie bez konieczności uzyskania specjalnej zgody (indult) biskupa miejsca.

Papież Franciszek po powrocie ze szpitala zadecydował, że dokument Benedykta XVI już nie obowiązuje, a klasyczny ryt rzymski należy ponownie „zamknąć". Odtąd ponownie konieczny będzie specjalny biskupi indult dla odprawiania Mszy Świętej „trydenckiej", a tworzenie nowych grup duszpasterskich skupiających się na formowaniu swoich członków w duchu odwiecznej liturgii Kościoła zostało de facto zakazane.

W ten sposób Franciszek nadaje nowy sens pojęciom „rewolucja miłosierdzia", „walka z rygoryzmem doktryny i rzymskim centralizmem" oraz „duszpasterskie towarzyszenie", które przez jego admiratorów (kard. Walter Kasper et consortes) są nagminnie stosowane dla opisania głównych walorów tego pontyfikatu. Papież, „zamykając" na nowo klasyczny rzymski ryt, uzasadniał ten krok w specjalnym liście skierowanym do biskupów tym, że akt dobrej woli ze strony Benedykta XVI został „nadużyty" przez tych, którzy wykorzystali afirmację liturgicznego dziedzictwa Kościoła do podważania Vaticanum II. Ciekawe, czy w równie skrupulatny sposób Franciszek rozliczać będzie wszystkie „odstępstwa" od zadekretowanego przezeń dopuszczania osób rozwiedzionych do Komunii Świętej po uprzednim „towarzyszeniu duszpasterskim"? Przypuszczam, że wątpię.

W tej całej sprawie nie sposób pominąć osoby Benedykta XVI, żyjącego wciąż autora „zweryfikowanego negatywnie" przez Franciszka motu proprio. Tak brutalne skasowanie najważniejszego osiągnięcia pontyfikatu papieża z Niemiec każe postawić pytanie, czy stan zdrowia papieża seniora jest już tak poważny, że Franciszek zdecydował się zdjąć „białe rękawiczki" i wyrzucić na śmietnik dokument swojego poprzednika? A może szybko ku końcowi zbliża się obecny pontyfikat i stąd to szybkie oraz bezwzględne działanie?

Pisałem już na tych łamach, że właściwej oceny pontyfikatu Benedykta XVI będziemy mogli dokonać po tym, jak poznamy wszystkie najważniejsze decyzje jego następcy, któremu drogę do papieskiego tronu utorowała niezrozumiała abdykacja byłego „pancernego kardynała". Ostatnia decyzja papieża Franciszka rzuca więc cień nie tylko na jego pontyfikat.

„Zamknięto" na nowo Mszę wszech czasów. Konwertyta z protestantyzmu Gilbert K. Chesterton pisał o niej, że „ten, kto przeżywa Mszę, wkracza we wspaniały świat idei metafizycznych, które oświecają wszelkie relacje materii i umysłu, ciała i ducha, bezosobowych abstrakcji i głęboko osobistych doświadczeń". Tego ma już nie być. Niedoczekanie. ©℗

Papież Franciszek po powrocie ze szpitala zadecydował, że dokument Benedykta XVI już nie obowiązuje, a klasyczny ryt rzymski należy ponownie „zamknąć"

eprasa.pl 6a7b48717c

EPITAFIUM DLA EPITETU

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Jestem w PL, mieszkam na wsi mego dzieciństwa, robię żniwa i uprawiam intensywne życie rodzinne. Nie było mnie tu pół roku, więc nadrabiam. Latem spotykają się u nas nagminnie wszyscy ze wszystkimi, a ponieważ mieszkamy na kupie, to z wizytą do ciotki czy kuzyna idzie się parę kroków polną drogą i już. Ciotka na obiad woła bez telefonu – po prostu krzyczy przez płot. Tak wygląda pierwsza połowa tygodnia, a we czwartki, piątki i soboty stoję na Jarmarku Dominikańskim i tam z kolei spotykam się ze wszystkimi przyjaciółmi z Trójmiasta. Nie było mnie pół roku, więc nadrabiamy.

***

W Gdańsku czasami (rzadko!) ktoś walnie we mnie epitetem. Umiem sobie poradzić – jestem wytrenowany od czasów „WC Kwadransa", a może i wcześniej. Moje pierwsze zajęcie na Jarmarku Dominikańskim (dawno temu, za komuny) to był nielegalny handel walutą. Byłem cinkciarzem turystów. Nieletniemu nie groziło za to w zasadzie nic poza konfiskatą waluty i tradycyjnymi wyzwiskami ubeków i milicjantów. Radziłem sobie z tym:

– Ale czemu nazywa mnie pan „głupim gnojem"? Przecież skutecznie kołowałem pana przez ponad dwa tygodnie i nie umiał mnie pan złapać, czyli nie jestem głupi. A w dodatku jestem przestępcą uczciwym. Nie handluję fałszywymi pieniędzmi i wymieniam po prawidłowym kursie czarnorynkowym. A teraz niech mi pan po prostu skonfiskuje wszystko, co mam, a ja panu „ucieknę" i nie ma potrzeby tracić czasu na spisywanie zeznań.

To im rozdziawiało usta ze zdumienia. I to była najbardziej odpowiednia chwila, by podać takiemu całą forsę, jaką miałeś.

– Proszę. To wszystko, co dzisiaj utargowałem, a teraz panu „ucieknę", dobrze?

Następnego dnia przychodzili już zwyczajnie po swoje 10 dol. okupu i nigdy więcej nie mówili do mnie „głupi gnoju".

***

Współcześnie też radzę sobie z epitetami. Najczęściej przyjmuję je grzecznie – gdy ktoś woła w moją stroną „to ten głupek", odpowiadam:

– Świat jest pełen głupków. Mnie to też złości. Ale co poradzić? Mądrych niewielu, głupków wszędzie pełno.

Wtedy oni głupieją. A ci mądrzejsi podchodzą pogadać rozbrojeni szczerością.

***

Na nasze wioskowe spotkania rodzinne przychodzi cała rodzina. To oznacza, że przychodzą także osoby, z którymi chcesz się zobaczyć, ale niekoniecznie chcesz pogadać. Z moimi Chrześniakami pojawia się „w pakiecie" także ich matka – cóż robić, Szwagierka ma akurat teraz urlop.

Zapytałem ją grzecznie, czy nie wolałaby brać sobie urlopu, gdy mnie nie ma w Polsce?

– A to czemu?

– Nie musiałabyś się ze mną spotykać. A tak… musisz. I ja też muszę. I żadnemu z nas to nie pasuje, prawda?

Tu Szwagierka się ze mną zgodziła, co jest sytuacją wyjątkową, bo we wszelkich innych kwestiach nasze stanowiska są radykalnie odmienne. Od polityki do wyżywienia. Opisuję to czasami w sieci – kto czytał, ten wie.

– Dla dobra rodziny musimy się jakoś znieść – szepnęła mi do ucha, uśmiechając się jednocześnie do kogoś innego.

Do mnie nie uśmiecha się nigdy. Zrobi to pewnie dopiero, pochylając się nad moją trumną.

Ja z kolei uśmiecham się do niej stale, czego ona nie cierpi.

– Czego się tak do mnie szczerzysz nieszczerze?! – spytała kiedyś, sycząc przez szparę w jedynkach.

– Głównie dlatego, że ciebie to wnerwia – odpowiedziałem szczerze.

– I to ma być to twoje chrześcijaństwo? Na pokaz uśmieszek, a pod spodem wredota.

– Niezupełnie. Chodzi o to, że gdy cię wnerwię, możemy wymienić poglądy. A to jest dla mnie interesujące. Takich jak ty nie spotykam nigdy, bo albo ja ich unikam jak ognia, albo oni mnie unikają z obrzydzenia. Jesteś moją jedyną okazją do rozmowy z tą drugą stroną… tęczy.

– Masz mnie za idiotkę?!

– Tak. Podobnie jak ty masz mnie za idiotę, prawda?

W tym momencie Szwagierka wstała i wyszła, uśmiechając się do wszystkich poza mną.

***

Wczoraj, gdy weszła Szwagierka, siedziałem na werandzie u naszej wspólnej ciotki. Wchodząc, Szwagierka nie widziała, że jestem, bo siadłem sobie w strategicznym ciemnym kącie. Weszła i nie mogła się już cofnąć, skoro przyszła do cioci na sernik. Dla zachowania pozorów przywitała się także ze mną – podeszła, podała dłoń i pocałowała w policzek.

– A ty się mnie nie boisz, że cię zarażę? – pytam zaczepnie.

– NIE. Jestem osobą cywilizowaną, więc zaszczepiłam się na wypadek spotykania takich niedouczonych głupków jak ty – odpaliła.

– Ooo! Właśnie nazwałaś kilka osób z naszej rodziny niedouczonymi głupkami. No na przykład naszą niezaszczepioną Ciocię.

Szwagierka pożegnała się szybko, bo musiała lecieć.

***

Ogólnie: Z GŁUPKAMI NIE WARTO ROZMAWIAĆ, co powiedział pewien klasyk i to nie byłem ja. Dawno temu w starożytnej Grecji powiedział to jeden z filozofów. Ja jedynie powtarzam. I za każdym razem, gdy powtórzę, przyczepia się to do kogoś na całe lata. (Wie o tym np. prof. S.L.D. Senyszyn). A zatem „ Z głupkami nie warto rozmawiać", ale czasami robię wyjątki, bo gdy głupka zatka lub zapowietrzy, przyjemnie popatrzeć.

Tak wiem – prymitywne zachowanie niedouczonego głupka. Ale co ja poradzić mogę na to, że jestem. (Niedouczonym głupkiem). Przecież to nie jest moja wina, a jedynie moja CECHA. A za przyrodzone cechy nie wolno karać.

Baj. ©℗

eprasa.pl 6a7b48717c

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
CARIE GRESS:
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~373 ZŁ~~

184,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 189 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 6a7b48717c

POLSKA

JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO**2020**

#TeamPolska

SPONSORZY I PARTNERZY PKOL I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN	LOTTO	Enea	4F	GRUPA LUXMED	POLISH AIRLINES LOT
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoznik

eprasa.pl 6a7b48717c